

LEGENDARNY BRITTYJSKI KRYMINAL

Anthony  
Gilbert

KOBIETA  
W CZERWIENI

C&T

**Anthony**  
**Gilbert**  
**KOBIETA**  
**W CZERWIENI**

**Przekład:**  
**EWA RUDOLF**

***C&T***  
**TORUN**

Tytuł oryginału: THE WOMAN IN RED

Copyright © 1943 by Anthony Gilbert

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by „C&T” Toruń 2010

Copyright © for the Polish translation by Ewa Rudolf

Opracowanie graficzne:

EWELINA BARCICKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

ISBN 978-83-7470-195-2

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2010.

Wydanie I.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o.

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

# 1.

**D**zień zapowiadał się niezwykle od samego świtu. O szóstej blade niebo załśniło pełznącym po nim, przypominającym obłok gazu, żółtawym światłem. Nie wyczuwało się żadnego wiatru; na drzewach nie poruszył się nawet jeden liść; kurz spokojnie zalegał w rynsztokach; dym unosił się w górę idealnie prostą linią. Około południa uderzył piorun, dudniący niczym wystrzał armatni grzmot rozbrzmiewał coraz bliżej, przeszedł górą i wybuchnął artyleryjską kanonadą wśród odległych wzgórz. A o szóstej wieczorem, gdy powietrze powinno się już ochładzać, zrobiło się jeszcze goręcej. Żar na londyńskich ulicach kojarzył się z rozpalonym wnętrzem zamkniętego, ceglanego pieca; za chmurami majaczyła miedziana poświata, świat jakby zamarł w napięciu. Zapadła jedna z tych nocy, kiedy to wszystko może się wydarzyć.

Julia Ross, dwudziestotrzyletnia maszynistka, która w ciągu najbliższych kilku tygodni miała stać się głównym tematem rozmów w wielu londyńskich domach, od dziesiątej rano obchodziła agencje pośrednictwa pracy; wędrowała od Lancaster Gate do Bloomsbury, od Bloomsbury do Paternoster Row, od Paternoster Row do Belgravii i wreszcie, gdy o szóstej w tysiącach domów włączano wiadomości, mieszano drinki i układano pasjanse, znalazła się przed drzwiami agencji pośrednictwa pracy Victoria, z rezygnacją zastanawiając się, czy warto zaryzykować następne pięć szylingów na wpisowe. Dziewięć godzin przemierzania spalonych słońcem ulic, pokonywania schodów, czekania w metrze, jazdy windą, ustawiania się w kolejkach na przesłuchanie przez ewentualnych pracodawców, nadwątlilo jej odwagę i przedsiębiorczość. Od dziewięciu tygodni pozostawała bez pracy i jej oszczędności praktycznie się wyczerpały. Przez ostatni miesiąc żyła na diecie, jaką nawet najbardziej surowy

dietetyk uznałby za niewystarczającą; nie miała krewnych ani przyjaciół, którzy zapewniliby jej tygodniowe utrzymanie. Najlepsze buty zostawiła u szewca, gdzie pozostaną, dopóki nie zdobędzie czterech szylingów i sześciu pensów na ich wykupienie; niemal wszystko, co posiadało jakąkolwiek wartość, zastała w lombardzie. Ograniczyła się do lekkich lunchów składających się ze szklanki mleka i czekoladowego andruta za jednego pensa. Na obiad jadała smażone jajko i frytki. Od jutra, jeśli nie zdobędzie posady, lunche pewnie będzie musiała całkiem zlikwidować. Wszystko to wyjaśnia, czemu złożyła ową fatalną w skutkach wizytę w domu pani Ponsonby.

Pani Hurst z biura pośrednictwa pracy Victoria nie wiedziała nic o owej damie poza tym, że natychmiast potrzebowała ona sekretarki. Pani Hurst, zaprezentowawszy ofertę na tyle ogólnie, by w przyszłości uniknąć ewentualnej odpowiedzialności, dodała wszakże, że dama mieszka przy Henriques Square, co mówi samo za siebie. Dała Julii jasno do zrozumienia, że jeśli zaraz nie stawi się na rozmowę, biuro Victoria okaże się jeszcze jednym niewypałem. Oczywiście przyjęła opłatę wpisową, zanim w ogóle wspomniała nazwisko pani Ponsonby. Tego rodzaju postępowanie należało do rutyny, co Julia rozumiała. Ryzykowało się pięć szylingów; i albo dzięki nim zyskiwało się wspałałą posadę na całe lata, albo okazywały się pieniędzmi wyrzuconymi w błoto. Jak dotąd większość szylingów Julii poszła na marne, a nawet jeśli nie wylądowały w błocie, trafiły do nieźle wypchanych kieszeni rozmaitych pań Hurst.

Posady stanowiły wyjątkową gratkę owej późnej wiosny 1940 roku. Wiele firm pozamykano, inne zredukowały personel. Powszechnie uważano, że młode kobiety mają się nie najgorzej; mogły wstąpić do kobiecych służb wojskowych czy agencji pomocniczych.

Wszelkie wolne miejsca zazwyczaj rozchwytywały starsze kobiety. Julia, w milczeniu rozstawszy się z pięcioma szylingami, na co właściwie nie było jej stać, siedziała z nadzieją wpatrzona w panią Hurst. Dama ta miała idealnie ułożone, białe włosy i suknię z Hanover Place. Wypielęgnowanymi dłońmi z całkowitą obojętnością przerzucała strony notesu. Jej maniery sugerowały, że to zajęcie jest jej hobby i śmieszne byłoby oczekiwać z jej strony poważnego traktowania starających się o pracę. Kobiety o jej pozycji natychmiast orientowały

się, czy nowo przybyła jest potencjalną pracownicą, czy po prostu należy do osób poszukujących byle zajęcia, i zależnie od kategorii, do której zaszufłakowały petentkę, przybierały odpowiedni sposób bycia i wysławiania się. A na widok Julii pani Hurst natychmiast uznała za stosowne okazanie obojętności i jeszcze nim dziewczyna usiadła, oznajmiła jej, że czasy są niepomyślne z powodu trwającej wojny.

- To prawda – przyznała Julia. – Przed wojną miałam posadę.
- Kiedy ją panna opuściła?
- Jakies dwa miesiące temu.
- Złożyła panna rezygnację?
- To pan Kennedy zamierzał przeprowadzić reorganizację personelu i uznał za bardziej sprawiedliwe zatrzymanie starszych pań, które nie mogą wstąpić do służb pomocniczych.
- A panna nie pomyślała o tym?
- Nie udało mi się przejść przez komisję lekarską. Zeszłej jesieni zoperowano mi wyrostek, później wystąpiły komplikacje.
- Nie myślała panna o staraniu się o płatne miejsce w służbach? Zakładam, że posiada panna odpowiednie dyplomy.
- Owszem, ale nie utrzymam się za dwa funty, trzy szylingi i jednego pensa tygodniowo.

Pani Hurst uniosła brwi. Arogancka, wygadana pannica, pomyślała. Odwróciła następną stronę.

- Zobaczmy, co tu mamy... Księgowość?
  - Podstawy.
  - To chyba nie wystarczy. A... hiszpański?
  - Nie.
  - Szkoda. Miałabym bardzo dobrą posadę. Jakie pobory by pannę interesowały?
  - U pana Kennedy'ego dostawałam trzy funty.
  - No to szkoda, że pani odeszła. Mam tu zarejestrowanych wiele dziewcząt o wyższych kwalifikacjach, gotowych pracować za pięćdziesiąt szylingów.
- Julia, obeznana ze sposobami działania kobiet prowadzących agencje pośrednictwa, nic na to nie odpowiedziała.

- Może jutro coś będę miała – zasugerowała łaskawie pani Hurst.

– A teraz nic pani nie ma, absolutnie niczego?

Pani Hurst zmarszczyła brwi. Od samego początku poczuła niechęć do tej schludnej, młodej kobiety o ciemnych, związanych na karku kędziorach i szczerym, bezpośrednim spojrzeniu. Dziewczęta pozostające bez pracy od dwóch miesięcy i umiejące podać jedynie niejasne powody swego zwolnienia – w agencjach tak rozumie się określenie „reorganizacja” – powinny okazywać pokorę i dobre chęci. Zaczęła powoli: – Nie sędzę... – i zaraz jej twarz zmieniła się, jakby coś rozważała.

– Mam jedno miejsce – przyznała w końcu. – Pojawiło się dopiero wczoraj i posłałam tam dwie czy trzy panny, ale sędzę, że nadal pozostaje nie zajęte. Przyznaję, że niewiele wiem o pani Ponsonby. Nie jest naszą stałą klientką, wszakże mieszka przy Henriques Square, co wiele mówi. Chodzi jej o sekretarkę i zarazem pannę do towarzystwa, kogoś młodego, bez rodzinnych powiązań.

– To znaczy?

– Jak zrozumięłam – powiedziała chłodno pani Hurst – jej ostatnia sekretarka odeszła niespodziewanie, by zaopiekować się niepełnosprawną matką, więc dama oczywiście na przyszłość woli uchronić się przed podobną sytuacją. Mówiła panna, że jest obecnie wolna i może przyjąć posadę z mieszkaniem u pracodawcy?

– Tak – odrzekła Julia z entuzjazmem. – Jakie pobory ofiaruje ta pani?

– To zależy od kwalifikacji. Jest gotowa przesłuchiwać kandydatki do szóstej trzydzieści. Jeśli pójdzie tam panna od razu, porozmawia z panią jeszcze dzisiaj. – Mówiąc to, starannie pisała na małej, różowej wizytówce. – Proszę tylko powiadomić mnie natychmiast, z samego rana, jeśli dostanie pani tę posadę. Pobieram dziesięć procent z zapłaty za pierwszy miesiąc, naturalnie licząc wraz z utrzymaniem i mieszkaniem.

Julie powoli podniosła się z miejsca; w jej oczach, wpatrzonych w połyskujące źrenice pani Hurst, malował się wyraz zaskoczenia, wręcz oszołomienia.

Zapytała jeszcze, z jakąś dziwną natarczywością:

– To wszystko, czym pani dysponuje? Na pewno?

– Nie może pani otrzymać więcej niż jedną posadę na raz – napomniała ją oschle pani Hurst. – Tak, to wszystko.

– Cóż, rozumiem.

– O co chodzi? – zapytała dama nieco zniecierpliwiona. – Chce pani tę pracę czy nie?

– Chcę – ależ oczywiście. – Wzięła wizytówkę i przypatrzyła jej się z dziwną miną. Zastanawiała się, z jakiej przyczyny – jeśli nazwisko pani Ponsonby nic jej nie mówiło, a adres, jak zauważyła pani Hurst, był absolutnie szacowny – żywiła tak mocne przekonanie, że czeka ją tam coś niedobrego, wręcz niebezpiecznego. Gdy drzwi cicho zatrzasnęły się za nią, przystanęła na zakurzonej chodniku i, potrącana przez przechodniów, w milczeniu wpatrywała się w miedziane niebiosa, a całą jej istotę ogarnęła niechęć, jakiś instynktowny i nielogiczny protest. W jej mózgu głośno jak dzwon rozbrzmiewał głos. – Nie idź – wybijał – nie idź, nie idź, nie idź.

Powstrzymując chęć podarcia wizytówki na cztery części i wyrzucenia jej do rynsztoka, zmusiła swe stopy, by poniosły ją do Victoria Station, gdzie czekały wielkie, czerwone autobusy. Numer 16 powiezie ją do miejsca odległego o dwie minuty spaceru od Henriques Square. Jeden właśnie ruszał. Konduktor, widząc, że się przybliżyła, schylił się, by pomóc jej wejść na stopień. Zawahała się.

– Wsiada pani czy nie? – zapytał konduktor. – Proszę się zdecydować.

Wciągnęła wielki haust powietrza; zupełnie jakby żegnała się z nadzieją. Potem wsiadła i kupiła bilet do Mount Street.

Wokół Henriques Square wznosiły się wysokie, ciemne i szacowne budynki; do wielu prowadziły schody wyłożone mozaiką; przy niektórych suterrenach ustawiono liczne donice z kwiatami i pnącymi roślinami; okna dyskretnie przysłaniały ciężkie, kosztowne kotary. Okolica tchnęła dziwną atmosferą przeszłości, pełną duchów przejeżdżających tędy powozami lub niesionych w lektykach przez mrok. Julia zadrżała, jakby znajomy świat pozostawiła na Mount Street. Numer 30 stał cofnięty od innych o jakieś pół kroku; to stąd pewnie ten dziwny efekt, pomyślała, zupełnie jakby dom się kulił, usiłując pozostać niewidocznym, jakby zasłaniał się skrzydłami, próbował ukryć, co dzieje się za szybami i brokatowymi zasłonami ozdobionymi frędzlami. Od sąsiednich budynków różnił się także szerokością swych trochę węższych okien, nieco ciemniejszą



werandą i większą stromizną prowadzących do sutereny stopni. Znad czarnych frontowych drzwi niczym samotne oko wзираło okrągłe okienko.

– Odejdź – krzyknął po raz ostatni głos w jej mózgu. Julia szorstko go uciszyła; jej cały majątek składał się z dwóch banknotów funtowych i osiemnastu szylingów w srebrze oraz kompletu biżuterii inkrustowanego starym, francuskim strasem, często brany za szmaragd. Rodzinna legenda głosiła, że ktośkolwiek rozstał się z nim, ściągał na siebie nieszczęście. Jeśli nie dostanie tej pracy, komplet będzie musiał powędrować do Kutnowsa, polskiego jubлера z Czwartej Ulicy, u którego już przebywał wysadzany perełkami złoty medalion w kształcie gwiazdy, złoty, ozdobiony turkusami maltański krzyżyk i kolczyki do kompletu, złoty łańcuszek z ognistymi opalami i złota broszka z perełkami w kształcie podwójnego serca – jedyne jej kosztowności. Pozostawiając rozszadek za sobą, weszła po mozaikowych schodach i zadzwoniła. Potem było już za późno. Koło ruszyło, a ją pochwytyły tryby skomplikowanej maszyny, obojętnej wobec niej i jej wysiłków.

Kamerdyner o twarzy białego lisa otworzył drzwi tak szybko, jakby na nią czekał. Jednak, gdy podała mu różową wizytówkę, tylko potrząsnął głową i powiedział: – Nie przyjmujemy żadnych ulicznych przekupniów. – Ale nie cofnął się.

– Żadnych! – powtórzył.

– Niczego nie sprzedaję – zaczęła Julia. I urwała, bo to przecież nie była prawda. Przyszła tu sprzedać swoje umiejętności, czas, osobowość – a więc siebie. – Chciałabym zobaczyć się z panią Ponsonby – zakończyła. – Jeśli weźmie pan moją wizytówkę...

Kamerdyner niechętnie wziął karteczkę z jej wyciągniętej dłoni. Z ociąganiem cofnął się, by wpuścić Julię do środka.

Przedpokój był długi i niezwykle ciemny. Pod ścianą, na czarnej dębowej komodzie stał wazon, a w nim zielone gałązki; w słabym, błękitnym świetle, padającym z wiszącego, kolorowego abażuru, można było dostrzec kontury umieszczonych wyżej obrazów olejnych. Za schodami przedpokój zawęzał się w korytarzyk z drzwiami na samym końcu. Uznała, że to wejście do sutereny. Kamerdyner o twarzy lisa zniknął w pomieszczeniu po lewej stronie, mrużąc pod nosem, że musi upewnić się, czy madam... reszta słów zginęła w niewyraźnym bełkocie.

Julie gwałtownie obejrzała się przez ramię; zdawało jej się, że wyczuła jakiś ruch. Ale niczego tam nie było. Próbowwała skoncentrować myśli na obrazach olejnych, wypatrzeć, co przedstawiają. Przed laty pewien mężczyzna powiedział jej: – Jeśli kiedykolwiek będziesz się bać, wbij wzrok w jakiś przedmiot znajdujący się w pobliżu, przyjrzyj się mu uważnie, skoncentruj się na nim. Nie będziesz wtedy myśleć o niczym innym. – Pierwszy obraz przedstawiał mężczyznę szyderczo patrzącego na nią z góry; nie była to miła twarz; niskie czoło, fałszywe usta. Pospiesznie oderwała wzrok – teraz jej uwagę zwróciły schody. Były wąskie jak reszta domu; wijąc się do góry, prowadziły w absolutne ciemności. Cała spięta, ze wzmożoną czujnością, w skupieniu wsłuchiwała się w... w co? Nie wiedziała, ale dźwięk, cokolwiek to było, dochodził z górnych pięter. W ciemności coś się poruszyło, coś niewidzialnego i wrogiego.

– To ta nowa – przemówił pozbawiony dźwięku głos. I to coś wycofało się.

Głos tuż przy jej uchu wystraszył ją tak bardzo, że serce zdawało się zaraz wyskoczyć jej z piersi. Obok niej stał niesamowity kamerdyner.

– Pani Ponsonby przyjmie teraz panienkę – powiedział.

**P**okój, do którego weszła z ciemnego holu, był tak jasny, tak zwyczajny, że aż ją oszołomił. Z wahaniem przystanąła na progu. Potem pojęła, że jej pierwsze odczucie miało związek z czymś nierealnym. Umeblowanie sprawiało wrażenie, jakby pochodziło z innej krainy: jaskrawe zasłony, obrazy, ogień, który nawet w tak ciepły wieczór palił się pod staroświecką płytą. Najdziwniejsza ze wszystkiego była kobieta siedząca tuż obok kominka, która gwałtownie odwróciła się, gdy dziewczyna weszła do środka.

Laura Ponsonby wyglądała dziwnie; mała, pulchna postać, jakby karykatura królowej Wiktorii, o takiej samej przysadzistej sylwetce i błyszczących oczach, dominującym nosie i apodyktycznym wyrazie twarzy. Jednak podobieństwu wiele brakowało do doskonałości. Królowa Wiktorja nigdy nie ubrałaby się w jaskrawą, czerwoną suknię, obwieszoną łańcuszkami i amuletami; nie ozdobiłaby rąk szerokimi, złotymi bransoletami, każda z wielkim kolorowym kamieniem. I z pewnością Jej Wysokość miałaby starannie upięte siwe

włosy, a nie lekko przekrzywioną perukę rudych loków jak pani Ponsonby.

„Wyglądałam się – pomyślała Julia i ulga, której doznała, sprawiła jej iście fizyczny ból. – Ona jest tylko szalona, a nie zła, jak nie wiedzieć czemu się obawiałam. Kamerdyner najprawdopodobniej odgrywa rolę swego rodzaju opiekuna; to dlatego tak długo zabrało mu wyjaśnianie, kim jestem. I pewnie z tego powodu w domu panują takie ciemności”.

Wszystkich szaleńców, pomyślała, niezależnie od stanu ich zdrowia, cechuje jakaś określona fobia. Psychiatrzy mają na to nazwę. Ta niezwykle stara kobieta zapewne pieczołowicie ukrywała jakiś sekret, nic nie znaczący dla nikogo poza nią, i stąd ten ciemny hol, utrzymywany przez niesamowitego kamerdynera w skrajnym kontraście do tego rozjarzonego światłem i kolorami pomieszczenia. Gdy nadszedł jej gość, pani Ponsonby była zajęta pasjansem. Używała bardzo dużych kart, zakrywały blat stolika ustawionego w pobliżu paleniska. Były tak duże, że drobne dłonie damy zdawały się z trudem sobie z nimi radzić. Ale nawet tu znalazło ujście upodobanie pani domu do jaskrawych barw i przepychu. Szkatułka, w której przechowywała karty, wykonana była ze szkarłatnej skóry, wytłoczonej kwiecistym wzorem. Gdy dama nachyliła się, by przesunąć kartę, bijące z kominka światło wykrzesowało liczne iskry z klejnotów na jej palcach. Olbrzymi, prostokątny szmaragd przypominał ten duży pierścionek ze strasem, który leżał w górnej szufladzie komody w pensjonacie Julii przy Roland Street i który musiałyby zastawić, jeśli nie dostanie tej posady. Poczucie nierzeczywistości wzmoгло się. Poczuli się tak, jakby w kompletnie zaciemnionym teatrze obserwowała akcję rozwijającą się na scenie. Wraz z tą myślą Julia zaczęła snuć dociekania co do osoby pani Ponsonby. Może dama była kiedyś aktorką i wciąż zachowała teatralne maniery? W głowie dziewczyny walczyły ze sobą strach i podekscytowanie.

Zrobiła krok do przodu, pospiesznie przenosiła wzrok na kolejne sprzęty; wszędzie widziała olbrzymie, miedziane wazy, pełne kwiatów; ale gdy przypatrzyła się uważnie, okazało się, że wszystkie były sztuczne. W jednym kącie kłoniły się olbrzymie, czerwone maki; czerwone i różowe róże ustawiono w innym; ostróżki kołysały się w białym dzbanie pomalowanym w żywe wzory; staromodne, bujane fotele niemal całkowicie ginęły pod nagromadzonymi na

nich poduszkami – obitymi materią w pasy, ozdobionymi haftem i czerwonozielonymi frędzlami. Julia odniosła wrażenie, jakby pozostawiła siebie w holu, a ktoś, kogo prawie nie знаła, wykonał następny krok, do przodu, w stronę drobnej, otylej, pochylonej nad kartami osóbki.

Laura Ponsonby jednym spojrzeniem ogarnęła wszystko, co dotyczyło jej gościa; przesunęła wzrokiem po schludnej, zmęczonej postaci w ciemnej sukience i małym kapelusiku, nasuniętym nisko na czoło; zauważyła kurz na wyraźnie nie raz naprawianych butach, zarejestrowała fakt, że rękawiczki dziewczyny były z granatowego elastycznego materiału. Dopiero gdy jej oczy padły na torebkę ze szkarłatnej skóry, zaczęła się uśmiechać.

„Biedactwo! – pomyślała współczująco Julia. – Jest jak dziecko lub jeden z tych ptaszków, które nie potrafią oprzeć się żadnej błyskotce”. I powiedziała łagodnym głosem: – Pani Ponsonby? Pani Hurst z biura Victoria poleciła mi tu przyjść. Powiedziała, że szuka pani sekretarki.

Pani Ponsonby zdawała się roztargniona; jej małe, jasne, błyszczące oczka wróciły na karty rozłożone na stoliku przed nią.

– Wychodzi – oznajmiła, biorąc do ręki króla kier. – Jest miejsce...

Manewrowała kartami tak szybko, że niemożliwym było śledzenie jej ruchów. Po mniej więcej minucie wszystkie osiem kupek leżało już porządknie poskładanych. Mała, pulchna postać wyprostowała się.

– A więc przyszła panna w sprawie posady – stwierdziła. – Proszę podejść i usiąść tutaj, i opowiedzieć mi o sobie.

Głos miał ożywiony, ciepły; upierścienioną dłońią poklepała długą otomanę, obitą ciepłym, jasnym jedwabiem. Julia usiadła.

– Mam dwadzieścia trzy lata i szukam posady – powiedziała. – Pani Hurst uznała, że może będę pani odpowiadać. Nie podała mi wiele szczegółów, nie poinformowała, czy poszukuje pani jakichś konkretnych kwalifikacji, wszakże posiadam sześćoletnie doświadczenie i mogłabym przedstawić dobre referencje... – Miała mieszane uczucia; tak nie zaczyna się rozmowy, starając się o pracę. Ale w końcu pani Ponsonby także nie pasowała do normy. Powinna zadawać konkretne pytania, wyjaśniać, o co jej chodzi. A ta dama skinęła tylko głową.

– Nie zależy mi na tym. Jestem przyzwyczajona do formowania własnych opinii. Jak szybko mogłaby panna zacząć?

– Od razu.

Pani Ponsonby cicho klasnęła w dłonie; były tak pulchne, że wydawało się, jakby dwie małe, tłuste poduszcзки poklepały jedna drugą.

– Lubię takie odpowiedzi. Gdzie panna mieszka?

– W Spencer House.

– A co to takiego?

– To zwykły... taki pensjonat.

– Dom dla pracujących dziewcząt?

– Nie całkiem. Pani Mackie po prostu wynajmuje pokoje, a jeżeli się chce, można też otrzymać posiłki.

– Pewnie panna z nich korzysta.

– No cóż, nie, właściwie to nie. Jadam na mieście. To bardziej... urozmaicone.

– Niezwykle rozsądnie z panny strony. – Pani Ponsonby energicznie przytaknęła głową; jeden z rudych loczków lekko się rozwinął i sterczał niczym znak zapytania. – Zapewne ma panna przyjaciół...

– Nie w Spencer House. To takie miejsce, gdzie mieszkańcy trzymają się osobno. Stali lokatorzy, którzy jadają z panią Mackie, oczywiście znają się nawzajem, ale jeśli dużo się przebywa poza domem i nie jada z nimi, to tak naprawdę nie widuje się nikogo, z kim można by porozmawiać.

– Długo tam panna mieszka?

– Około czterech miesięcy.

– A co panna robiła przedtem? Mieszkała z rodziną?

– O nie, nie mam żadnych krewnych. Rodzice utonęli, gdy miałam cztery lata. Wychowała mnie ciotka, ale ona umarła przed sześcioma laty i od tamtego czasu żyłam sama. Właściwie nie jestem w Londynie od zbyt dawna. Moja ciotka mieszkała w Edynburgu, a ja pracowałam tam aż do ostatnich świąt Bożego Narodzenia.

– A potem pomyślała panna, że chętnie by przyjechała do stolicy i zobaczyła coś więcej z życia?

– No tak – przyznała Julia. Nigdy z nikim nie rozmawiała o prawdziwym powodzie opuszczenia Edynburga. Nieszczęśliwa miłość – ona traktowała znajomość poważnie, a mężczyzna bynajmniej – skłoniła ją do opuszczenia miasta, związane z nim wspomnienia i nadzieje. W Londynie, gdzie nie znała nikogo, mogła, jak myślała, rozpocząć nowe życie. Poza tym w Edynburgu w każdej chwili mogłaby spotkać Hugh; doznała wielkich cierpień i upokorzeń i miała dość rozsądku, by wiedzieć, że nic nie zadziała tak dobrze i szybko jako kuracja, jak całkowita zmiana otoczenia.

– I podoba się panie Londyn? – Laura Ponsonby obserwowała ją z zainteresowaniem. Julia miała niemiłe uczucie, że te małe czarne oczka widziały o wiele więcej, niż powinny. Znów myśl o hipnozie zaświtała jej w głowie.

„Niedługo sprawi, że opowiem jej całą historię – szepnęła do siebie w duchu, przerażona. – A jednak, jestem pewna, ona wcale mi nie współczuje. To tylko dzięki tej niezwykłej energii udaje jej się wyciągać z rozmówcy tak wiele informacji”.

W odpowiedzi na ostatnie pytanie odrzekła nieco nerwowo: – To wciąż bardzo obce dla mnie miasto. Oczywiście jest fascynujące. Większość wolnego czasu spędziłam na zwiedzaniu. No i miałam pracę...

– Z jakiego powodu porzuciła ją panna?

– Była tylko okresowa. Nie potrzebowano mnie na dłużej niż dwa miesiące. – To lepsza odpowiedź od tej, której udzieliła pani Hurst.

– A co robiła panna ostatnio?

Wszyscy pracodawcy pytali o to wcześniej lub później; była to kulminacyjna kwestia wywiadu. Gdy usłyszeli, że pozostawała bez pracy przez dziewięć tygodni, niemal tracili zainteresowanie. Dziewczyna o dobrych kwalifikacjach, sugerowały ich miny, zawsze może znaleźć posadę. Albo odrzucali ją jako nie nadającą się, albo uważali, że ma opiekuna, jak ujęła to jedna z kobiet z agencji. Julia wciągnęła powietrze i zaczęła mówić bardzo szybko.

– Szukałam posady. Ale to nie takie łatwe, jak się wydaje. Z powodu wojny wiele firm upadło, a pracodawcy na ogół preferują dziewczęta pochodzące z Londynu. Kilka agencji ostrzegło mnie przed tym. Ale gdybym mogła zacząć, wiem, że sprawdziłabym się. Mam referencje z czterech lat na mojej ostatniej posadzie w Edynburgu.

- Dlaczego panna stamtąd odeszła?
- Ja... chciałam przyjechać do Londynu.

Pani Ponsonby skinęła głową. Zwisające jej z uszu długie kolczyki z jadeitu gwałtownie zakołysały się w przeciwnych kierunkach. – Rozumiem. Nie chcę wtrącać się w panny osobiste sprawy. Masz prawo do własnego życia. Oczywiście widzę, że nie jest panna ze mną do końca szczerą, ale masz swoje powody i chyba mogę się domyśleć, jakie. Ale proszę, powiedz mi jedno – jesteś panna zaręczona, planujesz wyjście za mąż?

- Och nie – cicho zawołała Julia. – Och nie.

Mała, tłusta dłoń pani Ponsonby wyciągnęła się i opadła na kolano dziewczyny.

– A więc o to chodzi? Tak myślałam. Ale jeśli zechcesz przyjąć panna radę od kobiety na tyle starej, by mogła być twoją matką, uwierz, że to nie przeszłość się liczy, ale przyszłość. Życia żadnej dziewczyny – jeśli na to nie pozwoliła – nigdy nie zrujnowała sprawa miłosna. Rozczarowania zdarzają się każdemu, ale mijają. Ja to wiem. Życie nie zawsze było dla mnie łatwe. No to jak – sądzi panna, że chciałaby zostać moją sekretarką? Prowadzę bardzo spokojną egzystencję. Nie przyjmuję często gości, a wojna dotknęła mnie równie mocno jak innych. Przede wszystkim pragnę towarzystwa. Oczywiście w grę będzie wchodzić prowadzenie mojej korespondencji; należę do przeróżnych komitetów dobroczynnych, w związku z czym będą listy; a także księgowość domowych wydatków, tego rodzaju sprawy. Ale nic, z czym by sobie panna z łatwością nie poradziła. Proponuję sto funtów rocznie plus utrzymanie, ale muszę mieć pewność, że dostanie mi się odpowiednia dziewczyna. Miałam jedną, która opuściła mnie praktycznie bez wypowiedzenia, z powodu jakichś domowych komplikacji. To bardzo denerwujące dla mnie i dla służby. Peters – widziała go panna, wchodząc tu – jest ze mną od trzydziestu lat, zatrudniam także Sparkes, pokojówkę. Trzydzieści lat to sporo czasu. Nabiera się stałych przyzwyczajęń. Nie lubię ciągłych zmian, tak jak i nowoczesnych mebli i strojów. Gdybyś panna powiedziała mi, że zamierzasz wyjść za mąż, nie zaproponowałabym tej posady, gdyż po kilku miesiącach chciałabyś odejść i zostawiłabyś mnie na lodzie. Musi panna obiecać, że zostanie przynajmniej rok. Nie znoszę tych ciągłych zmian.

Wszystko to było bardzo rozsądne; pan Horncastle w Edynburgu mówił to samo. „Jeżeli pozwolimy pannie u nas zacząć, nie chcemy, byś opuściła nas w ciągu pół roku tylko dlatego, że jakaś inna firma zapłaci pół korony więcej tygodniowo. Tak naprawdę płacimy pannie możliwością uzyskania doświadczenia i należy o tym pamiętać, gdy już będzie panna warta większych poborów”. Pan Horncastle potraktował ją przyzwoicie i powinna była czuć się tam szczęśliwa. Tylko że musiała uczciwie przyznać, duża część jej szczęścia wiązała się z Hugh. Tak z pewnością było, gdyż potem, gdy Hugh zniknął z jej życia, nie mogła już znieść tego biura.

Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, by pochwycić oferowaną okazję. W końcu nie było zbyt wiele osób gotowych skorzystać z jej usług, co by usprawiedliwiało jej wahanie. A jednak – a jednak. Jej niespokojne palce zaplatały frędzle zdobiące otomanę. Ktoś trzymał papierosa nieostrożnie blisko okrycia i wypalił w nim dziurkę; podświadomie przejechała palcami po krawędzi jedwabiu, wyczuwając miękkie wypełnienie, i pomyślała gorączkowo: „Dlaczego nie mówię: tak? Czemu? Z jakiego powodu?”

Odsunąwszy od siebie wątpliwości, zauważyła, że pani Ponsonby obserwuje ją po kryjomu. W kominku spadła bryłka węgla i płomień wystrzelił do góry, rzucając czerwone światło na drobną, napiętą twarz i wyciągniętą dłoń. To absurd, pomyślała Julia z niecierpliwością, by poczuć nagły lęk w tak normalnych okolicznościach. Czy dlatego, że płomień i cień były czerwone, tak jak suknia i peruka, i skojarzyły jej się z krwią? By ukarać się za brak opanowania, powzięła decyzję.

– Chętnie tu zamieszkam, pani Ponsonby, jeśli mnie pani przyjmie. Mam nadzieję, że potrafię panią zadowolić. Kiedy życzyłaby sobie pani, abym zaczęła?

Pani Ponsonby przekręciła tarczę małego, zwisającego jej na piersiach zegarka. Był zawieszony na czerwonej, połyskliwej wstążce. – Jest dopiero po wpół do siódmej. Czy mogłaby panna pojawić się tu przed dziewiątą?

Julie zdumiała się. – Chce pani powiedzieć – dzisiaj wieczorem?



- Tak. Cóż w tym trudnego? Jest pani umówiona na ten wieczór?
- Nie o to chodzi. Nie, nie jestem. Ale to raczej dość mało czasu. Musiałabym oddać pokój...
- Na jakich zasadach go panna wynajmujesz?
- Tygodniowo. W istocie co poniedziałek składam nieformalne wymówienie, na wypadek gdyby pojawiło się coś... jak ta posada...
- Więc tak czy owak ma panna odejść w poniedziałek. A dziś mamy piątek. Nie stracisz wiele.

– Nie, to prawda. Myślałam tylko, że może jutro rano...

Pani Ponsonby potrząsnęła głową i kolczyki znów zakołysały się w przeciwnych kierunkach. – Nie. Jutro czeka nas mnóstwo pracy i chcę zacząć wcześniej. A to by oznaczało zmarnowanie całego poranka. Nie może panna spakować się i zdążyć tu przed dziewiątą? Ma panna tak wiele bagażu?

– Tylko jedną walizkę – wyznała. Julia. – Tak, oczywiście, mogę przyjść dziś wieczorem.

– No to sprawa załatwiona. – Pani Ponsonby oparła się wygodnie na fotelu i krótkim, grubym palcem nacisnęła elektryczny dzwonek. – Cieszę się, że mam kłopot z głowy. Wszystkie te zmiany są nad wyraz dokuczliwe.

Drzwi otwarły się i wszedł służący. – Peters, powiedz Sparkes, że jest mi potrzebna. To panna Ross. Zamieszka u nas dzisiaj wieczorem.

Peters odwrócił się i spojrzał badawczo na Julię. Potem mrużąc: – Tak, madam, zawołam ją – wyszedł.

– Jutro – powiedziała pani Ponsonby – zadzwoni panna do tej pani Hurst i powiadomi ją, że załatwiłam sprawę. Nie chcę, by pojawiały się kolejne dziewczęta.

– Prosiła, bym ją zaraz powiadomiła... – mruknęła Julia, czując, że spodziewana jest jakaś reakcja z jej strony.

– Dzisiaj już za późno na list. Ostatnia poczta odchodzi o siódmej trzydzieści. Poza tym rano będzie dość czasu.

Drzwi otworzyły się ponownie i weszła Sparkes. Była chudą, suchą kobietą około pięćdziesiątki; bardzo sztywna, poruszająca się tym samym, dziwnie cichym krokiem jak kamerdyner.

– Sparkes, to panna Ross. Zajmie miejsce panny Hopes. Dopilnuj, by jej pokój był gotowy. Wprowadza się dzisiaj wieczorem.

Teraz z kolei Sparkes badawczo przyjrzała się dziewczynie; potem z uśmiechem zamrożonym chyba od czasu wypowiedzenia wojny, powiedziała łagodnie: – Bardzo zadawalające rozwiązanie, madam. O której godzinie wprowadza się panna Ross?

– Przed dziewiątą. – Pani Ponsonby zwróciła się teraz do Julii. – Zapomniałam powiedzieć, że mam zwyczaj kłaść się wcześniej. Peters otrzymał polecenie zamykania domu o porze zaciemnienia, nie pozwalałam na otwarcie bramy aż do rana. Sądzę, że ostatnio nie bywa zbyt bezpiecznie. Słyszysz się tyle rozmaitych opowieści. A więc dopilnuje panna, by się nie spóźnić, prawda?

Wyciągnęła dłoń i Julia ujęła ją bez entuzjazmu. Już w następnym momencie zdusiła okrzyk. Drobną, jakby pozbawioną kości dłoń wydawała się posiadać nadludzką siłę; pierścionki zatopiły się w ciele dziewczyny. Następny błysk z kominka rozjaśnił twarz kobiety, zniekształcając ją tak, że uśmiech, który jeszcze przed chwilą miał wyrażać czystą życzliwość, teraz zdawał się złośliwy i triumfujący. Potem płomień zgasł tak szybko, jak wystrzelił, i Julia ujrzała, że wyraz twarzy pani Ponsonby tak naprawdę wcale się nie zmienił. Sprawiała wrażenie zadowolonej i spokojnej; dość męcząca sprawa domowa została załatwiona i teraz mogła o niej zapomnieć. I tylko tyle to dla niej znaczyło.

Julia wróciła do holu, z długo pożądaną posadą w kieszeni. Na następny rok, jeśli zadowoli nową pracodawczynię, ma zapewniony dach nad głową i trzy porządne posiłki dziennie. Do tego będzie otrzymywać hojne wynagrodzenie. Pod koniec roku, jeśli zechce, może odejść z oszczędnościami, które powinny wynosić co najmniej połowę jej dochodów. W tym czasie także z pewnością pozbiera się po miłosnej aferze i upokorzeniu. Lepiej niż mogła sobie wymarzyć. Dziwne, pomyślała, że nie umiem się tym bardziej cieszyć. Żałowała, że nie ma z kim omówić tej oferty. Bo poza Colinem nie było nikogo takiego.

Odczuła nagłą ulgę na myśl, że o wszystkim może opowiedzieć Colinowi.

## 2.

**T**ych, którzy wierzą, że nasz zwariowany świat działa według jakiegoś wzoru, czasami niepokoi świadomość, od jakiego drobiazgu mogą zależeć ich najważniejsze decyzje. Gdyby Julia napomknęła pani Ponsonby choć słówko o Colinie, nie zaproponowano by jej pozycji sekretarki i zarazem panny do towarzystwa, i jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Nie pomyślała, by o nim wspomnieć, gdyż, mówiąc szczerze, Colin nie zajmował w jej życiowych planach żadnego miejsca. Przyznając się do braku krewnych i przyjaciół, była przekonana, że mówi prawdę. Przypadkowo poznanego w herbaciarni Lyonsa mężczyznę, zaręczonego, jak sam zadeklarował, z jakąś dziewczyną z Irlandii, trudno było uznać za przyjaciela. Jednak był jedyną osobą, której Julia mogła się zwierzyć.

Pospiesznie przeszła przez ciemny korytarz i drzwi, które otworzył przed nią kamerdyner. Na ulicy zaskoczyła ją panująca jeszcze jasność; ponura poświata zbladła i miasto wypełniło się przejrzystym, niematerialnym światłem wieczoru. Rzuciwszy okiem na zegarek, stwierdziła, że dopiero siódma. O tej godzinie zazwyczaj jadała wieczorny posiłek. Jeśli spóźni się jeszcze trochę, może w ogóle nie spotkać się z Colinem. Dlatego postanowiła udać się wprost do Lyonsa i tam coś przełknąć, nim powróci do Spencer House.

O tej porze u Lyonsa pełno było gości, ale Colin zatrzymał dla niej miejsce przy swoim stoliku. Już od kilku tygodni nabrali zwyczaju jadać razem.

– Witaj! – zawołał, gdy przysunęła sobie krzesło. – Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie wystawiłaś mnie do wiatru.

– Miałam spotkanie w sprawie posady – odrzekła lakonicznie, zastanawiając się nad wyborem: smażone jajko i frytki czy fasolka z puszki na grzance i pudding oblany melasą, i zdecydowała się na to drugie. Złożyła kelnerce zamówienie.

– Powiodło ci się? – zapytał Colin. Był wysokim, patykowatym młodzieńcem o pociągłej twarzy i wrażliwych na kobiece wdzięki oczach, na które opadał pukiel jasnych włosów.

– Zaczynam dzisiaj wieczorem.

Colin aż gwizdnał. – Szybka jesteś.

– Chcesz powiedzieć, że znajdując posadę po dwóch miesiącach wysiłków, uwinęłam się szybko?

– Chodzi mi o to, że jak już podejmiesz trop, nie tracisz czasu. Co to za praca?

– Mam być sekretarką u pewnej wariatki – odrzekła pogodnie. – Co jesz?

– Jajka na szynce. Będiesz się nadal tu stołowała?

Julia wciągnęła powietrze. – Moje posiłki będą się składać – mam taką nadzieję – z pieczonego kurczaka w sosie chlebowym plus francuskie naleśniki ze śmietaną – i będę je spożywać z panią Ponsonby.

– To ona jest tą wariatką?

– Właśnie.

– Wybacz, że pytam, ale czyżbyś miała słabość do osób niestabilnych psychicznie?

– Wiem, że nie zabrzmiało to najlepiej. Tyle że ze wszystkich do tej pory przesłuchujących mnie osób jest jedyną, która zechciała mnie zatrudnić.

– Rozumiem – przyznał z powagą Colin. – Też nie wygląda mi to najlepiej, ale może zatrzymają cię w tym domu.

– I to dosłownie. Nie dają klucza do bramy, a wejściowe drzwi zamykają o dziewiątej.

– To rzeczywiście jakaś wariatka. Czego po tobie oczekuje? Że będziesz wychodzić przez kuchenne okno?

– Z pewnością też okaże się szczelnie zamknięte.

– Czyli pozostaje jakaś życzliwa pokojówka.

– Widziałam jedynie kamerdynera przypominającego lisa zimową porą i kobietę o nazwisku Sparkes, czyli jakby iskra, całkowicie do niej nie pasującym.

– A gdzie znajduje się ta rozkoszna posiadłość?

– Przy Henriques Square.

Colin pokiwał głową w zamyśleniu. – Rzeczywiście robisz postępy. To samo centrum Mayfair.

– Gdybyś użył określenia „Niebiańska kraina”, bardziej by odpowiadało stanowi rzeczy.

– To znaczy?

Przyniesiono fasolkę z puszki i Julia uważnie przyjrzała się jej. – Gdy zostanę bogatą kobietą, Colinie, nie będę jadać czegoś takiego... O właśnie, to jest dziwne. Pani Ponsonby przebywa w pokoju przypominającym ognisty piec, a w pozostałej części domu prawie nie ma światła.

– Zachowanie nader patriotyczne – skomentował Colin.

– Być może – zgodziła się z nim. – Mam nadzieję, że posiłki serwuje mniej skąpe.

Colin roześmiał się, ale zaraz spoważniał. – Będzie mi ciebie brakowało, Julio – oznajmił. – Nie znam nikogo innego, z kim mógłbym sobie pogadać przy obiedzie.

– Świat jest pełen dziewcząt – zażartowała Julia.

– Będziesz w ogóle wychodzić wieczorami?

– Do dziewiątej.

Zmarszczył czoło. – Mówiłaś poważnie, że ona jest szalona?

Dziwny uśmiezek wykrzywił wargi Julii; nadał wyrazu życiowego doświadczenia jej dziecinnej buzi. – Jest zamożna, Colinie. Bogaci mogą sobie pozwolić na szaleństwo...

– Zrezygnuj, Julio. Nie wydaje mi się, by ci się tam spodobało – rzucił ni stąd, ni zowąd.

– A kto zapłaci za mnie czynsz? Nie bądź śmieszny, Colinie. – W jej głosie zabrzmiała ostra nutka. – Muszę mieć z czego żyć.

– Ale czy koniecznie pracując u niej? Wydaje mi się, że idziesz tam wbrew sobie.

– No cóż, nie jest to specjalnie ekscytujące miejsce; zwariowana stara kobieta, układająca pasjansa i dwójka starszych służących, tkwiących tam od trzydziestu lat i sprawiających wrażenie, jakby wyszli z grobu, aby powiedzieć „dobry wieczór”. Ale to jest posada, a te ostatnio nie spadają z nieba.

– Rzeczywiście, raczej nie. – Pokręcił głową, jakby odżegnywał się od

jakiegokolwiek odpowiedzialności. – Pamiętasz ten pierwszy wieczór, gdy nawiązaliśmy ze sobą rozmowę? Byłaś taka niechętna, że omal nie zabrałem płaszcza i nie odszedłem. Powiedziałaś: „Czy nie widzi pan, że jest tu mnóstwo wolnych krzeseł i może zająć, które tylko zechce?” Byłaś taka nieufna, nieprawdaż?

Julia pochyliła się nad bułką i przekroiła ją na pół. Jak mogła przyznać się, że od afery z Hugh przestała ufać mężczyznom w ogólności? Albo, ponieważ Hugh zrobił z niej idiotkę, nie ma ochoty na rozmowę z żadnym innym. Podniosła głowę i roześmiała się.

– A ty chciałeś jedynie porozmawiać o tej Irlandce. Kiedy ją poślubisz?

– Tak szybko, jak będzie to możliwe. Polubiłabyś ją, Julio; ma to wszystko, czego szukam w dziewczynie. Jest dumna i odważna, ma poczucie humoru i będzie doskonałą żoną... – urwał, lekko się rumieniąc. – Uważasz, że zwariowałem, prawda?

– Myślę, że Irlandka ma szczęście – odpowiedziała ze spokojem. Przez moment nienawidziła tej dziewczyny, której nigdy nie widziała. Dlaczego właśnie tamta miała szczęście dostać Colina, który nie tylko był wierny, ale posiadał także coś tak nieokreślonego jak wdzięk, tymczasem ona, Julia, zakochała się w mężczyźnie, który miał jedynie ochotę trochę się zabawić i nie przyszłoby mu nawet do głowy żenić się z dziewczyną nie posiadającą złamanego grosza? Serce jej się ścisnęło i nagle poczuła zadowolenie, że idzie do pani Ponsoby, by pracować i zapomnieć, całkowicie odciąć się od życia, które znała, zostać częścią tego dziwnego domu; Colin był jej ostatnim ogniwem z przeszłością. Po dzisiejszym wieczorze otworzy się przed nią nowy etap doświadczeń. – Nie zostało mi dużo czasu – oznajmiła mu. – Mam być w tamtym domu przed dziewiątą, a jeszcze się nie spakowałam ani nie powiadomiłam pani Mackie o moim odejściu. Przyszłam tylko po to, żeby cię poinformować na wypadek, gdybyś pomyślał, że zachorowałam czy coś w tym rodzaju.

– Mógłbym pójść tam z tobą, ponieść ci walizkę i uważnie przyjrzeć się tej starej damie. I gdybym uznał, że tam nie jest bezpiecznie...

– Nie dramatyzuj, Colinie. Oczywiście, że jest tam bezpiecznie. Bezpiecznie i nudno. Poza tym, ona nie pochwała osób towarzyszących.

– Powiedziała tak?

- Nie lubi większych zmian.
- Nie związałaś się chyba na amen, Julio?
- Obiecałam ewentualnie pozostać przez rok. Cóż, muszę gdzieś pracować, a jak na dzisiejsze czasy to dobra płaca.
- Zabiorę cię do miasta w twój wolny dzień – powiedział Colin. – Czuję się za ciebie odpowiedzialny.
- To śmieszne. Odpowiedzialny to jesteś za tę Irlandkę.
- Ona nie miałaby nic przeciwko temu – zauważył cicho Colin.
- Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek ją poznam.
- Mam nadzieję. Daj mi adres, abym wiedział, gdzie cię znaleźć. Nie podobają mi się, że tak się izolujesz.

Powtórzyła numer domu i patrzyła, jak zapisuje go w małym notesiku. – A telefon?

- Pewnie mają. Musi być w książce.
- Też tak sądzę. – Znów się roześmiał. – Myślałem o wyrazie twojej twarzy tego pierwszego wieczoru. Zastanawiałaś się, czemu nie jestem w mundurze. Bałaś się, że jestem jakimś dekonikiem.
- Nadal nie powiedziałeś mi, czym naprawdę się zajmujesz.
- Załatwianiem papierkowej roboty dla rządu. Nic romantycznego, prawda?
- Ktoś to musi robić – zawyrokowała natychmiast, wyjmując szylinga z portmonetki. – Do widzenia, Colinie. Jeśli kiedykolwiek będę miała możliwość, wpadnę tu około siódmej i sprawdzę, czy nadal jesteś sam.
- Wcześniej ja do ciebie zajrzę, by cię dokądś zabrać. Do widzenia, Julio. Dbaj o siebie.

Jednak po odejściu dziewczyny pozostał jeszcze przez chwilę i, paląc papierosa i ze wzburzeniem wydychając dym, rozmyślał o pani Ponsonby.

**B**yla niemal ósma, gdy Julia dotarła do Spencer House, gdzie jadano wspólną kolację o siódmej. W korytarzu spotkała Berthę, nową służącą, bladą, skrytą dziewczynę, najwyraźniej nie przepadającą za swymi obowiązkami.

- Bertho, czy pani Mackie jest w domu? – zapytała.

Ta potrząsnęła głową. – Poszła do kina z panną Waterer.

Panna Waterer zajmowała mieszkanie na parterze i była ulubienicą pani Mackie, ponieważ zapraszała ją do swego pokoju na sherry i ciasteczka, i rozmówki o życiu. Lubiła, by wiadano, że nie zawsze zamieszkiwała w lichych pensjonatach; opowiadała o „moim koniu” i jachcie mego ojca”, przybierając irlandzki dialekt, taki jaki słyszy się w teatrze. Hochsztaplerka, pomyślała Julia. Ale tak czy owak panna Waterer miała dość pieniędzy, by wychodzić niemal co wieczór; a z braku lepszego towarzystwa fundowała rozrywkę pani Mackie. Była to swego rodzaju inwestycja. W pokoju panny Waterer kładziono najmniej szorstkie ręczniki i jedyne perfumowane mydełko; na jej talerz trafiały najlepsze kęsy mięsa, największe pieczone ziemniaki, najhojniejsza porcja kawowej śmietanki, gdy podawano brzoskwinie z konserwy. Jednak jej wybór towarzystwa na ten akurat wieczór nieco utrudnił Julii sytuację. Zamierzała osobiście wyjaśnić sprawy pani Mackie, teraz jednak okazało się, że będzie musiała zostawić jej wiadomość u Berthy. Poszła do swego pokoju, świadoma, jak mało pozostało jej czasu. Na szczęście nie potrzebowała go dużo na spakowanie dobytku. Ostatnią sztukę kosztowności, komplet ze sztucznych szmargdów, starannie ułożyła na dnie walizki, wraz z dokumentem tożsamości i jednym z dwóch pozostałych jej banknotów funtowych; resztę rzeczy pośpiesznie złożyła i wsadziła do środka, po czym zamknęła walizkę i wzięła z łóżka płaszcz i kapelusz. Rozejrzała się po pokoju, który opuszczała; był mały i niewygodny, jednak zapewniał jej swoiste poczucie bezpieczeństwa. Zadrżała na wspomnienie pogrążonego w ciemnościach domu, do którego się udawała. Usiadła przy małym, rozchybotanym stoliku i skreśliła kilka słów do pani Mackie. Pozostały jeszcze dwa niewielkie rachunki do wyrównania – trzy szylingi za pranie, dwa, które pani Mackie dała w jej imieniu sprzątacze, cztery śniadania po dziewięć pensów – w pokojach nie wolno było trzymać kuchenek gazowych, zgodnie z zarządzeniem zapobiegliwych administratorów Spencer House. Lokatorzy zazwyczaj jadali śniadania w domu; te zarabiające na życie dziewczęta, które nie miały ochoty w ciemne, zimowe poranki wstępować do herbaciarni, gdzie jeszcze myto podłogi, byle tylko oszczędzić kilka groszy. Julia pośpiesznie napisała liścik i włożyła parę monet do koperty. Podążyła na Henriques Square na wypadek, gdyby trzeba było zapłacić jeszcze jakieś



inne rachunki. Potem podniosła walizkę i zeszła do holu.

Mała lampa z abażurem w kształcie kuli z matowego szkła dawała niewiele światła; na wszystkich piętach drzwi były pozamykane; tu i ówdzie dochodziły ciche odgłosy muzyki z radia lub przyciszone głosy; Bertha prawdopodobnie wróciła do sutereny. Pani Mackie na ogół sama gotowała, a Bertha i przychodząca za dnia służąca zajmowały się sprzątaniami pomieszczeń i jak było widać, za bardzo się nie przykładały. Ta druga z pewnością wróciła już do domu; pani Mackie wyszła, została jedynie Bertha. Julie nacisnęła dzwonek i po chwili służąca wychyliła głowę ze schodów wiodących do sutereny.

- Właśnie muszę już odejść, Bertho.
- Jak to? Na zawsze?
- Tak. Dzisiaj wieczorem zaczynam nową pracę.

Bertha natychmiast pojawiła się w całej okazałości. Nowa praca, akurat, zdawała się mówić. Dobrze znamy tego rodzaju prace. Nie odrywała oczu od walizki Julii.

Julia zauważyła jej spojrzenie i rozumiała je, ale stłumiła rosnący w sobie gniew z myślą, że Bertha zwyczajnie nie jest go warta. To tylko zwykły kocmołuch, który prawdopodobnie zostanie tu tylko na tyle długo, by narobić sobie kłopotu z którymś z dostawców, a następnie zostanie wyrzucona przez rozwścieczoną panią Mackie, by radziła sobie sama.

– Oddasz pani Mackie ten list? – ciągnęła Julia, pokazując kopertę. I zaraz ogarnęły ją wątpliwości na widok nagłego błysku w oczach Berthy. Było oczywiste, że w liście znajdowały się monety; Julia przemyślałaby tę sprawę, gdyby miała czas, ale było to niemożliwe.

– Dam go jej – powiedziała wolno Bertha. – O co chodzi? Sądzi panna, że jestem nieuczciwa?

– Ależ skąd – powiedziała Julia pośpiesznie. – Trzeba wyjaśnić, że musiałam odejść bez wcześniejszego zawiadomienia – nie wiedziałam, że wyjdzie akurat z domu.

– A ona nie wiedziała, że panienka odchodzi. – Bertha wsunęła kopertę do kieszeni fartucha.

- Nie zapomnisz – nalegała Julia.

– A może wolałaby panna wezwać policjanta i powiedzieć mu, że uważa mnie za złodziejkę. Proszę posłuchać, panno Ross, nasza matka wychowała nas na uczciwych i porządnym...

Julia podeszła do drzwi. – Wystarczy, Bertho. Wcale nie sugerowałam, że nie oddasz listu pani Mackie. Poproś, aby przysłała mi pokwitowanie na adres, który jest w środku, dobrze?

– I mam wezwać dla panny taksówkę? – zapytała Bertha, nie ruszając się z miejsca.

– Och, nie. To nie jest daleko.

Służąca ospale skinęła głową. – W porządku. A walizka nie jest ciężka, jak sądzę.

Julia poczuła, że się czerwieni z powodu tej uwagi.

– A przy okazji – dodała Bertha – miałam pannie powiedzieć – znalazłam to dzisiaj rano przed panny pokojem. Musiała panna upuścić. – Wciąż nie ruszając się z miejsca, podała Julii kawałek tektury. Ta rozpoznała go natychmiast; jest coś w kwiecie z lombardów, co głośno, na cały świat wykrzykuje prawdę o swej tożsamości. Julia wyrwała kartonik z flejtuchowatej, nie umytej dłoni.

– Och, dziękuję ci, Bertho. – Poszukała portmonetki i wyjęła szylinga. Dziewczyna była tu zaledwie od tygodnia, do tego Julię ledwie było stać nawet na taki napiwek. Bertha wzięła pieniądz bez słowa i wrzuciła do kieszeni fartucha. Sfatygowany zegar stojący uderzył trzy razy. Za kwadrans dziewiąta! Trzeba będzie się bardzo pospieszyć, by dotrzeć do Henriques Square. Może jednak lepiej wziąć taksówkę.

To właśnie od drobiazgów zależy tak wiele. Gdyby Julia zaryzykowała florena i wzięła taksówkę, kierowcę można by było później odnaleźć i wypytać; ale ona już do tego stopnia miała oszczędność we krwi, że postanowiła zaryzykować. Autobus numer 88 przejeżdżał obok i zatrzymywał się kilka jardów od bramy. Przy Marble Arch przesiadła się na 73; gdy już była na progu domu pod numerem 30 na Henriques Square, usłyszała, jak gdzieś w okolicy zegar zaczyna wybijać dziewiątą.

**G**dy frontowe drzwi Spencer House cicho zatrzęsły się za Julią, niechlujna służąca weszła do holu i stojąc pod osłoniętym światłem, rozerwała kopertę

zaadresowaną do pani Mackie. Pobieźnie rzuciła okiem na list. Potem chciwie przeliczyła drobne. Uśmiechnęła się i wrzuciła monety do kieszeni fartucha, gdzie dołączyły do szylinga wręczonego jej przez Julię. List podarła i potem spaliła pod kuchenną blachą. Pani Mackie i panna Waterer wróciły za kwadrans jedenasta. Bertha już była w łóżku. Pani Mackie weszła do pokoju, który nazywała swym biurem, i zajęła się porządkowaniem rachunków, sprawdzając wynik z pieniędzmi znajdującymi się w jej portmonetce. Zerknęła, czy nie nadeszły jakieś listy, ale teraz, gdy wieczorem poczta nie działała, nic nie było. Na stoliku w holu też niczego nie było, tam gdzie lokatorzy czasem zostawiali dla niej wiadomości. O jedenastej zaryglowała wejściowe drzwi i założyła łańcuch. Była to zasada tego domu, że o jedenastej ryglowano drzwi, chyba że któraś z lokatorek zostawiała wiadomość, iż przyjdzie później (w Spencer House mieszkały wyłącznie kobiety). Nikt nie złożył wymówienia ani nie zostawił wiadomości, więc pani Mackie założyła, że wszystkie lokatorki są w domu. Nie wiedziała nic o odejściu Julii do dziewiątej następnego ranka, a wtedy Julii już nie było w Londynie.

### 3.

Peters czekał przy frontowych drzwiach, gdy Julia zdyszana weszła na schody; na dźwięk jej dzwonka, ociągając się, wpuścił ją do środka, jego manieri wyraźniej niż słowa powiedziały jej, że trafiła jej się nie lada gratka. Gdy już weszła, pochylił się, by zasunąć dolny rygiel, po czym, wyprostowawszy się, górny, wreszcie założył łańcuch i przekręcił klucz w firmowym zamku. Nie zapominając o niczym, przeszło Julii przez myśl i nagle zastanowiła się, czy to raczej nie dziwne, że w samym sercu Londynu, gdzie wszędzie kręcą się policjanci, ta kobieta podejmuje tak wymyślne środki ostrożności?

„Czyżby nigdy nie zapraszali gości na kolację?” – zapytała się w duchu. Ale odpowiedź na tę kwestię zapewne otrzyma we właściwym czasie.

Peters, zakończywszy przygotowania na noc, nie zwracał już uwagi na nowo przybyłą. Poruszając się niczym kot, minął ją i zniknął gdzieś na dole; zapewne powiadomił Sparkes o przybyciu Julii, bo chwilę później kobieta pojawiła się w ciemnym holu i podeszła do dziewczyny ze słowami: – Pójdzie panna ze mną, to pokażę jej pokój. – Julia zawahała się, obrzucając spojrzeniem walizkę, którą postawiła na krześle, ale kobieta nie zareagowała. Tak więc, podnosząc bagaż, Julie przygotowała się w duchu do pokonania schodów na poddasze. Ku jej zdumieniu, Sparkes zatrzymała się na piętrze.

– Madam tutaj pannę ulokowała – oświadczyła. – Ten pokój zajmowała panna Hope.

Jeśli to pomieszczenie odzwierciedlało sposób, w jaki pani Ponsonby zazwyczaj traktowała swe pracownice, Julia mogła sobie pogratulować. Był najwyraźniej jednym z dwóch najlepszych pokoi w tym domu, niezwykle elegancko umeblowany, z nowoczesnym łóżkiem i kosztownym, pięknym dywanem i innym wyposażeniem. Brakło tu takich wygód jak krany z gorącą i

zimną wodą, ale na wypolerowanym do połysku stole Julia dostrzegła miskę z pomalowanego szkła i dzban, a na wieszaku grube, puchate ręczniki.

– Bardzo ładny pokój – zauważyła ni stąd, ni zowąd.

Służąca nie odpowiedziała. Natomiast podeszła do okna i jeła zamykać okiennice. Cztery okna zajmowały niemal całą ścianę.

Julia zareagowała natychmiast. – Och, proszę, czy to konieczne? Lubię przewiew.

Sparkes nie odezwała się; dalej rozkładała i mocowała okiennice, zabezpieczała je grubym, metalowym prętem, wsuwając go do odpowiednich otworów.

– Madam bardzo przestrzega zaciemnienia – wyjaśniła chłodno, cofając się o krok. – Nie lubi także rozświetlonych okien.

To wyjaśniało dostatecznie brak żarówki w lampie nad toaletką, jedyna funkcjonująca stała przy łóżku, emanując słabą, matową poświatą.

– Przecież stąd nie będzie nic widać – zawołała dziewczyna. – Nie przy tych wszystkich zamkniętych okiennicach.

– Takie są polecenia madam – odrzekła krótko Sparkes. Ruszyła do drzwi, pozostawiając Julię niezdecydowaną w nogach łóżka.

– Czy nie powinnam... czy pani Ponsonby nie będzie chciała widzieć mnie ponownie dziś wieczorem? – odważyła się zapytać.

– W razie czego dam panie znać.

To bardzo dziwne, pomyślała Julia, ale w końcu cały ten dom sprawiał dziwaczne wrażenie. Po wpływie impulsu zawołała: – Mam nadzieję, że pani Ponsonby nie jest chora ani nie czuje się źle?

– Chora? – zdumiała się Sparkes. – Skąd przyszło to panie do głowy?

– Och, nie wiem. Pomyślałam, że jeśli nie chce mnie widzieć dziś wieczorem, to może coś jej dolega... – głos jej zamilkł w całkowitej ciszy. – No cóż, w takim razie będę się rozpakowywać, dopóki mnie nie wezwie.

– Madam powiedziała, że nie ma potrzeby się rozpakowywać.

Julia odwróciła się gwałtownie. – Nie ma potrzeby? Co to znaczy?

– No, na jedną tylko noc. Jutro z rana panna wyjeżdża.

– O nie – zaprotestowała słabo Julia. – Pani Ponsonby nic takiego mi nie

mówiła. A może wydarzyło się coś, co zmieniło jej plany?

– Nie mam pojęcia – odrzekła kobieta tym samym beznamiętnym tonem.  
– To są polecenia madam.

Jak nakręcona, pomyślała Julia, tyle że ona jest czymś o wiele więcej od maszyny. Wie, co się tu dzieje, choć mi nie powie. Czemu pani Ponsonby nic mi nie wspomniała o wyjeździe? Szybko zrobiła krok do przodu.

– Chcę natychmiast widzieć się z panią Ponsonby. Zaszło jakieś nieporozumienie...

Sparkes stanęła na podeście schodów. – Przyjdę po pannę, gdy madam będzie panny potrzebować – oznajmiła i zamknęła drzwi.

Pozostawiona samej sobie Julia przez moment odczuwała panikę. Ani przez chwilę nie uwierzyła, że w ciągu ostatnich dwóch godzin stało się coś, co skłoniło panią Ponsonby do zmiany planów. Nie, ta tajemnicza podróż była ustalona już rano, co by wyjaśniało jej niektóre dziwne pytania.

„Nawet nie wspomniała, dokąd jedziemy. Upewniała się, że nie mam żadnych powiązań. Bała się, by ktoś nie interweniował, ale czemu, jeśli wszystko jest w najlepszym porządku? Bo oczywiście nie jest. Wyczuwam tu coś bardzo dziwnego. Dlaczego dostałam najlepszy pokój w domu? Odpowiedź: bo są tu okiennice niezbędne dla jakichś jej celów. A ponadto te okna wychodzą na tyły posiadłości. Nawet gdyby udało mi się otworzyć okiennice, nikogo nie będzie w polu widzenia. Znam te domy. Niewielkie ogródki i tylne ściany przeciwnych budynków. Za to od frontu nie brak policjantów, taksówek i przechodniów.

Wciągnęła mnie w jakąś pułapkę i nie zamierza mnie uwolnić. Ale dlaczego? Jaki może mieć ze mnie użytek?”

Niezależnie od powodu, dla którego znalazła się w tej sytuacji, postanowiła, że nie spędzi nocy pod tym dachem. Teraz już wszędzie, w najdrobniejszych szczegółach wyczuwała zagrożenie. Gdy za kwadrans dziesiąta Sparkes wróciła z wiadomością, że pani Ponsonby jest gotowa ją przyjąć, zastała Julię w kapeluszu. Gdy weszła, dziewczyna pochyliła się po nie otwartą walizkę.

– Nie będzie panna jej potrzebowała – przypomniała pokojówka.

– Zaszła jakaś pomyłka. Nie spędzę tu nocy. Ja... nie mam ochoty wyjeżdżać z Londynu.

– Nie należy tak mówić, panienko – oświadczyła chłodno Sparkes. – Pani Ponsonby oferowała pannie miejsce, a panna przyjęła propozycję. Nie może jej panna teraz zostawić z niczym, w każdym razie dopóki nie znajdzie kogoś innego.

– Nie spodziewała się przecież sekretarki już dzisiaj wieczorem. A rano pani Hurst przyśle kogoś innego.

– Madam nie znosi czekania – ciągnęła z emfazą Sparkes. Podeszła, wyjęła walizkę z ręki dziewczyny. – Jeśli postanowi panna odejść, Peters zniesie ją na dół. Ale na panny miejscu dwa razy bym pomyślała. Będzie wyglądało trochę dziwnie, jeśli pojawi się panienka z powrotem w dawnym miejscu zamieszkania, mówiąc, że zmieniła zdanie. Nie sądzę także, by spodobało się to madam.

Pełna podejrzeń i obaw dziewczyna zeszła za swoją przewodniczką jednym ciągiem wąskich i stromych schodów, wiodących do olbrzymiego salonu. Tu upodobanie pani Ponsonby do światła uwidaczniały dwie lampy o mocnych żarówkach, ustawione po obu stronach fotela, w którym spoczywała. Lampy te były szczelnie osłonięte, by ich blask nie przedostawał się na zewnątrz, na ulicę, co powodowało, że pozostała, większa część pokoju tonęła w cieniu, jeszcze podwajając wrażenie nierzeczywistości. Salon, w przeciwieństwie do wyraźnie wiktoriańskiego saloniku, urządzono w stylu Empire. Krzesła, biurko, zasłony, wszystko zostało tak dobrane, by stworzyć niezapomniany obraz. I tu także najwyraźniej zaznaczała się osobowość pani Ponsonby. Czy znalazłaby się w pomieszczeniu z metalowymi sprzętami, czy w wigwamie, byłoby tak samo. Tej kobiety nie sposób było nie zauważyć. Nawet Julia odnosiła niejasne uczucie, że otoczenie istniało tylko dlatego, że tak życzyła sobie pani Ponsonby; gdyby wstała i wyszła, pokój rozplątałby się w powietrzu. Zastanawiała się nawet, czy sama istniałaby dalej, jeśli by ta przysadzista, mała kobieta w czerwonej jedwabnej sukni – gdyż nosiła czerwień w nocy tak jak i w dzień – postanowiła o niej zapomnieć.

„Ona jest niebezpieczna – zaświtała jej myśl. – Dzięki Bogu, że powiedziałam Colinowi, gdzie będę”. Przyszło jej do głowy, że dopóki pani Mackie nie

wróci z kina i nie otworzy jej listu, nikt poza Colinem nie miał pojęcia, gdzie ona się znajduje.

Pani Ponsonby uniosła wzrok. – A więc jest panna. Zaczynałam obawiać się, że mnie panna zawiedzie. Już była dziewiąta, gdy przyszałaś...

– Miałam kilka spraw do załatwienia – zachnęła się dziewczyna.

– Czyli jakich?

– Musiałam się spakować i zjeść coś na kolację, i załatwić kilka drobnych rachunków...

– I pewnie zadzwonić do kilkorga przyjaciół?

– Nie, nie starczyło mi na to czasu.

Była przekonana, że to nie jej wyobraźnia, że uśmiech pani Ponsonby rzeczywiście jeszcze nabral słodyczy. Ona nie chce, by ktokolwiek wiedział, że tu jestem, powtarzał cichy, natarczywy głos w mózgu Julii. To dlatego jutro wyjeżdżamy.

– Pani służąca poinformowała mnie, bym się nie rozpakowywała – wypaliła prosto z mostu.

Pani Ponsonby nie sprawiała wrażenia zażenowanej. – To wydaje się taką stratą czasu, gdy wyjeżdża się z samego rana.

– Nie powiedziała mi pani o wyjeździe.

– Do dziewiątej wieczorem nie była panna u mnie zatrudniona. Nie mam zwyczaju omawiać moich spraw z kimś obcym.

– Nie chcę opuszczać Londynu. Nie przyjąłabym tej posady, gdybym wiedziała.

– Mówiła panna, że nie jest z nikim związana. Nie powiedziała panna prawdy?

– Nie jestem. Ale...

– To dlaczego miałaby panna mieć coś przeciwko wyjazdowi na wieś na krótki czas? W istocie mój lekarz zalecił mi odpoczynek. Nie czuję się najlepiej. To też powód, że chciałam mieć sekretarkę, by zdjęła mi z ramion trochę drobnych kłopotów. Co tak naprawdę się pannie nie podoba?

Wbiła w Julię przeszywający wzrok. Dziewczyna poczuła się bezradna. Nie umiała znaleźć żadnych słów. Pani Ponsonby mówiła dalej: – I tak mam wystarczająco dość problemów. Panna Hope opuściła mnie prawie bez słowa ostrzeżenia, a teraz, gdy już sądziłam, że załatwiłam sobie pomoc, panna zamierza zepsuć mi plany. Gdyby nie powiedziała panna, że może przyjść już



dzisiaj wieczorem, nie zorganizowałabym wyjazdu na rano. Mam nadzieję, że nie okażesz się jedną z tych zmiennych młodych kobiet. Wydawała mi się panna osobą całkiem trzeźwo myślącą. To jeden z powodów, że zaproponowałam ci tę posesję...

Julia patrzyła na nią w milczeniu; sytuacja zdawała się bez wyjścia. Poza tym ostatnie słowa pani Ponsonby sugerowały, że jak wszystkie niezrównoważone kobiety przywykła, by spełniano najmniejszą jej zachciankę i była całkowicie niezdolna do patrzenia na sprawy z punktu widzenia innej osoby. Po prostu przyszło jej do głowy, że ma dość Londynu i pragnie odpocząć na wsi; najwyraźniej z tego powodu całe jej otoczenie musi także być gotowe do zmiany miejsca.

A poza tym, to ona płaci, a to w moim przypadku bardzo istotny aspekt – przypomniała sobie Julia.

– Będą to także miłe wakacje dla panny – kontynuowała starsza kobieta. – Myślę, że nie wyjedziemy na długo, ale męczy mnie cały ten hałas i ruch w mieście. Nie jestem już taka młoda jak kiedyś. Potrzebuję jakiegoś spokojnego zakątka. – Jej głos stał się jeszcze bardziej senny. – Trafimy na taką cichą wiejską posiadłość, z dala od ruchu, dzwonek i telefonów – no i ludzi, wszechobecnych, ciekawskich i plotkujących. Na wsi, z dala od tego wszystkiego, będzie przyjemnie.

Zdecydowanie chora psychicznie, pomyślała Julia i z jakiejś przyczyny poczuła się lepiej. Sparkes z pewnością zna prawdę; pewnie jest także swego rodzaju pielęgniarką. Julia poczuła współczucie dla potępianej panny Hope, która odeszła bez uprzedzenia. Zastanawiała się, jak długo zdołała znieść to napięcie. Nie miała tamtej za złe, a sama pozbyła się obaw. Lekarz, którego poznała w Edynburgu, powiedział jej kiedyś, że kwalifikuje się na doskonałą opiekunkę osób umysłowo chorych. „Masz stabilną psychikę – oświadczył – co jest jedną z najbardziej niezbędnych cech, by móc wpływać na innych; i sądzę, że masz w sobie wrodzoną dobroć. A to budzi zaufanie”. – Teraz Julia przypomniała sobie jego słowa. Pani Ponsonby, która obserwowała jej twarz, wyciągnęła dłoń i położyła jej na ramieniu.

– Nie myślała panna o tym na serio – powiedziała. – Nie masz przecież nic przeciwko wyjazdowi na wieś. To tylko krótka wizyta. Lekarz uważa, że zbyt dużo pracowałam – wszystkie te sprawy związane z wojenną

dobroczynnością i ogólną depresją. I podoba mi się panny powierzchowność. Nie znoszę wokół siebie wyłącznie starych ludzi.

Niechęć Julii osłabła. – Oczywiście, lubię wieś – przyznała. – Gdzie pani planuje wyjechać?

– Do bardzo miłego miejsca – odrzekła pani Ponsonby niejasno – naprawdę miłego. Przyjemnie tam i spokojnie. Wiesz, nie lubię hałasu. Wyprowadza mnie z równowagi.

Gdy mówiła, nagle rozdzwonił się telefon. Julia szybko obejrzała się w koło, ale nie zdołała wypatrzeć aparatu. Na jego dźwięk wyraz małej, ożywionej twarzy pani Ponsonby zmienił się. Wyciągnęła wolną dłoń, tę, którą nie dotykała Julii, i ze stojącego obok stolika zdjęła ozdobną, francuską lalkę, odsłaniając staromodny, czarny telefon. Ktokolwiek znajdował się po drugiej stronie linii, nie mógł być daleko; głos przedostawał się niczym widmowy szept.

– Tak – powiedziała pani Ponsonby – to Mayfair 00991. Kto? Nie, myślę, że to pomyłka. Nie, nie mamy tu nikogo o tym nazwisku. Przykro mi.

Odłożyła słuchawkę i poszukała ręką francuskiej lalki. Gdy odwróciła się z powrotem do Julii, ujrzała zmianę na jej twarzy. Dziewczyna zbladła jak papier, oczy jej płonęły.

– Czemu to pani powiedziała? – Julia zażądała wyjaśnienia. – Telefon był do mnie. Usłyszałam moje nazwisko.

– Pomyliłaś się – odrzekła natychmiast pani Ponsonby. – Ktoś chciał mówić z panną Cross. Nigdy nie było tu kogoś takiego.

– To było Ross – upierała się Julia.

– Niemożliwe. Zresztą sama mi powiedziałaś, że nikt nie wie o twoim pobycie tutaj. Kto mógłby do ciebie telefonować?

Julia pojęła, że złapała się we własne sidła. Instynkt, który próbowała zagłuszyć o szóstej wieczorem, rozdzwierał się w jej uszach. Nie mów jej o Colinie, podpowiadał. Z trudem udało jej się uśmiechnąć.

– Ma pani rację, oczywiście – przyznała – i proszę o wybaczenie. Nie mogło chodzić o mnie.

Poza tym może rzeczywiście się pomyliła. Dlaczego Colin miałby dzwonić do niej w godzinę po jej przybyciu na miejsce? Niemniej, wszystkie jej poprzednie obawy gwałtownie powróciły. Przedłużające się milczenie przerwało

dzwonienie francuskiego zegara, ustawionego pod szklaną pokrywą na biało pomalowanym gzymsie kominka. Po dziesiątym uderzeniu drzwi otwały się i wszedł Peters z dwoma szklankami mleka na tacy.

– Pani mleko, madam – powiedział.

– To już dziesiąta? Och, przyniosłeś szklankę dla panny Ross. Bardzo uprzejmie z twojej strony. Pomoże ci zasnąć – dodała w stronę Julii. – Za skarby świata nie zrezygnowałabym z mojej szklanki mleka.

Julia, która go nie znosiła, zawahała się, ale pod spojrzeniem dwójki bacznych obserwatorów jej opór znów osłabł. Nie należało dawać im powodu do podejrzeń. Ona już snuła plany. Tego wieczora było za późno na cokolwiek poza pozornym pogodzeniem się z planami pani Ponsonby; ale powiedziała sobie, że nie zamierza jechać z tą dziwną kobietą i jej przerażającą pokojówką do „cichej posiadłości na wsi, gdzie nie będzie ruchu samochodowego, ludzi ani hałasu”. Obie kobiety wypity mleko na stojąco, podczas gdy sztywno wyprostowany Peters czekał z wyciągniętą tacą, by zabrać puste szklanki. Jak tylko skończyły, pani Ponsonby powiedziała stanowczo: – To wszystko na dzisiaj wieczór. Tutaj kładziemy się wcześniej. Mam nadzieję, że będziesz dobrze spała, jutro mamy mnóstwo pracy.

Jej słowa oznaczały pozwolenie na odejście i tak je Julia przyjęła. Życzyła damie dobrej nocy i poszła na górę do swojego pokoju. Ale nie od razu położyła się do łóżka. Przede wszystkim otworzyła okiennice i wyjrzała przez okno. Jak się spodziewała, nie widać było nic poza zasłoniętymi oknami domu naprzeciwko i małym, ciemnym ogródkiem, w którym, pod niewidocznymi wawrzynami, hałaśliwie baraszkowały koty. Ich przenikliwe okrzyki miłosne zakłócały ciszę nocy. Ściągając szczelnie zasłony, włączyła lampę przy łóżku; błękitnawe światło tworzyło w tym przestronnym pokoju upiorny krąg, pozostawiając w kątach duże połacie cienia. Julia przypomniała sobie, że nie zapytała Sparkes o lokalizację łazienki, więc wyszła na korytarz, by się zorientować. Ku jej zdziwieniu cały dom już tonął w ciemnościach; a przecież wcześniej nie słyszała kroków na schodach, żadnego zamykania drzwi. Stopniowo dotarło do niej, że nad nią wznosiły się jeszcze co najmniej dwa piętra. Kto mieszkał w tych wszystkich pokojach? A może stały puste? Jeśli spała tam służba, to dlaczego nie słyszała nikogo, kto by wchodził po schodach? I czemu wszędzie

panowały smoliste ciemności?

– Nie mogę tak stać na tym podeście – mruknęła cicho. – Muszę zejść na dół, tam gdzie są wszyscy. Choć uważam, że ta kobieta, jak i Peters, to źli ludzie, ale i ta samotność jest nie do zniesienia.

Bezszelестnie zeszła kilka stopni, gdy uświadomiła sobie, że jakieś światło sunie w jej stronę. Małe i zielone, unosiło się kilka cali nad podłogą. Zdrętwiała ze strachu; stała jak wryta na ciemnych schodach. Potem coś ją dotknęło, coś miękkiego i natarczywego, i omal nie udławiła się ze śmiechu.

– Wariuję – ostrzegła samą siebie. – Żeby tak dać się śmiertelnie wystraszyć kotu, czarnemu, o przenikliwych oczach.

Zatrzymała się, by podnieść stworzenie z podłogi, uznawszy, że każdy kontakt doda jej otuchy, ale gdy jej palce dotknęły miękkiego futerka, zwierzę zrobiło przed nią unik. Próbowwała wypatrzeć, w którą stronę pobiegło, ale zielone światełko znikło, jakby ktoś je zdmuchnął. Na palcach zeszła jeszcze kilka stopni. Znowu zatrzymało ją światło, tym razem innego rodzaju. Płomień jarzący się w ciemnościach rzucał na ścianę cień o zarysach olbrzymiej, złowieszczej głowy; zdeformowane monstrum zdawało się skinąć do niej, jakby potwierdzało, że wie o jej obecności na schodach; następnie powoli przesunęło się dalej. Po chwili znikło na dole; przechyliwszy się przez poręcz ujrzała, jak wnika przez drzwi salonu.

– To była świeczka – pomyślała – ale po co, jeśli działa elektryczne światło?

Wciąż zastanawiała się nad tą osobliwością, gdy ktoś przemówił do jej ucha.

– Zgubiła się panna?

Julia krzyknęła, zaskoczona. – Ja... przyszłam sprawdzić, czy kogoś znajdę. Nie wiem, gdzie jest łazienka – wyjąkała rozpaczliwie.

– Gdybyś zadzwoniła, powiedziałabym ci – głos Sparkes brzmiał beznamiętnie, oschle. – Zresztą i tak nie znalazłabyś jej na tym piętrze.

– To prawda – przyznała Julia, szcękając zębami. – Do tego omal nie upadłam, natknąwszy się na kota, i zrobiło mi się głupio. – Mówiła, co jej ślina przyniosła na język, cała zdrętwiała i przerażona wydarzeniami ostatnich sekund. Jednak gdy z powrotem znalazła się w swoim pokoju, musiała przyznać

sama przed sobą, że jej obawy były nieuzasadnione. Wyobraziła sobie, jak opowiada tę historię Colinowi, i niemal widziała jego zdumioną minę.

– Co u licha sprawiło, że tak się zdenerwowałaś? – zapytałby. – To normalne, że wieczorem gasi się światła, a czarne koty przynoszą szczęście. A co do świeczki, myślę, że ten stary zapomniał czegoś, a wiedząc o niechęci pani P. do światła, nie odważył się przekreślić kontaktu.

Sytuacja widziana z tej perspektywy zdawała się całkowicie normalna. Jednak Julia wiedziała, że instynkt nie oszukał jej. Przychodząc na przesłuchanie do pani Ponsonby, wprawiła w ruch maszynę; wyniku tego procesu nie dało się przewidzieć, wiedziała tylko, że w coś się wpackowała, i to na śmierć i życie.

– Najpewniej zaczynam wariować – skarciła się, zdejmując wierzchnie ubranie, nagle niewypowiedzianie zmęczona. Już odpływała w sen, gdy w głowie zaświtała jej z przerażającą jasnością myśl: o to właśnie im chodzi. W jakiś sposób wpadłam w tę okropną pułapkę, a oni nie pozwolą mi odejść i zawiadomić kogokolwiek.

Choć czuła się wyczerpana, zmusiła się do wstania z łóżka i ustawiła krzesło przy drzwiach, blokując klamkę. Już wcześniej okazało się, że w zamku nie ma klucza, który zapewniłby jej ochronę, ale choćby spała nie wiadomo jak głęboko, obudziłby ją hałas, gdyby ktoś forsował drzwi. Wśliznąć się po ciemku do pokoju i śmiertelnie wystraszyć śpiącą osobę, to powszechnie znana sztuczka. Myśląc o tym, wyciągnęła rękę, niemal oczekując, że z ciemności wychyli się czyjaś dłoń i pochwyci ją. Gdy nic takiego nie nastąpiło, jej znękanym umysłem zasugerował, że celowo ją tak dręczą; gdy przedtem stała na schodach, ktoś pewnie zakradł się do środka i ukrył za kotarami. Myśl ta nie dawała jej spokoju, wcisnęła więc włącznik lampy przy łóżku. Nic się nie zmieniło; nie zmaterializowało się nawet to nikłe, błękitnawe światło, przy którym się rozbiegała. Wtedy zrozumiała znaczenie świeczki. Prąd został wyłączony.

**G**dy Sparkes ujrzała, że Julia już wróciła do pokoju, zeszła na dół, do saloniku, gdzie Peters czekał przy świeczce.

- Czego chciała? – zapytał szorstko na jej widok.
- Szukała łazienki.
- Nie podoba mi się to – stwierdził.

– Mnie także – przyznała Sparkes. – Nigdy nie sądziłam, że zostanę zamieszana w... morderstwo.

– Kto tu mówi o morderstwie? – Peters cedził słowa.

– A jak inaczej byś to nazwał?

– W ogóle bym o tym nie wspominał, i ty też, gdybyś miała choć trochę zdrowego rozsądku. Zapamiętaj tylko: nic nie wiesz i nie ma niczego, co powinnaś niby wiedzieć.

Sparkes powiedziała zalekniona: – Taka młoda – to wyda się jeszcze gorsze.

Twarz Petersa pociemniała z wściekłości: – Trzymaj gębę na kłódkę – ostrzegł kobietę. – Nie zapominaj, że tkwisz w tym tak jak my wszyscy. Już za późno na rozterki. Masz tylko wykonywać polecenia. Organizację zostaw nam, dobrze?

Sparkes wolno pokiwała głową. – Nie masz się czego obawiać. To nie ja mogę zepsuć plan. Ale i tak nie podoba mi się to. I jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Dziewczyna może sprawić kłopoty.

– Miewaliśmy je już – odpalił. – Lepiej wracaj i upewnij się, że śpi. Nie potrzeba nam tu żadnych sztuczek. Gdy już znajdziemy się na miejscu, będzie inaczej. Doskonale sobie z tym poradzimy.

Sparkes zawróciła do drzwi. – Wiedziałaś, że ktoś dzwonił do niej dzisiaj wieczorem?

– Ktokolwiek to był, nie będzie miał okazji do powtórki.

Sparkes zostawiła go w zagraconym pokoju, pełnym wspomnień i doświadczeń minionych pokoleń, a świeca rzucała na ścianę monstrualny cień. Przemykając się po schodach na górę, przystanąła przed drzwiami Julii i delikatnie przekreśliła gałkę. Drzwi nie ustąpiły, więc po chwili cicho odeszła. Otworzyły się inne drzwi i wąski promyk światła latarki padł na korytarz.

– Sparkes! – zaskrzypiał głos pani Ponsonby. – Sparkes, wejdz. Mamy mnóstwo do roboty, nim nadejdzie ranek. Musimy wyjechać wcześniej.

## 4.

**W**alcząc z ogarniającą ją sennością, Julia próbowała obmyślić pan działania na następny dzień. Tego wieczoru pani Ponsonby wygrała pierwszą rundę, ale następna będzie należała do niej.

– Wstać jak najwcześniej. – Słowom tym udało się przeniknąć do jej przyćmionej świadomości. – Nie pakować niczego poza kosmetyczką i szczotką do włosów – wynieść się, nim ta stara zejdzie na dół...

Przecież w świetle dnia nie tak łatwo więzić dziewczynę, która rozpaczliwie chce się uwolnić. Wystarczy, że zacznie krzyczeć, rozbije szybę w oknie – zrobi cokolwiek, pomyślała, choćby nie wiadomo jak niezdarnie, byle tylko wydostać się z tego przerażającego domu. O siódmej już jej tu nie będzie. Nie potrafiła dalej wybiec w przyszłość. Najważniejsze, by uciec.

Nawet gdyby chciała obmyślić bardziej szczegółowy plan, nie tyłoby to możliwe. Opary snu ogarnęły ją, niczym fale nadlatujących bombowców; gdy tylko odparła atak jednych, nacierały następie. W końcu, wyczerpana przeżyciami i lękami dnia, opadła głową na poduszkę i pochłonął ją sen.

**C**zarny, stojący w holu zegar, ze śmiesznym wzorem księżyców na pomalowanej tarczy, wybił kwadrans. Ktoś delikatnie naciskał klamkę drzwi pokoju Julii. Przeszkoda ustawiona pod nimi poprzedniego wieczoru wciąż znajdowała się na miejscu.

– Co jest? – Peters jak cień zmaterializował się u boku stojącej na korytarzu kobiety.

– Nic. Zastawiła drzwi komodą czy innym meblem. Chyba nam nie ufa.

– Lepiej ściągnij ją z łóżka. Wiesz, o co chodzi. Ktoś tu nie lubi czekać.

Poza tym, im wcześniej ten dom opustoszeje, tym lepiej.

Sparkes zdrząła lekko w radosnym blasku słońca; jej twarz przypominała pergamin z głęboko wyżłobionymi w nim symbolami. Dłoń, którą uniosła, by zapukać do drzwi, lekko drżała.

Julia, wyrwana z głębokiego snu, dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie się znajduje. Potem, gdy jej wzrok ogarnął meble, wzór na dywanie, kolor kołdry, oprzytomniała. Szybko spojrzała na mały budzik na stoliczku obok łóżka. Piętnaście po ósmej! Nie mogła w to uwierzyć. Nawet uniosła zegarek i z desperacją nim potrząsnęła. Jak zauważyła, alarm nie zawiódł, tylko najwyraźniej przespała jego dźwięki, coś, co nigdy wcześniej jej się nie przydarzyło. Osoba za drzwiami pukała coraz mocniej. Cienki głos zawołał: – Panno Ross! Panno Ross!

Odrzuciła przykrycie i zeskoczyła z łóżka.

– Już idę. – Odsunęła krzesło, otworzyła drzwi. Na zewnątrz stała Sparkes; po Petersie nie pozostało śladu.

– Przepraszam, że pannę budzę – uprzejmie tłumaczyła kobieta. – Ale pani Ponsonby planuje bardzo wczesny wyjazd, gdyż czeka nas długa podróż. Madam już je śniadanie.

– Zaspałam – stwierdziła Julia. – Nie wiem czemu, bo nigdy mi się to nie zdarza. Proszę powiedzieć pani Ponsonby, że zejść za dziesięć minut.

Po odejściu kobiety, dziewczyna, ofiara mieszkańców tego domu, podeszła do wiszącego na ścianie lustro i stała tam przez chwilę, wpatrując się w swoje odbicie. Widziała smukłą postać w zielonej, jedwabnej piżamie, o ciemnych włosach zmierzwionych po nocy, policzkach bledszych niż zazwyczaj, z cieniami pod oczyma.

– Wyglądasz jak wiedźma – powiedziała do siebie ponuro. – I z pewnością to nie do końca wina pani Ponsonby. Od tygodni nie jadałaś wystarczająco. Tak czy owak nie powinnaś być zaskoczona, jeśli przy takiej aparycji nikt nie chciał cię zatrudnić.

Pospiesznie zrzuciła piżamę i umyła się w zimnej wodzie. Ubierając się, układała zdania, którymi zapewni panią Ponsonby, że nie wyjedzie z Londynu.

– Ona nie może zmusić mnie siłą – przekonywała się, szcztokując włosy, grzebieniem podkręcając końce. – Przecież mnie nie zaknebluje i nie wrzuci do auta. Oczywiście, może zatelefonować do pani Hurst i sprawić, by było mi



bardzo trudno znaleźć inną pracę, gdyż połowa agencji współpracuje ze sobą, ale nic poza tym. Cokolwiek się stanie, nie wyjadę z Londynu.

Z tym mocnym postanowieniem zeszła na dół, z walizką w ręce. W holu natknęła się na Sparkes.

– Madam tu je śniadania – powiedziała, prowadząc Julię do jeszcze innego pomieszczenia tego niesamowitego domu. – Samochód podjedzie o dziewiątej.

Julia, w kapeluszu i płaszczu, z rękawiczkami w ręce, pospiesznie weszła do środka.

– Przepraszam, zasnęłam – tłumaczyła się, wyraźnie nie zamierzając usiąść. – Nigdy mi się to nie zdarza. Bardzo dziwne.

Pani Ponsonby najwyraźniej wcale tak nie uważała. – Może tak zadziałało gorące mleko – zauważyła gładko. – Pewnie nie nawykłaś do picia go wieczorem, stąd ten efekt.

Dziś jej oczy były obojętne i twarde niczym agaty. Julia poczuła ogarniającą ją falę autentycznego lęku.

Oczywiście – pomyślała – do mleka dodali narkotyk. Ona wiedziała, że mogę spróbować się wydostać, a w żadnym wypadku nie chciała, bym odeszła. Do czego właściwie aż tak mnie potrzebuje? Bo że tak jest, to oczywiste. Nie cofnie się przed niczym, by zapobiec mej ucieczce. Ale jakoś muszę ją przechytrzyć.

– Siadaj i coś zjedz. Niezłe sobie pospałaś – upomniała ją pani Ponsonby.

Julia, niechętnie, usiadła. – To mleko było jakieś dziwne... – zaczęła. – Nie sądzi pani?

– Nic podobnego – odparowała żywo dama. – Napój uspokajający i pewność, że w końcu zdobyłaś bezpieczną pozycję – całkiem zrozumiałe. Ale dla nas nieco niewygodne, bo bardzo opóźniło wyjazd.

*Bezpieczną pozycję*, pomyślała Julia, odruchowo sięgając po kawałek grzanki i filiżankę z kawą. Tak powiedziała. No to pora poinformować ją, że nie jadę. Już otwierała usta, ale pani Ponsonby uprzedziła ją, mówiąc: – Oto bilety. Zaopiekuj się nimi.

Julia odruchowo wzięła je. Opiewały na miejsca w pierwszej klasie do Bournemouth, które jak na razie pozostawało terenem bezpiecznym. Pani

Ponsonby wręczyła jej coś jeszcze – naklejkę na bagaż z adresem hotelu w Bournemouth.

– Zdaje się wspominałaś o jednej walizce? No to jak tylko zjesz śniadanie, przyczep do niej etykietkę, a Peters umieści ją w samochodzie.

Julia odzyskała głos. – Pani Ponsonby, przykro mi, ale nie cofam tego, co powiedziałam wczoraj wieczorem. Nie chcę opuszczać miasta.

– Jak mówiłaś, od kiedy to zarabiasz na swoje utrzymanie? – sucho zapytała chlebobawczyni.

– Ja... sześć lat.

– Dziwię się, że ktoś zatrzymał cię choćby przez sześć miesięcy, jeśli aż tak zmieniasz zdanie. A co do twego braku chęci do wyjazdu do Bournemouth, to absurd. To cudowne miejsce, z uroczymi trasami spacerowymi i wspaniałym powietrzem. Wyglądasz mizernie i nic dziwnego. Wakacje dobrze ci zrobią. A teraz dokończ tę grzankę i daj spokój głupstwom.

Julia już miała coś odpowiedzieć, ale zawahała się. W końcu to śmieszne, pomyślała. Przecież w Londynie dziewcząt nie porywa się ani nie zmusza do wyjazdu wbrew woli. A ona, Julia, jest młoda, silna i nawykła do troszczenia się o siebie. Odnosiła wszakże wrażenie, jakby usiłowała wspiąć się na jakąś pionową skałę. Za każdym razem, gdy udało jej się dotrzeć trochę wyżej, niewzruszona reakcja pani Ponsonby spychała ją w dół. Poza irracjonalną niechęcią, nie miała żadnego przekonującego powodu do odmowy wyjazdu do Bournemouth. Drzwi otwały się i do pokoju wszedł Peters.

Pani Ponsonby podniosła się, strzepnęła z kolan okruszki.

– Gotowa? Jeśli jesteś głodna, weź do samochodu kawałek grzanki. Co z etykietką?

– Nakleiłem ją na walizkę młodej damy – oznajmił Peters. – Bagaż jest już w aucie.

Pani Ponsonby pospiesznie wyszła do holu. Julie podążyła za nią, wypominając sobie, że zostawiła walizkę bez opieki. Teraz, jeśliby zrobiła scenę, trzeba by było wyładować cały bagaż, którego sporo umieszczono w długim, czarno-srebrnym daimlerze, zaparkowanym przed bramą. Na ich widok, szofer, Ferrers, wysiadł z auta. Ten młody blondyn o miłej powierzchowności nie

wydawał się obciążony nadmiernym rozumem.

– Dzień dobry, madam. Mamy miły dzień na przejażdżkę.

Poranne słońce oblewało ich strumieniem złota. Polyskiwało na wypolerowanych oknach samochodu, na nieskazitelnym lakierze karoserii. Idealne tło dla Julii, w jej niebieskim kostiumiku z długim, białym kołnierzykiem, w białych rękawiczkach i niebieskich bucikach z białymi noskami. Przypominała, choć nie była tego świadoma, sylwetkę z okładki *Vogue'a* – dopóki nie ujrzało się jej niepokojących oczu.

– Pospiesz się – ponaglała pani Ponsonby – wolelibyśmy nie spóźnić się na pociąg. – Ferrers wrócił do samochodu i już przytrzymał otwarte drzwiczki. Pani Ponsonby potruchtała za nim. Tego dnia zrezygnowała z żywych kolorów i miała na sobie czarny płaszcz, podkreślający jej przysadzistą, niezbyt miłą dla oka postać. Julia czuła się jak ktoś, kto zażył dawkę narkotyku. Jakby pod wpływem środka rozluźniającego mięśnie – do tego stopnia, że niezdolne są do oporu – czuła się bezbronna, jakby niesiona falą nic nie robiącą sobie z jej słabych wysiłków.

„Lepiej poczekam, aż dojedziemy na dworzec – niepewnie powiedziała sobie w duchu. – Zajmą się bagażem, a wtedy chwycę walizkę i wymknę się”.

Niestety, już nie była taka pewna siebie. A jeśli pani Ponsonby wynajmie bagażowego – lub nawet dwóch – by przenieśli kufry i pudła na kapelusze – cóż to za ilości zabrała na krótki pobyt – czy uda jej się z tej góry bagażu wyjąć jedną, małą, trochę podniszczoną walizkę? A jeśli pani Ponsonby oświadczy, że to jej własność, i zrobi scenę? Julia przeczuwała, że ta kobieta nie cofnęłaby się przed niczym, by osiągnąć swój cel.

Samochód ruszył. Żadna z pasażerek nie odzywała się. Pani Ponsonby siedziała skulona w swoim kącie, z wielką czarną torbą na kolanach; trzymała ją mocno i wydawała się nieświadoma obecności Julii. Ta snuła plany i odrzucała jeden po drugim. Cokolwiek się wydarzy, nie opuści miasta. Żywiła przesądne przekonanie, że, jeśli to uczyni, będzie zgubiona. Teraz zaczynała zastanawiać się nad panią Ponsonby, nad ewentualnymi motywami jej dziwnego zachowania. Sam wygląd tej kobiety, podobnej do małej wrony, wciśniętej w kąt luksusowego samochodu, nic jej nie mówił. Ale pani Ponsonby nawet teraz emanowała siłą i absolutną bezwzględnością, do której nie dotrze żadna prośba.

„Co stało się z panem Ponsonby? – zastanawiała się Julia. – Czy umarł z powodu stresu czy...?” Gwałtownie urwała myśl. Nawet w duchu nie chciała używać słów takich jak morderstwo. Jednak potrafiła sobie wyobrazić panią Ponsonby, jak tym samym, kamiennym wzrokiem patrzy na mężczyznę, który jej zawadzał i właśnie został usunięty z drogi.

Pragnąc oderwać się od podobnych rozważań, Julia odwróciła się do okna i wyjrzała przez nie. Ku swym zdumieniu zauważyła, że już wyjechali z Londynu. Gwałtownie zwróciła się do chlebodawczyni.

– Ależ to... Wielka Zachodnia Droga – zaprotestowała.

– O tak. – Pani Ponsonby nie wydała się ani trochę poruszona, jednak Julia, rzuciwszy jej baczne, nieufne spojrzenie, dostrzegła, że powieki kobiety nie do końca przysłaniały przenikliwe, czarne oczy, dłonie, niby obojętnie przytrzymujące podnieszczoną torebkę, gotowe były do ataku, a całe ciało spięte od skrywanego podekscytowania.

„Zapewne Ferres też należy do spisku – pomyślała Julia, w panice uświadamiając sobie, jak łatwo wyprowadzono ją w pole. – Teraz już nie uda mi się uciec”.

Rozpaczliwie starała się zachować spokój. – Mówiła pani, że jedziemy do Bournemouth – nawet dała mi pani bilety.

– No więc?

– Ale do Bournemouth jedzie się ze stacji Waterloo.

– Jeśli podróżuje się pociągiem.

– A my – nie?

– To chyba oczywiste.

– Ale... te bilety?

– Lepiej mi je oddaj. Postaram się o zwrot pieniędzy, Peters tego dopilnuje.

Julia zawahała się. Jeśli odda bilety, pożegna się z ostatnią cząsteczką dowodów na prawdziwość historii, którą może przyjdzie jej opowiedzieć – o tak, jeśli będziesz miała okazję, zakpił głos w jej głowie.

– Nie wierzę, by w ogóle zamierzała pani jechać do Bournemouth – stwierdziła.

– Cóż to za sposób odzywania się. A tak naprawdę, to w taki dzień, gdy ma się paliwo, byłoby zbrodnią jechać pociągiem.

– Czyli co – jedziemy do Bournemouth?

– Nie widziałaś naklejek na całym bagażu? – Dama z pogardą kopnęła butem małą walizkę. Julia usiadła wygodniej, nieco uspokojona. Być może, mimo wszystko, jak przekonywała samą siebie poprzedniego wieczoru, pani Ponsonby to ekscentryczka, bogaczka nawykła robić co chce i zachowująca się jak tyran, gdy czegoś nie dostanie. Może rzeczywiście zdążali do hotelu Albion w Bournemouth i już za trzy miesiące będzie się z Colinem śmiała ze swoich lęków. Ale ta myśl sparaliżowała ją. Jeśli wszystko było w porządku, dlaczego ostatniego wieczoru pani Ponsonby zaprzeczyła jej obecności w domu? I co z telefonem do pani Hurst i poinformowaniem, że posada została objęta? To nie byłoby możliwe, zanim wyjechali, gdyż agencji nie otwierano przed dziesiątą. I na stoliku w holu nie było listów, a Ferrer nie otrzymał ani jednego z poleceniem wysłania. Choćby nawet była wielką optymistką, wszystko wskazywało na jedno: pani Ponsonby chciała ją wywieźć tak, by nikt nie wiedział dokąd. Ale szukanie przyczyn podobnego zachowania prowadziło do o wiele większej i jeszcze bardziej przerażającej tajemnicy. Jakikolwiek był cel ich podróży, z pewnością jechali w jakieś ciche miejsce, gdzie nie słychać kroków przechodniów ani odgłosów przejeżdżających samochodów, gdzie nie ma telefonów ani sąsiadów. W podobnej kryjówce może nigdy nie zostać odnaleziona – lub za późno! Rozpaczliwie walczyła z rosnącą, zagrażającą jej zadławieniem falą hysterii. Gdyż jaki sens miałoby przypuszczenie, że pani Ponsonby wywoziła w nieznane całkiem obcą sobie dziewczynę, o której istnieniu dowiedziała się przed dwudziestoma czterema godzinami, by ją zamordować. A jednak, gdyby wszystko było w porządku i nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo, po co ten sekret, to całe oszustwo?

„Jestem pionkiem w jakiejś grze, o której nie mam pojęcia – powiedziała sobie Julia. – Moją jedyną nadzieją jest ucieczka, zanim dotrzemy na miejsce. Nawet gdybym musiała zostawić walizkę. Najważniejsze to uciec”.

Przez jakiś czas miała nadzieję, że szofer zatrzyma się, by uzupełnić paliwo w baku, ale najwyraźniej uprzedzono go o długiej podróży i przygotował się na

to, bo samochód mijał stacje benzynowe jedną po drugiej. Był wspaniały wiosenny poranek. Głogi i drzewa owocowe, całe w bieli, wznosiły się na tle nieba, wiał łagodny wietrzyk, który poruszając liście, odsłaniał ich srebrne, wewnętrzne powierzchnie; na polach biegały krzepkie o tej porze i bojowe jagnięta; przemykali przez małe wioski, których domy otwierały się na wybrukowane dróżki; a okna zasłaniały nieodłączne paprocie w kolorowych garnkach. Mężczyźni siedzieli przed gospodą, kobiety wchodziły i wychodziły ze sklepów, niosąc wielkie torby z jarzynami i innymi wiktuałami; na moście stali dwaj młodzieńcy; na brzegu rzeki jakiś pies zapamiętałe podskakiwał, chwytając patyki; na odbijającej błękit nieba tafli stawu unosiło się stado białych kaczek. Świat zdawał się tak normalny, że własne położenie wydawało się Julii niewiarygodne. Ale pamiętała, że choć przejeżdżali przez normalność, nie byli jej częścią; ani nie zatrzymali się, by ją podzielić. Pozostawiali ją za sobą i pędzili dalej i dalej.

## 5.

**J**ulia skoncentrowała całą swą słabnącą już nadzieję na przerwie na lunch. Z pewnością zatrzymają się gdzieś na południowy posiłek, gdyż dokładnie obejrzawszy bagaż, nie dostrzegła niczego, co by przypominało koszyk piknikowy. A wtedy, choć będzie to oznaczało wywołanie sceny, a nawet ściągnięcie uwagi policji, musi się wyrwać, zanim zatrzaśnie się za nią brama nieznanego domu, całkowicie odcinając ją od przyjaznego i znanego jej świata. W torebce miała kilka srebrnych monet, starczą jej na wynajęcie taksówki, którą każe się odwieźć do najbliższej stacji, a banknot funtowy, przechowywany na wyjątkowe okoliczności, wystarczy na zakup powrotnego biletu do Londynu. Gdy już się tam znajdzie, odszuka Colina... po dojściu do tego punktu zawahała się. Nie przyszło jej do głowy, że w zawirowanym świecie Colin także mógł zniknąć.

Krótko po pierwszej samochód wjechał do wyglądającego na zadbane, targowego miasteczka i kierowca zatrzymał się, by spytać o drogę.

– Zjemy tu lunch – zapowiedziała pani Ponsonby przyjaznym tonem. – Ucieszysz się z okazji do rozprostowania nóg. – Obrzuciła niechętnym spojrzeniem długie, szczupłe nogi w jedwabnych pończochach koloru przypalonych migdałów.

– O tak, w istocie – odrzekła Julia, starając się zachowywać się jakby nigdy nic, nie okazać, jak bardzo się niecierpliwi. – Ja też zgłodniałam.

Samochód zatrzymał się i Ferrers wysiadł. Najwyraźniej otrzymał odpowiednie polecenia, gdyż nie otworzył drzwiczek, lecz skierował się do ekskluzywnej cukierni, nad którą napis głosił: „Lunche. Podwieczorki. Lody”. Julia obserwowała go z napięciem, wyciągnęła dłoń do drzwi. Nie wiedzieć czemu, były zablokowane. Nacisnęła klamkę energiczniej.

– Szkada twojego zachodu – zauważyła oschle pani Ponsonby. – Są zamknięte na kluczyk.

– Na kluczyk?

– Tak. Jechałam kiedyś samochodem, w którym drzwiczki otworzyły się przypadkiem i zginęła kobieta. Od tamtej pory podejmuję wszelkie środki ostrożności.

– Przecież teraz nie podróżujemy. Można je całkiem bezpiecznie otworzyć – zaprotestowała Julia.

– Ferrers odblokuje je, gdy wróci. Załatwia dla nas lunch.

– To będzie coś wyjątkowego?

– Kazałam przynieść jedzenie do samochodu. Nie lubię restauracji, wielkich, zatłoczonych miejsc i gapiących się ludzi. Wolę prywatność. – Pochyliła głowę do Julii niczym jeden konspirator zwierający się drugiemu.

Obawy dziewczyny wzrosły; przypominały olbrzymie, ogniste koło, obracające się w jej głowie.

– Ale... przed jedzeniem umyłabym ręce.

– Oczywiście. Musimy jednak poczekać na powrót Ferrersa. Nie należy zostawić auta bez nadzoru.

– Mogłabym pójść pierwsza – zaproponowała Julia, usiłując powstrzymać szcęknięcie zębów.

– Trzeba poczekać, aż Ferrer wróci i odblokuje drzwiczki – odrzekła pani Ponsonby, nawet się nie zająknąwszy.

Ferrers wyszedł ze sklepu i podszedł do auta od strony chlebobawczyni.

– Lunch będzie gotowy za pięć minut, madam. A właścicielka pozwoli nam skorzystać z prywatnego wejścia.

Julie ściągnęła brwi. – Myślałam, że tu zjemy... – zaczęła, gdy pani Ponsonby lekko ją pchnęła, a Ferrers usiadł na swoim miejscu i pochylił się, by odblokować drzwiczki. Julia błyskawicznie zerwała się, ale pani Ponsonby okazała się jeszcze szybsza i już czekała na chodniku, gdy dziewczyna wydostała się z wozu. Wsunęła jej rękę pod ramię i poprowadziła nie do sklepu, lecz do prywatnego wejścia, gdzie powitała ich starsza, siwowłosa kobieta o miłej powierzchowności.



– Tymi drzwiami – rzekła życzliwie, patrząc na Julię z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Niech pani idzie pierwsza – zaproponowała Julia. – Ja poczekam. – Ale pani Ponsonby mocniej ścisnęła jej ramię.

– Wszystko w porządku, kochanie – powiedziała i teraz w jej głosie zabrzmiała nuta, której Julia wcześniej nie słyszała. – Jesteś przy mnie całkiem bezpieczna. Nikt nie będzie się w ciebie wpatrywał, nikt cię nie skrzywdzi. – I uśmiechnęła się do siwowłosej kobiety, która odwzajemniła uśmiech. A Julia stała nieruchoma niczym głaz; sądziła, że poprzedniej nocy sięgnęła dna otchłani strachu, ale teraz wiedziała, że tylko chwiała się na krawędzi, niepewnie wpatrując się w głębię. To, co rysowało się przed nią, było gorsze niż cokolwiek, co mogła sobie wyobrazić. Uświadomiła sobie o wiele wyraźniej niż przedtem, kim jest kobieta, przeciwko której zbierała siły. Pani Ponsonby niczego nie pozostawiała przypadkowi; wszystko miała zaplanowane. Dowodem było: mleko z narkotykiem, walizka zabrana, nim właścicielka zdążyła zaprotestować, ustalenia związane z lunchem. Znów okazała się górą. Nic, co by Julia powiedziała, żadne wyjaśnienie, choćby wielce przekonujące, nie miałoby żadnego znaczenia. Niechby spróbowała tłumaczyć, że jest przetrzymywana wbrew woli, a kobiety spojrzyłyby na siebie znacząco. Biedactwo, mówiłoby ich spojrzenie. Aż tak ją wzięło. Gdyby upierała się przy swojej wersji, nikt by jej nie uwierzył. Obsesje. Jakie to smutne. Taka młoda i niebrzydka. Co za odpowiedzialność spoczywająca na barkach... czyich? Opiekunki – ciotki – matki?

– Tędy, kochanie. – Pani Ponsonby znów się odezwała.

Julia rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na drugą kobietę, ale na jej pozbawionej emocji, delikatnie upudrowanej twarzy ukazał się jedynie uspokajający uśmiech.

– Będzie panienska bezpieczna – zapewniła. – Nikogo tam nie ma.

Julie uczyniła ostatni rozpaczliwy wysiłek odzyskania wolności. – Muszę wrócić do samochodu – zawołała. – Zostawiłam coś...

Obie kobiety ponownie się uśmiechnęły. „Nie widzisz, kim ona jest? – krzyczało serce Julii. – Że jest fałszywa? Zła? Niebezpieczna?” Ale nie. Pani Rutland nie widziała nic poza smutnym obrazem cierpiącej na złudzenia

młodej kobiety, którą należało nakłaniać i uspakajać, by wracała do rzeczywistości. Ciotka obchodzi się z nią wspaniale, pomyślała pani Rutland. Jest taka cierpliwa. Dobrze, że mają pieniądze. To bardzo pomaga. I przyszło jej do głowy, że byłoby całkiem sprawiedliwe, gdyby za swoje usługi otrzymała dodatkowego szylinga.

– Nikt nie zamierza cię skrzywdzić – powtórzyła pani Ponsonby jakimś sztucznym tonem. – Jestem przy tobie, kochanie. Nic ci nie grozi.

W Julii natychmiast zaszła jakaś zmiana. Zupełnie jakby kwiat uschnął pod podmuchem wiatru, a zdrowe ciało nagle zaczęło się rozkładać z powodu jakiejś nienazwanej choroby. Jej odwaga po prostu znikła i dziewczyna pogodziła się z tym, co nieuchronne. Godziny stresu wielu tygodni rozczarowań i troski zbierały teraz żniwo. Pogodziła się z faktem, że znalazła się w pułapce i nie zdoła uciec, że nieuchronnie czeka ją straszny los. Zmiana ta uwidoczniła się na jej twarzy. Jakby uszło z niej całe życie. Dane jej było poznać rozpacz więzienia, gdy po raz pierwszy dotrze do niego, że choćby dłonie pościerał sobie do krwi, mocując się z zakratowanymi drzwiami, i tak nie ma dla niego ucieczki. W tak pozbawionym ducha nastroju poszła schodami za panią Ponsonby.

Gdy wróciły, lunch już na nie czekał. Julia, choć straciła apetyt, mimo wszystko zajęła się skrzydełkiem kurczęcia. W duszy, tak nikłe, że ledwie je rozpoznawała, jeszcze pozostały jej resztki odwagi. Dzisiaj została pokonana, ale będzie przecież jutro. Odrzucała wszystkie propozycje pani Ponsonby napięcia się czegokolwiek. – Nie – mówiła – dziękuję za kawę – ale gdy kelnerka wróciła z rachunkiem, nagle oznajmiła: – Chyba mimo wszystko jestem spragniona. Poproszę o małą butelkę *ginger ale*. Może mi pani przynieść w butelce, bym była pewna, że to rodzaj, który lubię? – Mówiąc to, otworzyła portmonetkę, by było jasne, że sama za siebie płaci. Tak jak wcześniej pani Ponsonby uśmiechała się do pani Rutland, tak ona teraz uśmiechnęła się do kelnerki. Ta nic a nic nie wyglądała na zaskoczoną; odpowiedziała uspokajająco: – Oczywiście, panienko – i przyniosła do samochodu butelkę, szklankę i otwieracz.

– Głupia dziewczyno – odezwała się pani Ponsonby pobłaźliwie. – Myślisz, że ktoś próbuje cię otruć? – Znowu posłała kelnerce współczujące spojrzenie.

– A to mleko wczoraj wieczorem – wyjąkała Julia drżącym głosem.

Pani Ponsonby skinęła głową i obsługująca wzięła sześć pensów od Julii, i weszła do środka.

– Jakie to smutne – oznajmiła tam Rose, drugiej kelnerce. – Taka ładna panna i całkiem zbzikowana. Myśli, że wszyscy usiłują ją zamordować.

– Nigdy nie wiadomo – orzekła Rose ponuro. Widziała zbyt wiele filmów i zawsze dopatrywała się złowieszczych motywów za pozornie niewinnymi czynami. I nawet ta banalna rozmowa miała odegrać swoją rolę w zadziwiającym spisku, w który Julia już została wplątana.

Po lunchu Ferrers jechał szybciej. Julia próbowała zapamiętać drogę, którą pokonywali, ale migał obok znaków drogowych, nim zdołała je przeczytać, a pani Ponsonby nalegała na opuszczenie bocznych rolet z powodu blasku słońca, więc Julia całkowicie straciła poczucie kierunku, o co oczywiście chodziło jej chlebobawczyni. Jej zachowanie wobec dziewczyny całkowicie się zmieniało. Już nie wyrażała się jak apodyktyczna przełożona, raczej jak pielęgniarka zwracająca się do pacjenta. Julia rozpoznała tę manierę; widziała, jak stosowano ją wobec dzieci i bardzo starych osób, do których nie docierały żadne argumenty. Teraz już wiedziała, że ją przechytrzone. Mogła wykrzykiwać swą wersję choćby w samym środku wsi, a i tak nikt by jej nie uwierzył. „To nie Chicago – powiedzieliby – a zresztą, gdzie motyw? Dziewczyna bez pensa przy duszy, bez przyjaciół, bez koneksji, takie kompletne nic”. Jednak myśli w jej niespokojnej głowie krążyły wokół jednego – czy to dlatego, że była tak całkowicie nieznana, że gdyby znikła, nikt nie pytałby o nią, została wybrana przez panią Ponsonby do odegrania jakiejś okropnej roli?

Nie jestem histeryczką – powtarzała sobie rozpaczliwie – ale jeśli by nie zamierzała mnie unicestwić, po co zadawałaby sobie cały ten trud? Nie mam pojęcia, co się za tym wszystkim kryje, jednak czuję, że znalazłam się w strasznym niebezpieczeństwie i jak na razie nie widzę drogi wyjścia.

Chyba zapadła w krótką drzemkę, bo gdy się obudziła, był wieczór i krajobraz zasnuwały cienie. Z zaskoczeniem poczuła ramię pani Ponsonby, obejmującą ją w pasie.

– Ucięłaś sobie niezłą drzemkę – powiedziała dama. – Cieszę się. Mamy już niedaleko.

– A co z podwieczorkiem? – zamruczała Julia, wciąż nie całkiem przytomna.

– Napełnili nam termosy w tym miłym sklepie, gdzie jedliśmy lunch. Nie możemy więcej się zatrzymywać. I tak bardzo szybko robi się ciemno.

A więc tak. Pani Ponsonby nie zamierzała ryzykować postoju w kolejnym sklepie, narażać się na następną próbę Julii znalezienia posłuchu. Tym razem dziewczyna, już ostrzeżona, mogłaby spróbować wysiąść jako pierwsza. Tak więc zjedzą podwieczorek w samochodzie. Julia zagrała swoją ostatnią kartą.

– Bardzo przepraszam, ale trochę mi niedobrze. Nigdy dobrze nie znosiłam długich podróży samochodem. Zastanawiam się – gdybyśmy przy okazji mijali jakiś dom – może pozwoliliby mi usiąść na kilka minut?

– Nie sądzę, by w okolicy stały jakiegokolwiek budynki. To bardzo odludna część kraju. Zresztą raczej trudno byłoby to wytłumaczyć, prawda? Ale polecę Ferrersowi zatrzymać się, otworzymy drzwi i będziesz mogła trochę sobie spacerować, jeśli uważasz, że ci to pomoże.

Julia spojrzała na świat za szybą. Znajdowali się na jednej z tych długich angielskich alei z żywopłotem po jednej stronie, a po drugiej polami, teraz ciemniejącymi w mroku. Na ten dzień prace już zakończono. Nie było do kogo krzyknąć, nawet jeśli wołanie skierowane do wieśniaka przyniosłoby coś pozytywnego. Oczywiście, istniała szansa, że z za zakrętu nadjedzie jakiś samochód i uda jej się go zatrzymać. Powiedziała: – Dziękuję. Jeśli nie ma pani nic przeciwko – i pani Ponsonby potaknęła.

– Podjedź za następnym zakręt – poleciła. – I zatrzymaj się na kilka minut.

Ferrers jechał dalej jeszcze chwilę, potem gwałtownie zjechał na bok, by uniknąć kolizji ze ścinającym zakręt szarym autem. Na jego widok Julia instynktownie krzyknęła, ale kierowca szarego pojazdu uznał, że jest karcony za złą jazdę i jeszcze przyspieszył. Nawet nie widział pasażerów daimlera. Julie odwróciła głowę i widziała, jak pędzi przez półmrok i znika za zakrętem. Na drodze nie było innych aut. Ferrers podjechał nieco dalej aleją, potem wysiadł

i odblokował drzwiczki. Julia powoli wysiadła, szacując szanse na ucieczkę. Kilkaset jardów przed sobą ujrzała przełaz na pole, które opadało w dół, aż po daleki horyzont. Po zarzuconej gładzi powierzchni nie udałooby jej się szybko biec, a mężczyzna taki jak Ferrers, pozbawiony wszelkiej wrażliwości, niemal natychmiast by ją dogonił. Nawet gdyby przecisnęła się za samochodem i popędziła w stronę drogi, też by ją dopadł, nim dotarłaby do celu. Po lewej stronie wznosił się niezwykle ostry, niemożliwy do pokonania żywoplot. Po prawej ciągnął się kamienny mur, otaczający jakiś sad. Poza walącą się pasterską szopą nie widać było żadnego budynku. Atmosfera opuszczenia cechująca okolice jeszcze nasiliła w Julii uczucie bezradności. Przez minutę stała zwrócona plecami do żywoplotu, nasłuchując odgłosu kół. Cofnęła się kilka kroków. Nie wolno jej się spieszyć, pomyślała, ma przechadzać się tam i z powrotem niczym zadowolony z siebie niedźwiadek. Tym usmierzy podejrzania... A wtedy, jeśli usłyszę coś nadjeżdżającego, rzucę się pędem, zaskakując ich. Odwróciła się i podeszła do samochodu; gdy zamierzała na powrót ruszyć w stronę drogi, ujrzała, że Ferrers niepostrzeżenie skrada się w tym samym kierunku. Ciemności zapadały niepokojąco szybko. Tam gdzie jeszcze przed kilkoma minutami cienie miały kolor niebieski, teraz przyćmiła je noc; lekka gruntowa mgła fałdowała u jej stóp. Pani Ponsonby wychyliła głowę z samochodu.

– Czujesz się lepiej? – zapytała. – Jeśli tak, to chyba powinniśmy ruszać. Nadchodzi mgła, a przecież nie chcemy spędzić nocy na drodze.

Julia wsiadła z powrotem, skuliła się w swoim kącie. Czuła łzy wypełniające jej oczy i pospiesznie zacisnęła powieki. Krajobraz stał się zamazany od mgły i cieni nocy; od czasu do czasu zaskakiwał pojawiający się tu i ówdzie dach, znikając, nim zdążyła uświadomić sobie jego istnienie. Świat zdawał się pełen oparów, ciemności i dziwnych dźwięków należących wyłącznie do nocy. Można niemal, pomyślała, usłyszeć odgłosy powolnego opadania niewidocznych kropli rosy. Spojrzała na panią Ponsonby – małą, pękatą postać – rozpartą w drugim kącie. W związku z zarządzeniami obowiązującymi w czasie wojny lampka w samochodzie nie dawała więcej światła niż płomyk świecy; niełatwo byłoby wmówić sobie, że to, co tak spokojnie leżało na siedzeniu, to tylko

tłumoczek ubrań, a nie wyjątkowo przebiegła i bezwzględna kobieta, która od początku podróży ani razu nie spuściła wzroku ze swej pasażerki.

Gdy dotarli na miejsce przeznaczenia, zapadły tak głębokie ciemności, że Ferrers musiał oświetlić latarką stopień samochodu. W tym nikłym świetle Julia wypatrzyła ciemną, drewnianą bramę osadzoną w ceglany murze, na całą jego wysokość. Pani Ponsonby, wydostawszy się z auta, sięgnęła do swej wielkiej torby, wyjęła klucz i podała szoferowi. Mężczyzna z pewnymi trudnościami umieścił go w zamku i otworzył wrota z solidnego drewna, które, gdy zamknięte, nie pozwalały domyśleć się, co się za nimi kryło. Pozostawiając pojazd na drodze, Ferrers poprowadził obie kobiety kamienną dróżką wiodącą przez swoisty rodzaj altany do frontowego ogrodu. Wszystko odbywało się jakby mechanicznie; jeden ruch prowadził gładko do drugiego. Jakby się było elementem układanki. Bez możliwości opuszczenia swego miejsca czy zaprotestowania przeciwko nadanej lokalizacji. Nigdzie indziej nie pasowałoby się do całości obrazu. Ferrers, pociągnąwszy za rączkę staromodnego dzwonka, zostawił je przy frontowych drzwiach, a sam zniknął, oddalając się poprzez altanę. Poszedł odstawić samochód. Julia rozejrzała się wokół; udało jej się tylko dostrzec, majaczące na tle czarnego nieba, czubki liści róż porastających altanę i mur, i nic więcej. Po drugiej stronie kłującego żywopłotu nie widać było nic poza ogromem nieba. Ciemności nie pozwalały zorientować się w okolicy, domyślała się wszakże, że w sąsiedztwie nie było innego domu. Dłoń naciskająca jej ramię zmusiła ją do szybkiego odwrócenia się. Drzwi stały otworem, a w nich, przypominająca igłę owiniętą krepą, stała Sparkes, która zaraz usunęła się na bok, zapraszając przybyłe do wejścia.

– Czy miałaś jakiś kłopot z dostaniem się tu ze stacji, Sparkes? – zapytała pani Ponsonby, wchodząc do tego odludnego domu.

– Nie, madam. Znalazł się pewien mężczyzna – a pięć mil to niezbyt daleko jak na tę część kraju – odrzekła pokojówka. Ponad głową pani Ponsonby zerknęła na Julię. – Młoda dama jest zmęczona – zauważyła.

– Zdrowo się przespała w czasie podróży – odrzekła pani Ponsonby z tym radosnym, fałszywym uśmiechem, do którego Julia już się przyzwyczajała. –

Ale może – zwróciła się do dziewczyny – wolisz zjeść kolację w łóżku?

Julia instynktownie odrzuciła propozycję. Nie miała pojęcia, co ją czekało, ale nie chciała znaleźć się sama, uwięziona w jakimś dziwnym pokoju w tym ciemnym domu.

– W takim razie w porządku. Tylko się umyjemy i od razu coś przekąsimy. Podróż trwała dużo dłużej, niż sądziłam. Sparkes rozpakuje twoje rzeczy, gdy będziemy jeść – dodała pani Ponsonby, zwracając się do oszołomionej dziewczyny stojącej obok niej.

– Sama mogę się rozpakować – zaprotestowała pospiesznie Julia. – To nie zabierze mi pięciu minut. Wolę osobiście rozpakowywać moje rzeczy. – Przemknęło jej przez myśl, że w walizce ma swój dokument tożsamości i zaoszczędzonego funta, a nie ufała pokojówce bardziej niż lubiła jej panią. Na szczęście zamknęła walizkę na kluczyk, choć nie przyszło jej jeszcze do głowy, że taka specjalistka jak Sparkes bez trudu poradzi sobie z tandetnym zamkiem.

– Nie możesz się rozpakować, dopóki Ferrers nie przyniesie bagażu – tłumaczyła cierpliwie pani Ponsonby. – Zabierze mu to trochę czasu. A teraz już dochodzi ósma i obie jesteśmy zmęczone. – Zdjęła swój czarny płaszcz, ściągnęła szeroki, czarny turban ze swych zaskakujących rudych włosów i weszła do pokoju po prawej stronie, wskazanego przez Sparkes. Julia, nie pozbywając się okrycia, podążyła za nią. Przyszło jej do głowy, że być może także i tu nie zostaną dłużej. Kto wie, jeśli jej walizka nie pojawi się, pani Ponsonby wyjaśni, że nie było sensu wyładowywać całego bagażu. Na końcu długiego pomieszczenia, do którego weszły, wisiało lustro i Julia odruchowo do niego podeszła. Jak zauważyła, pani Ponsonby prezentowała się równie schludnie, normalnie i spokojnie jak rano, gdy wyruszały w drogę. Jednak pod jej nijaką powierzchownością dziewczyna wyczuwała tę niezwykłą siłę, która zaatakowała ją poprzedniego wieczoru. Najwyraźniej pani Ponsonby mogła sprawiać takie wrażenie bez najmniejszego wysiłku; nie pomagała sobie, jak większość kobiet, strojem czy sposobem bycia, miała osobowość tak pełną energii i mocy, że ktoś, kto jej nie znał, stanąwszy z nią twarzą w twarz, czuł się jak oszołomiony ciosem w głowę.

Julia, odrywając się od tych nieprzyjemnych rozmyślań, wyjęła z torebki grzebień i zaczęła doprowadzać się do porządku. Wydało jej się, że od rana

zmieniała się w jakiś dziwny sposób, ale to, oczywiście, mogło mieć związek z niesamowitym oświetleniem pokoju. Stało się jasne, że znajdują się z dala od cywilizacji, gdyż nie było tu elektryczności, tylko lampy; z lustra patrzyła na nią zielonkawa, nieznajoma twarz. Ciemnym, rozczochranym włosom nie wystarczy grzebień, wymagały porządnego wyszczotkowania. Julia starała się jak mogła, ale loki zbuntowały się podczas tego jej niewygodnego snu i teraz sterczały wokół twarzy niczym aureola. Jakieś określenie przeleciało jej przez myśl. Jak nie z tego świata. Tak właśnie wyglądała, jak ktoś nie całkiem normalny, nie do końca potrafiący się kontrolować. Teraz każdy, widząc ją po raz pierwszy, podejrzewałby coś dziwnego. I gdy to pojęła, zaszokowana zachwiała się do tyłu. Jeśli to prawda – a tak było – to pani Ponsonby wygrała także drugą rundę. *Bo właśnie tak Julia miała wyglądać.* Dlatego nie miała dostępu do swego bagażu; by nie dać jej możliwości ogarnięcia się, odzyskania zwykłego wyglądu. Odwracając się pospiesznie, zauważyła obserwującą ją panią Ponsonby.

– Jutro poczujesz się lepiej – powiedziała dama. – A teraz chodź i usiądź, obie wcześniej położymy się do łóżka.

Julia powoli przeszła przez wielki, zaciemniony pokój. – Nie wspomniała pani nic o moich obowiązkach – zauważyła nerwowo.

– Twoim obowiązkiem na dzisiaj jest dotrzymanie mi towarzystwa – spokojnie wyjaśniła pani Ponsonby. – Jutro będą listy i tak dalej. Ale dziś żadna z nas nie nadaje się do niczego poza snem.

Jakby dopiero sobie przypominając, Julia wykrzyknęła: – Nie zadzwoniłyśmy do pani Hurst. Powinnyśmy dać jej znać!

– Dopilnowałam tego – odrzekła pani Ponsonby tym samym tonem. – Dziś wieczór nie zajmuj sobie niczym głowy.

Pospiesznie zjadły prosty posiłek i Julia otrzymała pozwolenie na oddalenie się na górę do swojego pokoju.

– Drugi na prawo od szczytu schodów – poinstruowała ją pani Ponsonby. – Poleciłam Sparkes, by zostawiła lampę, więc nie zabłądzisz.

Jak poprzednio, przydzielono jej piękny pokój, ładnie umeblowany, ale serce w niej zamarło, gdy ujrzała, że ten także znajduje się na tyłach budynku i że okna zasłaniają szczelnie pozamykane okiennice.



Poczekam, aż wszystko ucichnie, i wtedy je otworzę – postanowiła, rozglądając się za swoją walizką. Ale tej jeszcze nie przyniesiono. Niecierpliwie przemierzała pokój tam i z powrotem. Nie miała pojęcia, gdzie się znajdowały; przez ostatnie pięć mil nie było na drodze innego pojazdu i gdy teraz stała, nasłuchując, wydawało jej się, że czeka na narodziny świata. Żadnego ruchu ani dźwięku, żadnych działań – tylko śmiertelna cisza. Przeszła na palcach przez pokój i otworzyła drzwi. Doleciały do niej ciche dźwięki. Pani Ponsonby i Sparkes nad czymś się naradzały. Julia próbowała usłyszeć, o czym mówią, ale drzwi były zamknięte i do jej uszu docierał ledwie szum. Wróciła z powrotem do pokoju. Łóżko sprawiała zachęcające wrażenie, pod przykryciem wypatrzyła wypukłości miękkiego termoforu. Gdyby tylko odzyskała walizkę, zdjęłaby ubranie i założyła piżamę, i postarałaby się usnąć. Bo spać musi. Jeśli będzie czekać jeszcze dłużej, jej umysł tak się ożywi, że sen stanie się niemożliwy. Czuła się jak ktoś podświadomie odpierający atak oczekiwanego bólu. Z każdą chwilą senność coraz bardziej się ulatniała. Ponownie, gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i znalazła się twarzą w twarz z panią Ponsonby. Ta kobieta ma dar wywoływania w bliźnich poczucia winy, pomyślała, cofając się i wyjąkując słowa tłumaczenia.

– Chciałam tylko zejść i sprawdzić, co z moją walizką – wyjaśniła. – Jestem taka zmęczona już...

Pani Ponsonby współczująco kiwnęła głową. – Przychodzę właśnie w związku z twoją walizką.

Nowa obawa zaświtała w głowie dziewczyny. – Chyba nic się z nią nie stało, prawda?

– Oczywiście. Ty niemądra dziewczyno.

Julia znów odzyskała oddech. – Może jestem niemądra, ale przez moment myślałam, że powie mi pani, że zaginęła w podróży. Chyba bym tego nie zniosła.

Gęste czarne brwi pani Ponsonby, przypominające wełniste gąsienice pod rudą ściółką, uniosły się w wyrazie zdziwienia.

– Nie bądź śmieszna, moja droga – powiedziała. – W istocie właśnie to przyszedł, ci powiedzieć. Oczywiście, stało się tak przypadkiem. Otrzymasz ją za dzień lub dwa, Peters musiał jakoś pomylić rzeczy i twoja walizka pewnie została na Henriques Square. Nie ma się czym martwić. Mogę pożyczyć ci

nocne szatki, mam nawet zapasową szczotkę do zębów, a jutro napiszemy o przysłanie walizki. Powinna tu być następnego ranka.

– Jutro niedziela – przypomniała Julia. – Nie sądzę, by tutejsza poczta była otwarta. No tak, oczywiście może pani zatelefonować.

Cienka powierzchnia lodu zaczęła formować się na upartej, małej twarzy pani Ponsonby, gdy oświadczyła: – Niestety, nie mamy tu telefonu. Ale list dotrze do Petersa w poniedziałek, a zapakowane walizki niełatwo przeoczyć.

– Co tym bardziej dziwne, że w ogóle została zapomniana. Słyszałam, jak pani kamerdyner mówi, że włożył ją do auta...

– Zapewne trzeba było coś zmienić i wyjął ją, a potem o niej zapomniał. Tak czy owak nie ma powodu do zmartwień. To uciążliwe, ale w końcu zostaniemy tu na trochę i raczej nie będziemy przyjmować gości. To, co masz na sobie, wystarczy ci przez dzień czy dwa.

Julia odrzekła wolno: – Rozejrzałam się, gdy wyjeżdżałyśmy, i nigdzie nie było mojej walizki. Jestem tego pewna.

Pani Ponsonby mocno ścisnęła jej ramię. – Moja droga, zachowujesz się jak dziecko. Weź się w garść. Oczywiście, że gdzieś tam stała, a w poniedziałek rano wyślę Petersowi telegram – to lepsze od listu – i walizka nadejdzie odwrotną pocztą. Nie zdziwiłabym się, gdyby już to zrobił. Z pewnością znalazł ją, robiąc porządki, i uświadomił sobie, że zaszła pomyłka. A teraz idę poszukać ci coś do ubrania na noc – Niestety, nie mam piżamy, nigdy w życiu czegoś takiego nie nosiłam. I lepiej posłuchaj mnie, i spokojnie kładź się do łóżka, a gdy zbudzisz się rano, sama zdziwisz się, o co robiłaś taką awanturę.

– Miałam już dużo okazji do dziwienia się – zauważyła Julia.

Pani Ponsonby uśmiechnęła się, ale za uśmiechem kryło się ostrzeżenie. Uważaj, zdawał się mówić, jeśli będziesz za bardzo dociekać, możesz odkryć więcej, niżbyś chciała. Zapamiętaj, niewiedza często bywa lepsza... Julia cofnęła się gwałtownie.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała, łapiąc oddech.

– Dom nazywa się Beverley.

– A miejscowość?

– King's Marlow. Jest taka mała, że nie znajdziesz jej na żadnej mapie. – Taka mała, pomyślała Julia, że nikomu nie przyjdzie do głowy kogoś tu

szukać. Po odejściu pani Ponsonby zaczęła powoli rozbierać się. Była przekonana, że za zniknięciem walizki nie kryje się żaden przypadek. Pewnie już dawno Peters ją przeszukał – ale po co? To pytanie męczyło ją. Jaką wartość mogła mieć dla kogoś poza nią? Kilka sztuk garderoby, banknot funtowy, dokument tożsamości... Pod wpływem szoku nogi ugięły się pod nią. Uniosła drżącą dłoń, padając na krawędź łóżka. A jeśli miała rację i walizka została zgubiona celowo? A jeśli nigdy się nie odnajdzie? To by znaczyło...

– To znaczy, że kazała zniszczyć moją tożsamość – szepnęła do siebie. – Przez cały dzień stwarzała w oczach obcych ludzi obraz dziewczyny, która w ogóle nie przypominała Julii Ross. Ani na chwilę nie uwierzyłam, że napisała do pani Hurst. Jeśli ktoś powie przy niej: Julia Ross, spojrzysz obojętnie i będzie udawała, że nigdy tego nazwiska nie słyszała. To dlatego chodziło jej o kogoś pozbawionego przyjaciół, bez nikogo, kto wszcząłby poszukiwania, gdybym znikła. To dlatego przybyliśmy do tego dziwnego miejsca. Zanim będę miała okazję z kimś się zobaczyć, jej historia już się rozejdzie. Jestem nienormalna – niestety, mam zwidy. I cokolwiek powiem, nikt mi nie uwierzy. Ponoć nic podobnego się nie zdarza. Sama często to powtarzałam. Ale myliłam się. To może się wydarzyć. A teraz przytrafia się mnie.

I tak właśnie tej pierwszej nocy wstąpiła na ścieżkę prowadzącą do zrozumienia przerażających rzeczy, które pani Ponsonby zamierzała uczynić.

## 6.

Jednym z pierwszych efektów szoku jest bierna akceptacja sytuacji wcześniej uważanych za niemożliwe. Przez kilka minut po odejściu pani Ponsonby Julia siedziała na krawędzi łóżka i stopniowo docierała do niej przerażająca prawda. Z każdym ruchem wskazówek zegara, przesuujących się na kolejne cyfry, coraz wyraźniej pojmowała, jak świetnie ta kobieta przygotowała grunt. W tej zabitej deskami wiosce któż okazałby zrozumienie wyjaśnieniom nieznaney dziewczyny? Sparkes oczywiście otrzymała instrukcje odnośnie swej roli. Zanim pozwolą Julii na odrobinę swobody – zakładając, że choć trochę – rozejdzie się po okolicy, że nie jest osobą wiarygodną. Szept tu, słówko tam i pani Ponsonby osiągnie swój cel. A ona już nie będzie Julią, tylko kimś budzącym ciekawość, jako pozostająca poza społecznością normalnych ludzkich istot, zupełnie jakby nosiła na czole kainowe piętno. Julia nie miała wątpliwości co do rozwoju spraw. Po jakimś czasie miejsce oszołomienia zajęło zdumienie, że coś podobnego mogło się wydarzyć. Jak tysiące innych pechowców pochwyconych w bezlitosną sieć, zdumiewała się własną bezradnością. Przecież musiało istnieć coś, co mogłaby zrobić, jakieś wyjście z sytuacji, którego dotąd nie dostrzegła.

Drzwi otwarły się i pani Ponsonby powróciła z koszulą nocną i kilkoma przyborami toaletowymi. Julia opanowała się i odezwała się, jak jej się wydawało, normalnym głosem.

- Ależ to wielki dom! – wymamrotała. – Mam nadzieję, że rano odnajdę drogę na dół.
- Jeśli ci się nie uda, przyślę Alice, by cię przyprowadziła.
- Alice? – Nowe imię.
- To dziewczyna, która tu pracuje. Cóż, Sparkes raczej nie dałaby rady robić wszystkiego samej.

– Oczywiście.  
– Choć będziemy wieść bardzo spokojny tryb życia. Zgodnie z zaleceniami mojego lekarza. Dla ciebie też będzie to korzystne. Jesteś bardzo nerwowa, wiesz o tym?

Znowu jakby smagnęła batem! Julii z wysiłkiem udało się opanować.

– Pewnie mamy sąsiadów...  
– Będziemy sąsiadami jedna dla drugiej – uśmiechnęła się pani Ponsonby.  
– Ale z pewnością ktoś jeszcze mieszka w okolicy. To chyba nie jest wioska umarłych. – Zadrżała, wymawiając te słowa. Zabrzmiały złowroźnie i żałowała, że padły.

Pani Ponsonby wyciągnęła swoje tłuste, małe dłonie i pochwyciła obie ręce Julii.

– Nie widuję wielu osób, moja droga. Łaknienie za wszelką cenę rozrywki uważam za coś absolutnie nienaturalnego. A ty, jeśli odpoczniesz i zdecydujesz się na akceptowanie stanu rzeczy, bez sprawiania kłopotów, wnet poczujesz się lepiej. Przede wszystkim, nie zamartwiał się. Troski są zabójcze.

Serce Julii zabiło gwałtownie. – Poczuję się lepiej? Ale ja...

– Po prostu odpręż się – poradziła pani Ponsonby. – Jesteś cała spięta. Musisz się zrelaksować, inaczej naprawdę się rozchorujesz. To miejsce jest dokładnie takie, jakiego ci było trzeba. Oczywiście, dom jeszcze nie został należycie urządzony, ale przez dzień czy dwa nie będzie nam to przeszkadzało, prawda? – Znów się uśmiechnęła. Potrafiła przekazać wiele, nie mówiąc jednego słowa. – Dobrze, że żadna z nas nie wierzy w duchy – szepnęła. – Gdyby było inaczej, powiedziałabym, że ten dom jest dla nich odpowiedni.

Julia przypomniała sobie rozmaite, okryte białymi prześcieradłami meble na schodach i w jednym z olbrzymich, pustych pokoi na dole. Postanowiła mieć się na baczności. Wiedziała, że pani Ponsonby nie cofnęłaby się przed próbą wystraszenia jej na śmierć. Wieczorem zerwał się wiatr i rozpaczliwie skowyczał za oknami. Okiennice, które mniej dokładnie uszczelniały okna od tych w londyńskim domu, skrzypiały i pojękiwały, jakby jakaś żywa istota szlochała w mroku na dworze, błagając o schronienie. Pani Ponsonby roześmiała się i te

radosne, wydobywające się z jej gardła dźwięki zdawały się nieprzyzwoite w tym odludnym domu.

– Nie ma co dostawać trzęsączki – powiedziała, a pochodzące z żargonu słowo zabrzmiało niewłaściwie w ustach wiktoriańskiej postaci. – Szybko przywykniesz do nocnych odgłosów. Jeśli coś usłyszysz, nie zapominaj, że to stary dom. Takie domostwa mają swoją historię. Wiele widziały. Byłoby absurdem spodziewać się, że nie przetrwała w nich pamięć jakichś przeszłych zdarzeń, od czasu do czasu mogą sobie coś przypomnieć. Co wyjaśnia odgłosy kroków, które ludzie słyszą w takich jak ten cichych domostwach, dłoni stukających w ściany, a także widok cieni przesuwających się z niezrozumiałych dla nas przyczyn. A przy okazji, ciekawia cię stare domy? Zawsze były moim hobby.

I znowu, dama nie powiedziała niczego, co można by uznać czy przytoczyć jako groźbę, poza zwykłą radą, skierowaną przez kobietę w średnim wieku do młodej osoby, by się nie denerwowała, jeśli w nocy usłyszy jakieś dziwne odgłosy. A jeśli ta druga nie zastosowała się do udzielonej rady, gdyby przeraziła się, nawet krzyczała, no cóż, wyjaśnienia nie trzeba by było daleko szukać. Być może to załamanie nerwowe. Młodzi bywają tak nierozważni, prowadzą wyczerpujący tryb życia. Julia wszystko to doskonale rozumiała, tak jak i to, że odgłosy, które może usłyszeć po zapadnięciu zmroku, nie będą głosami duchów, skrzypieniem starego drewna czy zgrzytem spaczonych okiennych zawiasów. Pani Ponsonby była prawdziwą artystką w swej dziedzinie. Niczego nie przeoczyła.

Po jej odejściu Julia naląła sobie do miski zimnej wody, umyła dłonie i twarz; wycierając ręce, dostrzegła ich drzenie i poczuła zadowolenie, że nikt tego nie widzi. Podchodząc do toaletki, zauważyła, że zaopatrzone ją w komplet dość krzykliwych szczotek do włosów i wzięła je do ręki z uczuciem zdziwienia. Jakoś się takich nie spodziewała. Do całości obrazu bardziej wydawały się odpowiednie przybory do szczotkowania włosów z rączkami ze srebra lub kości słoniowej, lekko pożółkłymi ze starości.

Ale nie – stwierdziła chwilę później. – Gdyby takie mi dostarczyła, byłby to dowód, że nigdy nie zamierzała przywieźć tu mojej walizki. To zapewne jej

własne szczotki. Nie zwracałaby sobie głową dodatkowym kompletem.

Lekko zaciekawiona, przypatrzyła im się dokładniej. Na połączanym zdobieniu rączki widniał monogram. Pochyliła się nad nim. Wyraźne litery – S.C. Następny dziwny szczegół. Inicjały pani Ponsonby to L.P. Nawet jeśli te szczotki pochodziły z panieńskiego okresu jej życia, pierwsza litera byłaby L. Pomyślała o innym wyjaśnieniu. Może przybory te należały do młodszej siostry, której imię zaczynało się od S. C mogło być pierwszą literą panieńskiego nazwiska pani Ponsonby. Odwróciła szczotkę. Włosie było nowe, nie tknięte zębem czasu. Odłożyła szczotkę i podeszła do łóżka. Na grubej, prążkowanej kapie leżała jedwabna koszula nocna w kolorze jabłkowej zieleni. Wyglądała zbyt frywolnie jak na tego rodzaju kobietę. Poza tym dama nie zdołałaby wciśnąć swego pulchnego ciała w tę wąską szatkę. Tłuste kobiety nie powinny nosić strojów o poprzecznym kroju, przypomniała sobie. Potem znów serce w niej zamarło. Na małej kieszonce po prawej stronie koszuli nocnej widniał monogram S.C. Julia odrzuciła myśl o ukochanej, zmarłej siostrzyczce. Ta rzecz była nowa, wyraźnie nie używana, o modnym kroju. Pospieszenie przyrzęła się szlafrokowi wiszącemu na wewnętrznej stronie drzwi. Tym razem nie była zaskoczona, gdy odkryła monogram zdobiący także i tę część garderoby. Te rewelacje natychmiast przyprawiły ją o mdłości. Szybko przeszła do łazienki, na szczęście znajdującej się obok sypialni, gdzie przez chwilę szarpały nią okropne, przerażające wymiotne spazmy. Intencje pani Ponsonby stawały się coraz bardziej oczywiste. Julia Ross znikła. Jej miejsce zajęła słaba psychicznie dziewczyna o inicjałach S.C.

Dając domownikom czas do przygotowania się do snu, ostrożnie podeszła do okien i otwarła okiennice. Trudno było zorientować się w okolicy, gdyż nie świecił ani księżyc, ani gwiazdy; po chwili jej oczy jednak przyzwyczyły się do ciemności i uświadomiła sobie, że dom zbudowano na wzgórzu i że pod jej oknem teren opada zboczem przypominającym stromy klif. Po jakimś czasie rozróżniała już cieniste sylwetki krzaków i drzew. Nie miała żadnych szans na wydostanie się tą drogą. Jednak przez chwilę jeszcze została przy oknie. Chłodne nocne powietrze studziło jej rozgorączkowaną krew, przypomniało o potrzebie ostrożności i taktu. Nie mogła dokładnie przewidzieć czekających

ją trudności, wszakże by stawić im czoła, będzie potrzebowała całego swego sprytu i opanowania.

Gdy tak stała, nagle zwróciło jej uwagę jakieś światło. Na moment cofnęła się. No tak, pomyślała, historia się powtarza. W domu przy Henriques Square wystraszyło ją zielone oko kota; to tutaj także było zielone, ale nie mogło należeć do zwierzęcia. Poruszało się najpierw w jedną stronę, potem zmieniało kierunek. Poza tym unosiło się zbyt wysoko. Nagle zaświeciło wprost na nią i zrozumiała, że to latarka. Ktoś z trudem odnajdywał drogę do domu. Pod wpływem impulsu wychyliła się z okna i zagwizdała – nie za głośno, by nie zaalarmować pani Ponsonby, jednak na tyle donośnie, by przechodzący obok domu usłyszał. Cokolwiek się wydarzy, dobrze by było, aby obca osoba mogła zaświadczyć, że ktoś zajmował ten pokój w nocy 27 kwietnia. Jednak światło latarki znów zawróciło i teraz powoli się oddalało; co gorsza, wychodziło poza zasięg głosu. W przypływie paniki Julia zagwizdała głośniejsz. Ale nawet gdyby krzyczała, nie sprawiłoby to najmniejszej różnicy, bo przechodzień od ostatnich dziesięciu lat był głuchy jak pień.

Wysiłki Julii, by zwrócić uwagę nieznanego, tak ją pochłaniały, że nie usłyszała, że drzwi pokoju otwierają się i tłuste, małe stopy cicho przechodzą po podłodze. Uświadomiła sobie obecność intruza dopiero w momencie, gdy małe, miękkie dłonie pochwytyły ją za ramiona, a w uszach usłyszała wściekły syk. Instynktownie próbowała się wyrwać, wychylając się dalej. Jakiś głos zawołał: – Sparkes – a wtedy kościasta pokojówka, zupełnie jak aktorka czekająca za kulisami na swoją kolej, weszła do pokoju i złapała Julię pasie. Wywiązała się niezdarna szarpanina, której towarzyszył chór rozgniewanych głosów, mówiących bez ładu i składu. Wreszcie Julia poczuła, że uścisk zelżał, okna zatrzaśnięto, a ona stała twarzą w twarz z całkowicie zmienioną panią Ponsonby. Mała, tłusta istota ciężko dyszała, policzki jej poczerwieniały; próbowała coś powiedzieć, ale przez chwilę nie mogła złapać oddechu, więc dała znak Sparkes, a ta chwyciła Julię za ramię i jąła ciągnąć ją do łóżka. Dziewczyna, także rozzłoszczona, wybuchła, zapominając o przezorności.

– Jak śmiecie? – zawołała. – Tylko dlatego, że potrzebowałam trochę powietrza...



– Powietrza! – Pani Ponsonby odzyskała głos. – Nie okłamuj mnie. Sama widziałaś, Sparkes. Tak nie może dalej być. To już drugi raz.

Julia, zdumiona, zamilkła. Dopiero po minucie znalazła potrzebne słowa.

– Drugi raz? Nie wiem, o czym pani mówi.

– To zbyt wielka odpowiedzialność. Trzeba wstawić tu łóżko polowe. – W nocnym stroju jawiła się jak jakaś niesamowita, groźna postać. Na bawełnianą koszulę nocną założyła czarny, wełniany szlafrok, na nogi czarne, filcowe pantofle.

– O nie – odrzekła z wściekłością Julia. – Nie zniosę tu nikogo.

– To dla twojego własnego dobra, niemądra dziewczyno. – Głos pani Ponsonby znowu brzmiał spokojnie.

– Myślicie, że nie wiem, co próbujecie zrobić? Ale nie uda się wam. Jutro opuszczam ten dom. Gdybym mogła, odeszłabym już dzisiaj.

Twarz pani Ponsonby wyglądała dziwnie beznamiętnie w świetle świeczki, którą przyniosła i postawiła na stole.

– Kto mnie powstrzyma? – ciągnęła Julia.

– Lekarz, jeśli będzie to konieczne.

– Lekarz? – Jakby oblano ją zimną wodą. Wściekłość osłabła, jej miejsce zajęło przerażenie.

– O tak. Jeśli nadal będziesz dostawała ataki szału, wezwę go. Zrobiliśmy, co mogliśmy, przywożąc cię do tego spokojnego miejsca, by dać ci wszelką szansę. To nie jest dla mnie zbyt wygodne, ale zrozum wreszcie. Jeśli to rozwiązanie okaże się niezadowolające, nie będzie innego poza takim, które nie przypadnie ci do gustu. Żywię nadzieję, że cisza i odosobnienie dokonają cudów. Ale jeśli zamierzasz zachowywać się agresywnie, nie pozostawisz mi wyboru. Wymagam jedynie twojej współpracy. Rozumiesz?

Zanim Julia zdążyła odpowiedzieć, od drzwi doleciało westchnienie i odgłos, jakby ktoś się wzdygnął, i oczy trzech kobiet zwróciły się w tę stronę. Na progu stała szesnastoletnia dziewczyna o twarzy fretki, w spódnicy narzuconej na koszulę nocną.

– Dlaczego wyszłaś z łóżka, Alice? – zapytała surowo pani Ponsonby.

– Usłyszałam krzyk – odrzekła dziewczyna z urazą w głosie. – Co jej robicie?

– Próbuja doprowadzić mnie do obłądu – pospiesznie wyjaśniła Julia.

– Ależ przestań. – Pani Ponsonby ponownie chwyciła jej dłonie. – Sama nie wiesz, co mówisz. Sparkes, zobacz, czy Ferrers już się położył. Jeśli nie, niech przyjdzie i przyśrubuje okiennice. Nie ma innego wyjścia.

Dziewczyna, Alice, znowu się odezwała. Tym razem w jej głosie zadźwięczała nutka rozbawienia.

– Mówiła pani, że ona jest chora, a nie że sfiksowana. Moja ciotka była taka sama. Musieli zastawić okna meblami, ale jednego dnia wydostała się przez świetlik na dach i rzuciła się w dół. Wiele osób to widziało. Z hukiem rąbnęła o ziemię. Potem w gazetach ukazało się zdjęcie mamy...

– Wystarczy, Alice – przerwała dziewczynie pani Ponsonby. – Niepotrzebnie zerwałaś się z łóżka, ale jak już tu jesteś, lepiej zostań, póki Sparkes nie przyprowadzi Ferrersa, na wypadek gdybym cię potrzebowała.

– Zostanę – zgodziła się z zadowoleniem Alice. Wsunęła się głębiej do pokoju i usiadła, nieproszona, na łóżku. – Jestem bardzo silna – pochwaliła się.

– Cieszę się, że mi to mówisz – zauważyła pani Ponsonby. – Przypomnę ci o tym rano. Będzie tu mnóstwo roboty.

Dziewczyna straciła nieco animuszu. – Tylko nogi mi się męczą.

– Podejdz do okna i zamknij je – poleciła pani Ponsonby. – Nie, nie okiennicę. Nie słyszałaś, jak mówiłam Sparkes, że mają zostać przyśrubowane?

Julii, niemal odchodzącej od zmysłów, wydało się, że minęły wieki, zanim Sparkes wróciła z Ferrersem, wyglądającym teraz inaczej, jako że nie miał na sobie szoferskiej liberii. Jego szeroka jasna twarz nie zdradzała śladu zdziwienia, gdy przyjmował polecenia. Całkowicie bez emocji zabrał się do roboty, zabijając jedno okno po drugim, aż wszystkie zostały zamknięte na amen.

– Zapewne zdajecie sobie sprawę – szepnęła Julia – że mogę was za to podać do sądu?

Ale pani Ponsonby powiedziała tylko: – Cicho, moja droga, cicho. Nie wolno ci się denerwować.

– Ktoś świecił latarką po oknach – nie poddawała się Julia, ale nikt nie zareagował na jej słowa. Widziała, że żadne z nich jej nie wierzy. Pani Ponsonby wygrała trzecią rundę. Zarówno szofer jak i zatrudniona dziewczyna byli święcie przekonani, że postradała zmysły.

Alice, odprawiona, niechętnie udała się do łóżka. Sparkes stanęła przy drzwiach, niczym straszliwy anioł zemsty, w czarnej sukni ciasno otulającej jej chudą postać. Wreszcie Ferrers dokończył dzieła i odszedł, wydając się równie pozbawiony ciekawości jak zawsze. Pani Ponsonby odezwała się: – Kładź się do łóżka, no już, a Sparkes przyniesie ci szklankę gorącego mleka.

W mózgu Julii coś drgnęło. Gorące mleko! Potrząsnęła głową. – Nie wypiję.

Pani Ponsonby pozostała nieporuszona. – Och, myślę, że tak.

– Nie możecie mnie zmusić – wyjąkała dziewczyna.

Pani Ponsonby znów się uśmiechała. – Tak sądzisz?

Mechanizm w głowie Julii zaczął się obracać tak szybko, że aż generował żar. Uniosła dłoń, by zasłonić twarz, ale ktoś je pochwycił. Patrzyła teraz prosto w małą, okrutną twarz pani Ponsonby. Duszący Julię koszmar trwał coraz dłużej, bez końca. Rozpaczliwie zmagала się, by się przebudzić. Ale bez rezultatu. Okropne historie z gazet, zamieszczane na stronach ze skandalami, zwykle tylko w połowie brane przez nią na serio, pojawiały się w jej pamięci: opowieści o pozbawionych przyjaciół kobietach, więzionych przez bezwzględnych brutalnych, przypalane, głodzone, biciem zmuszane do posłuszeństwa. Jak owa Harriet Staunton, która umarła w straszliwych okolicznościach, a nikt z sąsiadów nawet nie wiedział o jej istnieniu. Dziewczyny porwane przez handlarzy białych niewolników i nigdy nie odnalezione. Przypomniała sobie książkę w taniej, miękkiej oprawie, którą dostała od ciotki, gdy miała szesnaście lat, i która całymi nocami nie pozwalała jej spać. A teraz coś, w co trudno by było uwierzyć, przydarzyło się jej, tak jak w tej samej chwili mogło przydarzać się setce innych, równie bezbronnych osób.

W jej głowie odezwał się głos, którego nie poznała: – Dobrze, wypiję.

Ucisk na jej ramieniu natychmiast zelżał. – Rozsądna dziewczynka – skomentował głos obok, z ulgą. – No to wkładaj nocną koszulę i wskakuj pod przykrycie, Sparkes będzie tu za chwilę. I jeśli obiecasz, że nie sprawisz więcej kłopotów, możesz spać tu sama. To dowodzi, że chcę ci zaufać, czyż nie?

Sadyzm kryjący się za tymi słowami był najbardziej przerażający ze wszystkiego, co miało miejsce tego wieczoru. Julia nie odpowiedziała. Wszakże niezgrabnymi palcami rozpinając guziki i haftki, wiedziała, że jest zgubiona. Zaraz sama zacznie się zastanawiać, czy w ogóle istniał ktoś taki jak Julia Ross, Colin, pani Mackie, czy to wszystko nie było majaczeniem zaburzonego umysłu. Gdy nadejdzie dzień, gracze będą mogli wyłożyć karty, gdyż pani Ponsonby wygra partię.

Sparkes wróciła z mlekiem i Julia potulnie je wypijała. Gdy opróżniła szklankę do dna, pani Ponsonby wzięła ją od niej i ruszyła do drzwi.

– Dobranoc, Sheilo.

Mimo ogromnego znużenia, dziewczyna drgnęła.

– Sheilo?

– Tak. No daj spokój, chyba nie zapomniałaś własnego imienia.

– Jestem Julią Ross.

Pani Ponsonby potrząsnęła głową. – Ciekawe, gdzie to usłyszałaś. Ależ skąd, ty jesteś Sheilą Campbell. Patrz, na ubraniu masz swoje inicjały...

– Mój dokument tożsamości...

– A prawda. Zapomniałabym. Pewnie go upuściłaś. Miałam ci oddać.

Z kieszeni wywatowanego szlafroka wyciągnęła znajomo wyglądającą żółtą legitymację.

– Spójrz! – Zachęciła dziewczynę do popatrzenia na podsuniętą kartę z wypisanym na niej nazwiskiem. – Sheila Campbell. Lepiej ją przechowam, nim zrobisz coś... gwałtownego.

Gdy tylko zatrzasnęła za sobą drzwi, Julia usłyszała szcęk przekręcanego w zamku klucza.

## 7.

**W**e wtorek trzydziestego kwietnia wuj Colina, sir Wallace Roper, zmarł o szóstej rano po długiej chorobie. W środę pierwszego maja Colin przeglądał nekrologi w *Timesie*, szukając informacji o pogrzebie. Z jakiegoś powodu wdowa nie zamieściła ogłoszenia – przynajmniej nie w wydaniu z tego dnia – ale Colina zaskoczyło inne, całkowicie pochłaniając jego uwagę.

„Julia Ross, lat 23. 27 kwietnia, nagle, w Londynie. Prosi się o nieprzysyłanie kondolencji ani kwiatów”.

Gdy minął pierwszy szok, rozsądek podpowiadał mu, że Julia Ross to niezwykle często spotykane imię i nazwisko; prawdopodobnie, gdyby zajrzał do książki telefonicznej, znalazłby ich z tuzin. Jednak niepokój budziło zestawienie szczegółów. W Londynie. W wieku 23 lat. Zmarła nagle dwudziestego siódmego kwietnia, dzień po tym, gdy widział ją ostatni raz. No i ta niewyjaśniona zagadka jego telefonu. Sposób, w jaki zbyła go ta kobieta, prawdopodobnie pani Ponsonby, wzbudził w nim podejrzenia. Następnego dnia wczesnym rankiem otrzymał polecenie z kwatery głównej i musiał wyjechać na północ, skąd po powrocie, wieczorem trzydziestego, zastał wiadomość od ciotki z prośbą, by przyszedł do niej następnego dnia.

Jeśli nie ma w tym nic podejrzanego, to chiński cesarz ze mnie – pomyślał. – Dlaczego miałyby nagle umrzeć? Nie była niczym wrogiem, nawet własnym. Dla nikogo nie przedstawiała najmniejszego znaczenia; a więc nie chodziło o usunięcie kogoś, kto wie zbyt dużo... – W tym punkcie rozważań przyszło mu do głowy, że mógł zdarzyć się uliczny wypadek.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym. – Coś tu się nie zgadza – mruknął pod nosem. – Czuję to, choć nie wiem, co mogłoby to być. – Ale zaraz dotarło do niego: „Jeśli to wypadek, kto zamieściłby ogłoszenie w gazecie?”

Przypomniął sobie, jak Julia wspominała, że nie potrafiłaby nawet podać nazwiska najbliższej krewnej osoby. Być może to pani Ponsonby – Julia z pewnością objęła u niej posadę – dała znać do Spencer House. Podobny krok wydawał się Colinowi całkiem rozsądny. Energicznie pomachał na taksówkę i kazał się wieźć na Henriques Square. Po drodze snuł rozważania: – Ona z pewnością o tym wie. Julia wprowadzała się tamtej nocy. Nie ma powodu, by chciała ukrywać fakty. To nie jej wina, jeśli dziewczyna wpadła pod autobus. – Przypomniął sobie, jak Julia ją opisywała. „To wariatka” – tak się wyraziła, a jemu przyszła teraz do głowy całkiem nowa i okropna myśl. Może coś straszego wydarzyło się pod tamtym dachem, co oczywiście opiekunowie pani Ponsonby pragnęliby zachować w tajemnicy? Denerwował się za każdym razem, gdy taksówka musiała zatrzymać się na światłach; w końcu skręcili na plac.

Szofer zwolnił i opuścił szybę w okienku oddzielającym go od pasażera, by pobrać należność.

– Mówił pan numer 30, sir?

– Tak. A co, nie ma takiego?

– Dom jest, ale chyba nikt w nim nie mieszka. – Zatrzymał samochód, a Colin ujrzał, że okna na parterze i piętrze zabezpieczono okiennicami, a te wyżej, pozbawione zasłon, ziały pustką.

– Na pewno ktoś opiekuje się budynkiem – powiedział. – Proszę poczekać, a ja zadzwonię.

W odpowiedzi na dzwonek nawet duch nie poczłapał zakurzonym holem. Świadom, że musi sprawiać dziwne wrażenie, Colin pochylił się i zerknął do środka przez szparę na listy. To, co ujrzał, przestraszyło go. Miejsce ogołocono z mebli. Drzwi stały szeroko pootwierane. Poczuł lęk. Teraz już nie miał wątpliwości, że za ogłoszeniem w *Timesie* kryło się jakieś przerażające wyjaśnienie. Kobieta nie angażowałaby w piątek sekretarki do pracy w Londynie, jeśli zamierzała wyprowadzić się, z całym dobytkiem, do końca tygodnia. Powoli zszedł po stopniach i obejrzał teren przy domu. Choć teraz już wiedział, że to strata czasu, nacisnął także dzwonek na kuchennych drzwiach. Słyszał tylko krople padającej gdzieś wody, ale nic poza tym. Nawet dzwonek nie działał.

Prąd więc wyłączony – zarejestrował uporządkowany umysł Colina. – Czy w sobotę wydarzyło się coś strasznego i nieoczekiwanego, co zmusiło tę damę do spakowania się w panice, czy raczej wszystko było z góry zaplanowane?

Gdy przypomniał sobie swój telefon w piątek wieczorem, już nie wątpił, że w grę wchodzi ta druga ewentualność.

Wskoczywszy z powrotem do taksówki, kazał się wieźć do Spencer House, gdzie drzwi, nie spiesząc się, otworzyła flejtuchowata Bertha.

– Gdzież pani Mackie? – zapytał energicznie.

Służąca nie reagowała, gapiąc się na niego. – Zobaczę – powiedziała w końcu. – Ale ona nie przyjmuje dżentelmenów.

– Proszę uprzejmie powiedzieć jej, że jestem tutaj i proszę o chwilę rozmowy.

– Jak sobie życzy. Nazwisko?

– Pan Bruce.

Przez jakiś czas pozostawiony samemu sobie czekał na schodach. Potem pojawiła się pani Mackie. Dziewięta trzydzieści rano najwyraźniej nie była jej najlepszą porą dnia; włosy wciąż kryła jedwabna siatka; kwiecisty fartuch, na tyrolską modłę namarszczony w pasie, zbyt mocno nakrochmalony, odstawał niczym miniaturowa krynolina nad rozłożystymi biodrami. Na widok Colina, nim zdążył otworzyć usta, oświadczyła: – Przykro mi, ale nie przyjmujemy dżentelmenów. To damski przybytek.

– Jak mi wiadomo, do ostatniego piątku panna Julia Ross była jedną z pani lokatorek.

Oczy kobiety rozszerzyły się. – Pan z policji?

– Z policji! – Zdziwienie w jego głosie wnet zastąpiła panika. – Skąd to przypuszczenie?

– Nie wiem tego na pewno, ale gdy ktoś znika tak jak ona, musi być w tym coś podejrzanego.

Colin odezwał się z powagą: – Proszę posłuchać, pozwoli mi pani na chwilę wejść? Przyszedłem, bo dzieje się coś dziwnego, i chcę się dowiedzieć, o co w tej sprawie chodzi. Jestem przyjacielem panny Ross i martwię się o nią.

– Niepotrzebnie – stwierdziła pani Mackie z niechęcią. – Ona potrafi sama o siebie zadbać.

– Czyżby? – odparował ostro Colin. – Widziała pani dzisiejsze wydanie *Timesa*?

– Nie mam czasu zaczynać dnia od gazet. Czytam, gdy już uporam się z pracą.

– No to niech pani rzuci okiem na to. – Colin wyjął gazetę z kieszeni i podał jej. Przez chwilę pani Mackie szukała okularów.

Po przeczytaniu notatki powiedziała obojętnie: – To nie może być ona.

– Czemu pani tak mówi?

– No cóż, w czwartek była tutaj, całkiem zdrowa.

– Dlatego też sądzę, że coś jest nie w porządku.

Tym razem pani Mackie cofnęła się i wpuściła go do swego biura.

– Oczywiście, mógł wydarzyć się wypadek.

– Gdy odchodziła w piątek, powiedziała pani, dokąd się udaje?

– Nawet nie wspomniała, że odchodzi. Dowiedziałam się dopiero następnego ranka, w sobotę, gdy Bertha zaniósła jej śniadanie i powiadomiła mnie, że pokój jest pusty. Zabrała ze sobą wszystkie swoje rzeczy, jej odejście nie było przypadkowe.

– Oczywiście, że nie. Niespodziewanie dostała posadę i musiała od razu się wprowadzić. Może w piątek wieczorem nie było pani w domu?

– A jeśli nawet, to co? Chyba mogła zostawić mi wiadomość na piśmie.

– A nie zrobiła tego?

– Nie znalazłam żadnej informacji. Bertha twierdzi, że nie była świadkiem jej odejścia w piątek. No cóż, ona przebywa w suterenie i nie zwróciłaby uwagi, nawet gdyby usłyszała dźwięk zatraskiwanych drzwi. Moje dziewczęta cieszą się całkowitą swobodą, mogą wychodzić i przychodzić kiedy zechcą, oczywiście w określonych godzinach.

– Niczego nie było w jej pokoju – żadnego listu, jakiejś notatki?

– Ani listu, ani pieniędzy.

– Była pani coś dłużna? Czyż już choćby to nie dowodzi, że stało się coś niedobrego? To nie typ dziewczyny, która odeszłaby, nie wyrównując należności. Pewnie zamierzała wpaść w sobotę i – coś się wydarzyło.



– Wie pan, to możliwe – przyznała niechętnie pani Mackie. – Tak czy owak, powinna była zostawić mi wiadomość, że odchodzi.

– Czy ja jestem jedyną osobą, która do tej pory się o nią pytała? – upewniał się Colin.

Pani Mackie natychmiast znów zrobiła się podejrzliwa. – A kto by miał jeszcze?

– Myślałem o tym ogłoszeniu – któż mógł je zamieścić? Gdzie są wszystkie jej rzeczy? Kto zorganizował pogrzeb?

– No cóż, pewnie miała krewnych.

– Żadnego, o jakim by wiedziała. Tak twierdziła.

– W każdym razie była sprytna. Ja nawet o panu nie wiedziałam.

Colin wyjął wizytówkę. – Można mnie zastać pod tym adresem – oznajmił. – Jeśli ktoś pojawi się i będzie się o nią wypytywał, da mi pani znać?

– Nie wiem, kim pan jest – zawahała się pani Mackie.

– Zamierzam się z nią ożenić – odrzekł po prostu Colin. – A przynajmniej zamierzałem.

– Nigdy mi nic nie powiedziała – zdziwiła się.

– A jak mogła? – zapytał. – Przecież sama nie wiedziała...

Pani Mackie wydawała się nader zapalona do tego tematu, ale jej gość stanowczo trzymał się istotnych aspektów sprawy.

– Gdyby ktokolwiek zatelefonował, zajrzał tu lub w jakiś inny sposób zasięgał informacji, proszę koniecznie mnie powiadomić – oznajmił. I wyszedł. Pani Mackie poświęciła teraz Julii więcej myśli niż wcześniej. Taki mężczyzna, prawdziwy dżentelmen, a dziewczyna nie zdradziła się nawet słówkiem. Potem powiedziała sama do siebie:

– Zamierzał się z nią ożenić, czyżby? A ona nie wiedziała? Kto wie, może się nie szanowała? Nie byłabym zaskoczona. Nigdy nie jadła posiłków w domu, z nikim nie rozmawiała... – Porzuciła prace domowe, którymi zajmowała się, gdy przeszkodził jej dzwonek Colina, i pospieszyła na pierwsze piętro. Razem z panną Waterer spędziły poranek na rozkosznych spekulacjach. Obie były zdumione, gdy usłyszały, jak zegar wybija dwunastą.

\*

Colin zastał taksówkę cierpliwie czekającą na niego przy krawężniku. – Och – zawołał – zapomniałem o panu. Proszę mnie zawieźć na Bloomsbury Court 205.

Szofer z zadowoleniem skinął głową i ruszył. Myślał o nowinie, którą przekazała mu żona tego ranka, o kolejnym potomku, którą on skomentował: – Trochę nie na czasie – a teraz zastanawiał się, czy przypadkiem się nie pomylił. Może los miał się odwrócić. Jeszcze kilka kursów takich jak ten, licznik odliczający po trzy pensy, a nieźle sobie uzbiera.

Bloomsbury Court 205 był adresem zamieszkania pana Arthura Crooka. Dotarli tam o dziesiątej i kierowca poczuł rozczarowanie, zainkasowawszy należność.

– Na pewno nie będzie mnie pan więcej potrzebował? – zasugerował, ale Colin potrząsnął głową. Nawet nie zauważał taksówkarza jako osoby.

Crook siedział za biurkiem, pulchną postać szczerlnie obcisnął dokładnie pozapinany, brązowy garnitur z materii o krzykliwym wzorze, a brązowy melonik, nasunięty mocno na oczy, zdawał się balansować na grubych, rudych brwiach. Gdy Colin wszedł energicznie do pokoju, prawnik odsunął melonik na tył głowy, skinął na powitanie i powiedział: – No, no, no. A więc w końcu na to ci przyszło. Zawsze wiedziałem, że tak będzie. Co to jest? Morderstwo, fałszerstwo czy sprzedaż sekretów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych?

Colin, błędąc, odrzekł: – Być może morderstwo.

Z zadowoleniem patrzył, jak zmienia się mina Crooka. – Być może? Ty kogoś zamordowałeś?

– Jeszcze nie, ale może się zdarzyć.

Crook odsunął melonik jeszcze bardziej; czaszkę miał niezwykle szeroką, zwłaszcza z tyłu. Właśnie ta jej część utrzymywała nakrycie głowy na miejscu.

– Nie radzę ci – oświadczył. – To nie jest bezpieczne. Nie twierdzą, że nie pomógłbym ci w miarę moich możliwości – bo oczywiście tak by było – ale policja staje się coraz bardziej nieprzejednana. Poza tym, amator taki jak ty, do tego tak bardzo wykształcony, bez wątplenia wszystko by poplątał...

Na chwilę oderwał tymi słowami uwagę Colina od sprawy, z którą przyszedł. – Uważasz, że człowiek bez wykształcenia ma większą szansę na zamordowanie gościa i wywiniecie się? – zapytała detektywa.

– Ależ to oczywiste. – Crook zdawał się zaskoczony, że ktoś w ogóle może mieć podobne wątpliwości. – To wyobraźnia załatwia kryminalistów z wyższych sfer. Widzicie za daleko i za dużo. Zawsze przygotowujecie się do czegoś, co ma wydarzyć się w środku następnego tygodnia. No i widzisz, to się wydarza. Czytałeś kiedykolwiek moje raporty z popełnionych zbrodni? Tych niewyjaśnionych? No cóż, udaje się wykręcić temu, kto robi swoje i po prostu odchodzi, a potem czeka na ruchy strony przeciwnej. Rozumiesz, co mam na myśli?

Jeśli wzniesiesz zaporę, każdy wie, gdzie jesteś. Sądziś, że ona cię osłoni, ale tak nie jest. Tylko przyciąga uwagę do miejsca twego pobytu. Jeśli masz komuś wbić nóż w bebechy, zrób to i wynoś się. I pozwól policji robić swoje. Nie zaczynaj rozmyślać o odciskach palców i alibi. Słyszałem jak mówiono, że ludzie za dużo wiedzą. To właśnie wykorzystuje policja. Oni przepadają, gdy przestępcy mają sporą wiedzę. A jaka by ona nie była, policja i tak wie więcej. W ten sposób gromadzą informacje. Rozumiesz mnie? Po prostu nie komplikuj spraw. Koniec prologu – dodał trochę nieoczekiwanie. – Zawsze odstawiam moją mowę na samym początku, choć nie sądzę, by ktokolwiek mi uwierzył. Tak czy owak nikt się nie przejmuje moimi słowami; a nawet gdyby było inaczej, pewnie nie zrobiłoby to żadnej różnicy, bo gość, który przyczynia się do złapania przestępcy, w dziewięciu na dziesięć przypadków nie jest policjantem ani samym sprawcą; to ktoś, na kogo nikt nie zwrócił uwagi, kto nawet w ogóle nie był elementem układanki, jakiś dostarczyciel kwiatów lub kobieta wyprowadzająca psa na spacer. Gdyż morderstwo właściwie jest jak wszystko inne. W dziewięciu dziesiątych zależy od szczęścia. A teraz gadaj, o co chodzi.

Colin przedstawił sytuację, porządkując fakty według ich wiarygodności i nie kryjąc niepokoju.

– Chyba przyznasz, że w tym wszystkim jest coś diabelnie dziwnego – zakończył. – W piątek wieczorem dziewczyna była okazem zdrowia. Dlaczego w sobotę miałyby nagle umrzeć, do tego tak jakoś ukradkiem?

Crook wziął do ręki cienki, czerwony ołówek, ścisnął go w swych grubych, zwinnych palcach.

– Istnieje odpowiedź, która zapewne nie przyszła ci do głowy. Może ona w ogóle nie poszła do tej pani Ponsonby – zasugerował.

- Przecież powiedziała mi...
- To, co ktoś powiedział, nie jest dowodem, mój chłopcze. Mogła mieć swoje powody, by cię nabrać.
- Ależ to bez sensu – zaprotestował Colin. – Czemu miałyby się wysilać i tłumaczyć się przede mną? Mogła po prostu zniknąć.
- A ty poszedłbyś do tej jej noclegowni i wypytywałbyś o nią, nie rozumiesz? A tak, skutecznie zamydliła ci oczy.
- No to według ciebie, dokąd się mogła udać?
- Czy słyszałeś kiedyś o słowie wrytym na każdym kobiecym sercu?

Romans przez duże R?

- Śmieszne! Chcesz powiedzieć, że być może uciekła z jakimś mężczyzną. Ale po co miałyby mi opowiadać tę historyjkę? W hotelu najwyraźniej nie wspomniała o tym ani słowem, tak przynajmniej twierdzi stara jędra, która go prowadzi – napomknęła też o jakichś zaległych pieniądzach.

Crook z poważną miną zdjął kapelusz i położył na biurku. Co zawsze oznaczało, że coś bardzo zwróciło jego uwagę.

- Powiedz no, stary, gdzie poznałeś tę dziewczynę?
- W herbaciarni.

Crook skinął głową. – No cóż, w końcu musiało się to gdzieś stać. Ale – czy ktoś cię przedstawił?

- Gdybyśmy na to czekali, pewnie nawet jeszcze nie pozdrawialibyśmy się choćby ruchem głowy.
- Rozumiem, co masz na myśli. Jak dawno to było?
- Około siedem tygodni temu.
- Hm.

Colin wbił w niego wzrok. – Słuchaj no, Crook, jest w tej sprawie coś bardzo dziwnego. Dlaczego ten dom nagle opustoszał?

- Może nie tak nagle, jak sądzisz.
- Ależ mówię ci, zatelefonowałem tam w piątek wieczorem i odezwał się kobiecy głos, ale nie Julii. Wtedy ktoś tam był.
- To – przyznał niechętnie Crook – jest cholernie podejrzane.
- No widzisz – Colin nie ościagał się z wykorzystaniem swej przewagi – tak czy owak mógłbyś się trochę podowiaadywać. A co z tym ogłoszeniem w *Timesie*? Czemu Julia miałyby zrobić coś takiego? Zdołasz dotrzeć do osoby,

która je zamieściła? Czy w *Timesie* prowadzą rejestr zleceń?

– Nic takiego, co by na wiele się przydało. Notatka mogła zostać przyjęta w każdym miejscu, gdzie przyjmują ogłoszenia do *Timesa*, a takie są niemal w każdym dużym sklepie. Sądzę, że na ogół pytają, czy jest się krewnym, ale nie żądają żadnego dowodu na autentyczność zgonu.

– Szkoda. Czy to nie przestępstwo zgłaszać śmierć osoby, która nie umarła?

– Chyba nie, ale bardzo głupie.

– No dobrze, a co z pogrzebem? Jeśli Julia umarła, musieli ją gdzieś pochować. Jakiś doktor musiał podpisać świadectwo zgonu; przedsiębiorca pogrzebowy zająć się trumną. Czy to możliwe, by kobieta, która nie wiedziała o jej istnieniu dwadzieścia cztery godziny wcześniej, wzięła na siebie tyle kłopotów? Poza tym, czemu wywieziono meble? Mówię ci, hol jest pusty jak kieszeń bankruta...

– W porządku – powiedział Crook uspokajająco – w porządku. Zajmiemy się tym dla ciebie. Jest tylko jedna rzecz – nie chcę, by moje działania popsuł jakiś amator. Gdy zabrniemy w ślepy zaułek, sami rozwalimy mur. Dotarło?

– Rozumiem – powiedział Colin i wyszedł. Musiał odwiedzić ciotkę, kobietę roztargnioną i w ogóle nieco słabą na umyśle. Bardzo go to cieszyło; zawsze to jakieś zajęcie.

Crook często powtarzał, że ma szczęście, posiadając, poza własną mądrością, głównego pomocnika, niejakiego Billa Parsonsa, który spędził lata uznawane na ogół za najlepsze po burzliwej stronie prawa. „Uczciwość sama w sobie to dobra rzecz, ale przypomina bardzo obcisłą spódnicę – z upodobaniem zwykł wyjaśniać Crook. – Można wyglądać świetnie i podobać się sąsiadom, ale daleko się z nią nie zajdzie”. Crook polecił teraz Billowi odnalezienie lekarza (jeśli taki istniał), który podpisał świadectwo zgonu, oraz przedsiębiorcę pogrzebowego, uczestniczącego w pogrzebie. Szkoda, pomyślał, że na domu przy Henriques Square nie ma tablicy z nazwą agencji nieruchomości, miałbym legalną możliwość obejrzenia tego miejsca.

– Co cię gryzie? – zapytał Bill nieelegancko. – Jeśli uważasz, że powinieś obejrzeć ten dom, no to chodźmy tam. Czyż ja nie jestem równie doskonały jak rasowo dorobiony klucz?

Crook w zamyśleniu pokiwał głową. – Nie o to chodzi, Bill. Myślałem

sobie, że gdyby ta dama przekazała go agencji, może wygadałaby się trochę i dowiedzielibyśmy się co nieco. Tak czy owak, rób swoje. Wieczorem wróci nasza Błyskawica.

Bill w przebraniu angielskiego dżentelmena bez pośpiechu udał się na Henriques Square i kręcił się tam, aż wreszcie jakiś policjant, wyglądający jakby przybył prosto z Hollywood, pojawił się w pobliżu. Wtedy Bill wszedł po schodkach pod drzwi opatrzone numerem 3 i pociągnął za dzwonek. Ten oczywiście nie zadziałał, ale nawet gdyby zadzwieczał, w domu i tak nie było nikogo, kto mógłby zareagować. Bill jeszcze zapukał. Kilka razy, coraz donośniej, aż policjant przeszedł przez ulicę i uprzejmie poinformował: – Nie ma co pukać, proszę pana. Mieszkańcy wyjechali.

Bill odwrócił się i utykając, zszedł po stopniach. Kuśtykanie zawdzięczał policji, choć ten reprezentujący ją, z którym rozmawiał, z trudem zdołałby w to uwierzyć.

– Zdumiewające, jak wiele tych domów świeci pustką – zauważył przyjacielskim tonem. – Po tej stronie placu stoi sześć tablic informacyjnych, a po innych... – Wzrokiem przesuwiał po rzędach domów.

– W niektórych nie było lokatorów od wybuchu wojny – wyjaśnił policjant. – Wszyscy uciekli do swoich dziupli na prowincji, jeszcze zanim wydano pierwsze ostrzeżenie.

– Według mnie niektórzy mogliby już wrócić.

– No cóż, niektórzy tak uczynili, ale ta dama wyjechała dopiero w zeszłym tygodniu.

– Też uznałem, że musiało stać się to bardzo niedawno, bo moja żona rozmawiała z nią jeszcze kilka dni temu. Jestem w mieście przypadkiem i pomyślałem sobie, że wykorzystam szansę na złożenie wizyty. W ostatnich czasach niezbyt wiele miewa się okazji do spotkań z powinowatymi.

Powstrzymując się od złośliwego grymasu, policjant zauważył: – Nie każdy uznałby to zaraz za nieszczęście... Powinien był pan pojawić się w zeszłym tygodniu, sir.

– To kiedy, mówi pan, wyjechali?

– Prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie wiedziałem, zanim nie zobaczyłem, że wynoszą meble. Sprawę nadzorował kamerdyner i uciałem sobie z nim pogawędkę. Ta dama mieszka tu długo, ale oczywiście wyjeżdża dla zmiany

powietrza. Powiedział mi, że nie czuła się najlepiej i lekarz zalecił wyjazd z miasta.

– Przypuszczam, że jak tylko wrócę do domu, okaże się, że moja żona o tym słyszała – westchnął Bill nieszczercze. – No cóż, chyba nie ma sensu dalej się tu kręcić. Wie pan, dokąd pojechali?

– Po prostu na wieś, tak powiedział ten gość. Miał do nich dołączyć.

Bill zastanawiał się przez chwilę. – Ponieśli niedawno stratę. To mogło wpłynąć na stan nerwów pani Ponsonby.

Policjant zrobił zaskoczoną minę. – Naprawdę? Nic nie słyszałem. Widać trzymali rzecz w sekrecie.

– Ludzie zwykle milczą o pogrzebach, o ile to możliwe.

– Ale raczej nie jest – zaprotestował policjant. – No cóż, w końcu nie mam służby przez dwadzieścia cztery godziny dziennie. Tak czy owak dziwne, że mi to umknęło.

– I mówił pan, że meble wywieźli w sobotę.

– Nie, to ta pani wyjechała w sobotę, tak powiedział kamerdyner. Zapewne za kilka dni pojawi się tablica. Chociaż obecnie zmalął popyt na duże domy. Wymagają mnóstwo starań, a ponoć trudno o służbę. Przez pracę w fabrykach amunicji i tak dalej, zresztą młodzi chętnie widzą się w mundurze.

– Jest pan ostatnią osobą, która może mieć im to za złe – wyszczerzył się Bill i odszedł, obiecując nad wyraz grzecznemu policjantowi, że wypije za jego zdrowie przy okazji.

Policjant odrzekł: – Dziękuję bardzo, sir.

I Bill wrócił na Bloomsbury Square. Postanowili, że lepiej będzie, jeśli następnym etapem śledztwa zajmie się kobieta.

Gdy Colin wpadł około szóstej wieczorem, gdyż praca, za którą otrzymywał pensję, zatrzymała go do tak późnych godzin, mieli dla niego mnóstwo wiadomości.

Pani P. wyjechała w sobotę, wczesnym rankiem. Kucharka i pokojówka dwa domy dalej obserwowały wyjazd. Podróżne wsiadły do długiego, czarnego samochodu, prawdopodobnie wynajętego, gdyż obie kobiety twierdzą, że auto pani P. jest jaskrawoczerwone. Nie знаły też szofera. Sprawa wyglądała podejrzanie.

– Czy zauważono, kto wsiadał do samochodu?

- Pani Ponsonby i ta młoda dama.
  - Ach! – Colin z każdą chwilą stawał się bardziej napięty. – Czy rozpoznalyby młodą damę?
  - Młoda, raczej niska i ciemnowłosa.
  - To Julia – powiedział z przekonaniem Colin.
  - I ponoć mieszkała u pani Ponsonby od tygodnia.
- Colin gwałtownie drgnął. – A to już – niezwykle cedził słowa – musi być pomyłka.
- One tak nie uważają – mruknął Crook. – To znaczy, nie tylko ta kucharka i pokojówka ją zapamiętały.
  - Nie widzicie, dokąd to zmierza? Coś przydarzyło się tej pierwszej dziewczynie i Julia zajmuje jej miejsce.
  - Możliwe – zgodził się Crook, zamyślony. – Możliwe. Sprawa nie wygląda dobrze – to znaczy z punktu widzenia Julii.
  - Czyli może grozić jej niebezpieczeństwo – stwierdził Colin.
  - No cóż, może nie do końca. Zlikwidowali jedną dziewczynę, chyba nie spróbują po raz drugi. W końcu istnieją lekarze i przedsiębiorcy pogrzebowi, jak sam przypomniałeś mi dzisiaj rano.
  - Ale nie widzisz, że Julia jest dla nich niebezpieczna? Wystarczy, że otworzy usta, a już są ugotowani.
  - Dlatego dopilnują, by nie miała okazji.
  - Crook, przestań błaznować. – Colin był tak zmartwiony, że Crook zignorował obelgę. – Nie macie pojęcia, gdzie może być teraz?
  - Najmniejszego.
  - A co z samochodem? Nie zdołacie do niego dotrzeć?
  - Pani Ponsonby wynajęła auto z agencji, twierdząc, że będzie dużo podróżować; na zasadach długoterminowych. Na pewno na miesiąc, razem z szoferem.
  - A on nie kontaktuje się z firmą?
  - Bądźże dorosły – skarcił go Crook. – Odkąd to wynajęci szoferzy piszą uspokajające sprawozdania? Oczywiście, że nie.
  - Ale macie numery samochodu. To powinno pomóc.
  - Owszem, gdybyśmy byli policją, ale pozostając jedynie byle prawnikami, nie mamy tyle możliwości, ile sobie wyobrażasz. Jak tylko pani P. dotrze



do tej końskiej doliny, gdzie prawdopodobnie zajmują się twoją małą, samochód zostanie na dłuższy czas odstawiony. I jeszcze jedno, szofera na razie nie odeślą do stolicy. Twój piątkowy telefon z pewnością nastraszył madam.

– A co stało się z meblami?

– Zabrali je ludzie od Atkinsona. Tak, z nimi także się skontaktowałem. Otrzymali zlecenie trzy dni wcześniej, ale czekali na potwierdzenie tego konkretnego dnia. Dostali je w piątek tuż przed zamknięciem firmy o siódmej.

– To by się zgadzało – powiedział Colin z rozpaczą w głosie. – No więc, co teraz zrobicie?

– Poczekamy, aż zbierzemy trochę więcej informacji. Faktycznie, nikt w tej bardzo wścibskiej okolicy nie pamięta nic o żadnym pogrzebie. Poza tym, jeśli śliczna Julia nie umarła do soboty, karawana z jej trumną nie mogła wyruszyć z Henriques Square, ponieważ pani P. opuściła dom o dziewiątej rano.

– Sprawdzaliście w zakładach pogrzebowych?

– Daj nam szansę. Co ty myślisz, że kim jesteśmy? Blitzkriegiem Hitlera? A tak naprawdę, trzeba by było widzieć Billa, jak obchodzi zakłady pogrzebowe z wycinkiem z gazety w ręce, przedstawia się jako ojciec zmarłej i prosi o szczegóły.

Colin poczuł gwałtowny przyptyw mdłości. – Dowiedziałeś się czegoś?

– Do tej pory nikt nie przyznaje się, by miał cokolwiek wspólnego z tym pogrzebem. Poza tym, masz rację, chłopcze, jest tu coś bardzo podejrzanego. Twoja młoda dama dociera do Henriques Square dopiero w piątkowy wieczór, a opuszcza dom już w sobotę, wcześniej rano. To nie daje przedsiębiorcy pogrzebowemu zbyt wiele pola manewru.

– A wiesz, gdzie przyjmowano ogłoszenie?

– W filii W.H. Smitha – tej z Mayfair – najbliższej od Henriques Square. Widzieliśmy dziewczynę, która je przyjęła i zapamiętała, gdyż tekst był wyjątkowo oschły – żadnego córka tego a tego... żadnych szczegółów. Mówi, że szczerze uwierzyła, że to przypadek samobójstwa, zwłaszcza że proszono o nieprzysyłanie listów ani kwiatów. Notatkę przyniósł starszy mężczyzna, uznała go za służącego.

– Kamerdyner – powiedział Colin. – Którego to było dnia?

– Pierwsze zlecenie we wtorek rano. To następna rzecz, która skłaniała ją

do przyjęcia wersji samobójstwa. Wyglądało tak, jakby rodzina nie chciała podać wiadomości przed pogrzebem. Jeśli dziewczyna umarła w sobotę, pochówek mógłby bez trudu odbyć się we wtorek.

– A więc kamerdyner był w mieście we wtorek, to znaczy wczoraj. Oczywiście do tej pory mógł już dołączyć do madam.

– Jest jeszcze kwestia drugiej dziewczyny – odezwał się wolno Crook. – Przypuśćmy, że były dwie, to co stało się z tą, która nie była Julią Ross?

## 8.

**W** dużym domu noszącym nazwę Beverley, a także w jego okolicy, ochoczo przyjęto wieść o „dziwnej” młodej damie, za którą całkowitą odpowiedzialność ponosiła jej opiekunka. Pani Ponsonby dobrze wiedziała, co robi, zatrudniając Alice do prac domowych. Dziewczyna niezbyt przykładała się do swych obowiązków, a jej manery, typowe dla osób pochodzących z gminu, drażniły pruderyjną Sparkes, jednak pod innymi względami okazała się bardziej przydatna niż tuzin służących. W istocie pani Ponsonby nie znalazłaby nikogo bardziej odpowiedniego do swych celów.

Posada okazała się dla Alice prawdziwą gratką. Jako najmłodszą i najmniej rozgarniętą z licznej rodziny, domownicy traktowali ją z lekceważeniem; pracy nigdy nie udało jej się zachować dłużej, jako że chlebodawcy nie tolerowali jej niechlujstwa. Poza tym nie była, tak do końca, uczciwa. Gdy w Beverley oferowano jej miejsce służącej do wszystkiego, z początku wzbraniała się, utrzymując, że boi się tego dużego, ciemnego domu.

– Zapewne roboty? – zauważyła jej matka, której przy minimalnych dochodach udało się wychować liczną rodzinę, a jej dom słynął w okolicy z czystości. Alice była odszczepieńcem, jedynym nie zadawalającym dzieckiem z całej dziewiątki.

– Nie będą mnie tam dobrze traktować – jęknęła Alice, która większość czasu poświęcała próbom uniknięcia jakiegokolwiek zajęcia.

– Masz ochotę ponownie zaznajomić się z kijaszkiem tatusia? – zagadnęła pani Reckitts, nie okazując śladu współczucia.

Alice wykręcała się i pokrzykiwała, w końcu jednak poszła na górę, by spakować swoje rzeczy do japońskiego kosza z trawy. W całej tej sprawie pocieszała ją tylko pewność, że nie zatrzymają jej dłużej niż tydzień. Jednak, gdy minęły pierwsze trzy dni, jej nastawienie całkowicie się odmieniło. Po pierwsze,

pojawił się Ferrers. Żaden z miejscowych młodzieńców nie miał ochoty mieć cokolwiek wspólnego z Alice; okazywała nadmierną natarczywość, nawet nie wahała się iść z nimi do ich domów. A potem jej ojciec sprawiał kłopoty. Ci dwaj czy trzej, którzy się z nią zabawili, poczuli to na własnej skórze. Tak więc pojawienie się „chłopaka z Londynu” zachwyciło ją. A oprócz Ferrersa była Julia. Ta okazała się nieustającym źródłem ekscytacji dla ograniczonego umysłu Alice. Zaraz pierwszej nocy próbowała rzucić się z okna, a od tamtej pory zdarzyły się następne incydenty.

– Uważaj, jak zwracasz się do dobrze urodzonych – ostrzegła ją matka. – Bogaci to bogaci, a biedni to biedni. Nie lubią, gdy wypomina im się zbzikowanych krewnych. – Ludzie na wsi oczywiście patrzyli na te sprawy inaczej. Brak inteligencji nie przeszkadzał tu w zarabianiu na życie. Wielu „głupkowatych” parobków pracowało i przynosiło pokornie do domu swoje pobory, na co niekoniecznie przystaliby ich bardziej rozzębieni bracia. Niski poziom inteligencji, zajęcze wargi, rozszczerzone podniebienia – wszystkie te ułomności przyjmowano na prowincji ze spokojem; wiejskich idiotów nie próbowano zamykać w odizolowanych miejscach. To by jeszcze pogłębiło ich stan, do tego, jak zapewniano, biedne głupki nie robiły nic złego. W odciętych od świata wioskach niemal nikt nie słyszał o eugenicie; ludzie wierzyli w zrządzenie losu i wolę bożą, byliby oburzeni sugestią sterylizacji czy likwidowania idiotów. Ale osoby takie jak pani Ponsonby traktowały tę sprawę inaczej, o czym pani Reckitts, która przed ślubem służyła w dobrych domach, dobrze wiedziała. Dla nich jakakolwiek wzmianka o nienormalności niosła ze sobą hańbę. Tak więc teraz ostrzegła córkę, by trzymała język na wodzy.

– Ale, mamó, ja mówię to tylko tobie – odrzekła urażona Alice – Ona jest zbzikowana. Udaje, że nie zauważa, gdy pani Ponsonby do niej mówi, twierdząc, że jest kimś innym, i nie zamierza słuchać. A już pierwszego ranka zapytała, co mają dla niej do roboty, bo jej płacą i chce zarobić na utrzymanie.

– Szkoda, że ty nie jesteś taka choć odrobinę – zauważyła posepnie pani Reckitts. – Pewnie dla ciebie to wystarczy, by uznać ją za nienormalną.

– A potem to ona ubrała się w czerwoną sukienkę, wyszła na dwór i drażniła byka. Naprawdę. Pewnie precyzyjnie się przez otwór w żywopłocie na końcu ogrodu. Pani Ponsonby bardzo się zdenerwowała. Mówiła, że kazała jej zachować ostrożność i nie opuszczać terenu posiadłości. Bo ten byk jest niebezpieczny.

– Wszystkie są takie – rzuciła pani Reckitts ogólnikowo. – Jednak, pochodząc z Londynu, mogła o tym nie wiedzieć.

– Ależ powstało zamieszanie – ciągnęła radośnie Alice. – Właśnie zamiatalam pokój na górze – nigdy nie widziałas takich olbrzymich – gdy weszła Sparkes i zapytała: – Widziałas młodą damę?

– Cóż, nie widziałam i wtedy pojawiła się pani Ponsonby, i zwróciła się do Sparkes: – Widziałas pannę Sheilę? – Na co ta: – Właśnie pytałam tę dziewczynę. Nie wyszła do ogrodu? – A pani Ponsonby: – Owszem, mówiłam jej, by sobie odpoczęła, ale przed chwilą nie było jej tam. – Na co Sparkes: – Może poszła na spacer na łąki? – I wtedy się wtrąciłam: – Powinna uważać na byka – a pani Ponsonby przypomniała sobie: – Była w czerwonej sukience i kapeluszu... och, chyba nie jest taka niemądra, przecież ostrzegałam ją o bliskości farmy i potrzebie zachowania ostrożności. – Potem wyjrzałyśmy przez okno i była tam, biegła jak szalona, a byk za nią. O mało jej nie dopadł! – Alice zakończyła z żalem. – Jim Barber wyskoczył z widłami i odgonił byka. Ale był wściekły. – Czemu przylazłaś drażnić moje zwierzę? – Ona cała się trzęsała i powtarzała, że nic nie wiedziała o byku, a potem odwróciła się w stronę pani Ponsonby i krzyknęła: – Ale pani wiedziała, czyż nie? Oczywiście. To dlatego dała mi pani tę czerwoną sukienkę. – Pani Ponsonby zabrała ją do środka, a Sparkes oświadczyła, że bardzo im przykro, ale młoda pani jest chora i nie zawsze wie, co mówi. Jim odszedł, mrucząc pod nosem, że gdyby byk ją dopadł, wiedziałaby, że bydlę nie żartowało. A ona już w domu narobiła okropnego rejdachu, twierdząc, że zastawili na nią pułapkę. Nigdy nie słyszałaś takiego wrzasku...

– Ludziom z miasta na ogół brakuje piątej kleпки – skomentowała pani Reckitts.

– Och, to nie koniec – oznajmiła z dumą Alice. – Twierdzi, że nocą jacyś ludzie chodzą po jej pokoju; a gdy pani Ponsonby powie do niej Sheilo, pyta: –

Kto to taki, ta Sheila? Co jej zrobiliście? – Ferres mówi, że gdy wsiedli do samochodu, nakazano mu pilnować jej na wypadek, gdyby próbowała wyskoczyć i coś sobie zrobić. Pani Ponsonby poinformowała go, kiedy go zatrudniała, że młoda pani nie jest całkiem normalna, ale żeby się nie bał, bo nie zrobiłaby mu krzywdy, tylko samej sobie.

– Biedactwo – orzekła z pobłażaniem pani Reckitts. – Taka była twoja ciotka.

– Mówiłam jej o tym – powiedziała Alice – a ona przerwała mi w samym środku opowieści i zapytała: – Czemu mi to mówisz? Myślisz, że jestem szalona? Ależ nie jestem, oczywiście że nie. Oni po prostu trzymają mnie tutaj jak w więzieniu, nie pozwalają mi pisać do przyjaciół... – Ale ona pisze. Godzinami siedzi nad czymś, a gdy coś nabazgrze, pani Ponsonby pyta: – Masz dla Sparkes jakiś list do wysłania? – wtedy ona jakby się kurczy i mówi: – Nie. – A potem znajduję jej listy podarte na kawałeczki i wyrzucone przez okno.

– Znam takie jak ona – filozoficznie oświadczyła pani Reckitts. – Któregoś dnia przechytry ich wszystkich, tak jak twoja ciotka. Jedynym sposobem na podobne osoby to zamknięcie ich, przekona się o tym. – Druga część odpowiedzi oczywiście odnosiła się do pani Ponsonby.

W sąsiedztwie dama wywarła dobre wrażenie. Robiła jak najwięcej zakupów na miejscu, ale naturalnie nie było tego wiele, gdyż wioska składała się z nielicznych, rozrzuconych domków, sklepu ogólnego i masarni. Wszakże farma mogła dostarczać drób i jajka, także jarzyny. Jak dotąd nikomu nie udało się dowiedzieć wiele o Sparkes. Chodziła sztywno, jakby połknęła pogrzebacz, nie zadawała się z wieśniakami. Takie były polecenia pani Ponsonby.

– Lepiej nie przesadzać, Sparkes – powiedziała. – Alice jest tutaj naszą najlepszą kartą w tej rozgrywce. Gada wystarczająco dużo za sześć innych. Ja demonstracyjnie nie korzystam z jakichś przypadkowych okazji do plotek, a to ich jeszcze bardziej przekonuje. A ty lepiej trzymaj buzię na kłódkę i cokolwiek się wydarzy, dopilnuj, by dziewczyna nie miała okazji rozmawiania z nikim poza Alice. Z nią może sobie gadać ile chce...

Był późny wieczór. Julię już wysłano do łóżka. Pani Ponsonby i Sparkes siedziały w pokoju damy. Jej ruda peruka leżała teraz na toalecie, na stojaku na kapelusze. Sprzęt ten, nabyty na jakimś targu, przypominał idiotycznie

uśmiechającego się młodego mężczyznę. Głupkowata twarz pod rudą peruką sprawiała diaboliczne wrażenie; ktoś obcy, wchodząc nagle do pokoju, mógłby pomyśleć, że trójka spiskowców szeptem naradza się przy płomieniu lampy. Sparkes wyciągnęła rękę i wyjęła papierosa z pudełka na stole.

– Jak długo to ma jeszcze trwać? – zapytała.

– Lepiej zbytnio się nie spieszyć. Osiągamy dokładnie taki efekt, o jaki nam chodzi. Jeśli okaże się to konieczne, należy poczekać następnny miesiąc. Jest jeszcze człowiek, który telefonował tamtego wieczoru, gdy dziewczyna weszła do domu. Nie byłoby bezpiecznie o nim zapominać. Nie będę udawać, że nie zaniepokoiła mnie ewentualność, że pojawi się pod domem następnego ranka. Dlatego nie pozwoliłam wynieść mebli aż do poniedziałku. Ale nie zadzwonił ponownie ani nie próbował złożyć nam wizyty, więc nie sądzę, by trzeba się zbytnio nim martwić. Sądziłam, że może napisze coś do niej na mój adres, ale w takim wypadku list zostałby przyjęty i nie trafiłby w jej ręce. Zawsze staram się być w pobliżu, gdy pojawia się listonosz. Zatelefonować nie miała okazji i sądzę, że Ferrersowi można ufać. Jest zbyt głupi na przestępcę.

Sparkes zdawała się mniej zadowolona od swej chlebodawczyni. – Nie podobają mi się to – powiedziała wprost. – Zawsze mówiłam, że morderstwo to dla mnie za wiele.

– Nie używaj takich słów – skarciła ją ostro pani Ponsonby. Wszystko już zaplanowałam. W przyszłym tygodniu zabieram dziewczynę do Shepley na wizytę u lekarza. W razie jakiegoś wypadku, świadectwo lekarskie jest niesłychanie użyteczne. Na szczęście ona staje się tak dziwna, że każdy uznałby ją za wariatkę. Nie staraj się przyspieszyć wypadków, Sparkes. To mogłoby okazać się katastrofalne.

– Są jakieś wieści od Petersa? – dopytywała się Sparkes.

– Donosi, że panuje spokój i wszystko jest w najlepszym porządku. Jak tylko poradzimy sobie z tym niewielkim kłopotem, możemy wracać do miasta, choć oczywiście nie do tamtego domu. Ale bez trudu znajdziemy mały, umeblowany domek w odpowiedniej okolicy i wynajmiemy go na czas wojny. Bez peruki nikt mnie nie rozpozna, zwłaszcza jeśli trochę się postaram. Ma się pewne korzyści z zawodu aktorki, gdy chodzi o życiową rolę.

Sparkes, wciąż oschła, zgasiła papierosa i poszła na górę, by spełnić swój conocny obowiązek wywarcia jeszcze większego wpływu na psychikę Julii. Miała tylko bezszelestnie otworzyć drzwi i wionąć oddechem na twarz dziewczyny; lub przejść, utykając, przez pokój czy zastukać w okiennicę. Zbyt wielkie efekty nie były potrzebne ani nawet pożądane, Sparkes przypominała artystkę uzyskującą właściwy rezultat dużą ilością drobnych, lekkich niczym puch gestów. Jednak tego wieczoru, gdy wchodziła na górę po ciemnych schodach, zatrzymał ją dźwięk stóp ostrożnie poruszających się po wyłożonym dywanem korytarzu. Szybko przytuliła się do ściany, niemal wstrzymując oddech, niczym cień, który można minąć, nie wiedząc, że tam jest. Kroki nad jej głową prawie nie wydawały odgłosu, jednak jej doświadczonym uszom nie umknął kierunek, w którym zmierzały. Pokój Julii znajdował się na końcu korytarza, a dalej, przy drugim końcu, spała pani Ponsonby. Z pokoju damy prowadziły drzwi do garderoby, skąd okno wychodziło na drogę. To tam właśnie cał po calu podążała Julia w swej źle rokującej ekspedycji.

Sparkes nie zrobiła nic, by ją zatrzymać, choć już domyślała się planu dziewczyny. Był taki niewinny, taki bezskuteczny, że pozwoliła sobie na uśmiech. Wiedziała od Ferrersa, że Julia już próbowała przekonać go do wysłania jej listu, ale nie okazał na tyle sprytu, by się zgodzić i przynieść go pani Ponsonby. Po prostu pokręcił tą swoją głową o tępej, przystojnej twarzy i oświadczył, że mu przykro, ale nie może, gdyż takie otrzymał polecenia.

Julia, nieświadoma obecności obserwującej ją kobiety na schodach poniżej, krok po kroku zbliżała się do drzwi garderoby. Wcześniej kilka godzin leżała bezsennie, nasłuchując bicia stojącego w korytarzu zegara. Jedenaście uderzeń, potem wybił wpół do dwunastej, dwunastą, wreszcie wpół do pierwszej, a zaraz miał wybić pierwszą. Cały czas starała się pamiętać o tym, być przygotowaną na ten dźwięk. Każdy krok po dywanie wydawał się miłą, ale była już zdecydowana na wszystko. Podczas spaceru na dworze udało, że rozwiązał jej się bucik, niepostrzeżenie podniosła z drogi kamień i schowała go. Gdy pochyliła się nad sznurówką, po kryjomu zacisnęła dłoń na zdobyczy. Towarzysząca jej Sparkes szła dalej, wiedząc, że ucieczka w takich okolicznościach jest niemożliwa. Julia też tak uważała. Mieszkańcy domu dopilnowali, by natychmiast rozpoznano ją jako nienormalną młodą damę z Beverley, której oczywiście nie



wolno im było pomóc się oddalić. Julia ukryła kamień w kieszeni i dogoniła Sparkes, czekającą kilka kroków przed nią. Tego wieczoru, po wyjściu na górę, skreśliła parę rozpaczliwych zdań na kawałku papieru i obwiązała nim kamień, mocując pasemkiem materii oderwanej od chustki do nosa.

„Ktokolwiek to przeczyta – proszę o pomoc. Przywieziono mnie tu pod fałszywymi pozorami i nie mogę uciec. Proszę powiadomić pana Colina Bruce'a z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Londynie i panią Mackie ze Spencer House, Roland Street, Lancaster Gate, Londyn. Julia Ross”.

Był to dokładnie taki liścik, jaki napisałaby osoba obłąkana, ale Julia o tym nie pomyślała. Czuła tylko, że to jej jedyna szansa powiadomienia Colina o miejscu jej pobytu. Na końcu drukowanymi literami podała adres, a potem ruszyła w niekończącą się podróż do garderoby. Tam okno będzie otwarte i jeśli jej nie odkryją, wyrzuci kamień na zewnątrz z nadzieją, że znajdzie go ktoś, kto potraktuje sprawę poważnie. Gdy w końcu znalazła się w garderobie, miała pewność, że Sparkes też tam jest. Wyciągnęła dłoń przed siebie, jakby chciała odepchnąć ciemności. Spodziewała się, że ktoś natychmiast pochwyci jej rękę. Ale nic się nie wydarzyło. Coraz bardziej zbliżała się do okna; już położyła dłonie na parapecie. Wychyliła się na rozświetloną gwiazdami noc i rzuciła kamień na drogę. Nasłuchiwała na tyle długo, by stwierdzić, że spadł poza terenem domu, a potem zaczęła koszmarną wędrówkę z powrotem. Teraz oddychała z trudem, serce waliło jej tak, że musiała zatrzymać się i oprzeć o ścianę, inaczej zemdłałaby. Zastanawiała się, czy jeśliby została odkryta, udało by się jej przekonać swych dozorców, że wybrała się tylko do łazienki. Ale okazało się, że nie jest to potrzebne. Gdy wreszcie dotarła do swojego pokoju, na wpół omdlała padła na łóżko.

**C**o jest, Sparkes? – zapytała pani Ponsonby ledwie słyszalnym szeptem.

Sparkes zeszła na dół. – W porządku, wróciła do siebie. Spodziewałam się czegoś w tym rodzaju, gdy zauważyłam rano, jak podnosi ten duży kamień. Przymocowała wokół niego wiadomość i wyrzuciła na drogę. Wezmę latarkę i zobaczę, czy uda się go znaleźć.

– Musisz – ostro napomniała ją pani Ponsonby. – Nie mamy pojęcia, co mogła napisać.

- Wszyscy w okolicy wiedzą, że jest szalona – odrzekła Sparkes.
- Byłoby prawdziwym pechem, gdyby kartkę podniósł ktoś obcy i wszczął nieprzyjemne dochodzenie. Chyba nie będzie trudno ją odnaleźć, zwłaszcza jeśli kamień spadł na drogę...

Sparkes przyniosła latarkę i ostrożnie wyszła przez frontowe drzwi. Na drodze stał jakiś mężczyzna i trzymał w ręce coś, co właśnie podniósł. Był to zaślakany hulaka, który mimo wojny spędził wieczór na tańcach w King's Sutton, następnej miejscowości i właśnie wracał do domu, z ubraniem w wyraźnym nieładzie. Sparkes nie miała wyboru, jak tylko natychmiast zareagować. Pomyślała, że obcy prawdopodobnie nie jest w stanie, by cokolwiek przeczytać, może jednak schować kamień do kieszeni, znaleźć go tam kilka godzin później i pokazać przyjaciółom, a wiedziała, że za wszelką cenę muszą uniknąć zainteresowania, które mogłoby ściągnąć im na kark policję. Podeszła więc do mężczyzny i powiedziała: – Przepraszam, czy przypadkiem nie podniósł pan czegoś, co wypadło przez okno?

Spojrzał na nią z pijacką powagą. – Pani okno?

- Małej dziewczynki, która u nas przebywa. Upuściła to...
- O tej porze małe dziewczynki powinny być w łóżkach – skarcił ją żartobliwie.

– Ależ oczywiście. Odda mi pan to, co właśnie pan podniósł?

Spojrzał na kamień. – To jakiś list – wymamrotał. – I nie do pani.

- Obawiam się, że osoba, dla której jest przeznaczony, nie powinna go widzieć – wyjaśniła Sparkes.

W wybałuszonych oczach pojawił się błysk. – Ach tak, ten rodzaj listu? Żyj i daj żyć innym. Dziewczęta zawsze pozostaną takie same...

Przez chwilę myślała, że może dojść między nimi do prawdziwej szarpaniny; i cały czas bała się, by ktoś jeszcze się nie napatoczył. Jeśli zaszczepi się ciekawość wśród sąsiadów, list mógłby łatwo dotrzeć pod podany adres. Na szczęście jednak – choć nie dla Julii – młody człowiek był zbyt pijany, by oprzeć się jakimkolwiek argumentom, i po próbie opowiedzenia Sparkes nieprzyzwoitej historyjki – jej sens wypadł mu z pamięci – oddał kamień. Sparkes patrzyła, jak nieznajomy znika jej z pola widzenia i dopiero wtedy wróciła do

domu. Julia spała na tyłach budynku, przy zamkniętych okiennicach, które jeszcze na wszelki wypadek zostały umocowane na stałe. Niemożliwe, by mogła coś słyszeć z tego spotkania.

– Znalazłaś? – zapytała pani Ponsonby, gdy Sparkes pojawiła się z powrotem.

– W samą porę – odrzekła tamta ponuro. – Jeszcze chwila, a mężczyzna, który go podniósł, wsadziłby go do kieszeni i Bóg jeden wie, co mogłoby z tego wyniknąć.

Rozwiązała węzeł na skrawku materii i rozprostowała papier. Kobiety w milczeniu przeczytały list. Pani Ponsonby odezwała się pierwsza.

– Ministerstwo Spraw Wewnętrznych – powiedziała. – Nie podoba mi się to, Sparkes. Jeśli ona naprawdę ma tam przyjaciół, to im wcześniej załatwimy sprawę, tym lepiej. Nie sądzę, bym czekała z wizytą u lekarza do przyszłego tygodnia. Załatwię to pojutrze.

– Przynajmniej z tego listu wiadomo, kim są jej znajomi – zauważyła Sparkes.

Pani Ponsonby przytaknęła ruchem głowy. – Trzeba powiadomić Petersa. On załatwia sprawę od strony Londynu.

Przed położeniem się do łóżka Sparkes wymknęła się na dwór i zostawiła sam kamień na drodze z nadzieją, że nikt się nim nie zainteresuje, nim ona i Julia wyjdą na dwór następnego ranka. I rzeczywiście tak się stało. Sparkes, której uwadze nic nie mogło umknąć, zauważyła, jak dziewczyna spojrzała w tamtą stronę. Nic nie powiedziała, ale w jej oczach pokazał się nowy blask. Nadzieja, która potem pozostała w nich przez cały dzień. Julia była całkowicie pewna, że ktokolwiek znalazł jej wiadomość, wprawi w ruch maszynę, dzięki której ktoś pojawi się jej na ratunek w tym potwornym domu, nim będzie za późno.

## 9.

Przez następne dwa dni Julia swym zachowaniem sprawiała wrażenie osoby zdrowszej psychicznie niż kiedykolwiek wcześniej po przybyciu do Beverley. Wciąż sobie powtarzała, że nierozsądnie byłoby spodziewać się reakcji na jej melodramatyczny apel, a w istocie na to właśnie liczyła. Ze czterdzieści razy na dzień rozpatrywała w myślach ewentualny tok wydarzeń. Założywszy, że X napisał do Colina i pani Mackie tego samego dnia, w którym znalazł kartkę, wiadomość dotarłaby do Londynu nazajutrz i Colin z pewnością natychmiast pośpieszyłby jej na ratunek. Obecnie tak wiele nadziei wiązała z jego osobą, że zapomniała o dziewczynie z Irlandii i o tym, że on sam nigdy nie okazał jej nic więcej poza przelotnym, przyjacielskim zainteresowaniem. Co do pani Mackie, ta zbytnio nie dbała o Julię, gdy miała ją pod swoim dachem, ale nawet ona nie okazałaby się na tyle bezduszna, by całkiem zlekceważyć jej wezwanie. Dysponując tymi dwiema możliwościami, Julia czuła, że jakoś udało się jej. W międzyczasie pani Ponsonby zamówiła wizytę u lekarza. W czwartek dziewiątego maja, o dwunastej w południe. Julii oświadczyła, że idzie zasięgnąć porady w swojej sprawie, ale że udadzą się razem do Shepley.

– Taki piękny dzień – oznajmiła. – Przejazdźka dobrze zrobi nam obu.

Poinformowała ją o tym przy śniadaniu.

O jedenastej piętnaście, wkładając u siebie w pokoju kapelusz, Julia dalej snuła rozważania: – Dostał mój list. Czy przybędzie od razu? Jeśli tak, może zastaniemy go po powrocie. Mam nadzieję, że nie będzie to dla niego zbyt niebezpieczne, ale z pewnością zorientuje się, z czym ma do czynienia. – Dłonie tak jej się trzęsły na myśl o ponownym ujrzeniu go i o ewentualnym rezultacie jego wizyty, że z trudem udało jej się włożyć kapelusz jak należy.

Drzwi otwały się i Sparkes weszła do środka bez pukania. Julia już do tego przywykła; wołała to bezceremonialne wtargnięcie od wślizgiwania się cichcem, któremu towarzyszyło ciche pukanie po chwili czy dwóch wyczekiwania na wycieraczkę – druga z metod stosowanych przez pokojówkę.

– Już idę – powiedziała pospiesznie.

– To dobrze, bo samochód stoi pod bramą. Och, mam tu coś, chyba upuściłaś to wczoraj czy dwa dni temu. Zamierzałam ci oddać.

Julia uważnie spojrzała w dół, ujrzała kartkę papieru i, niemal nie wierząc własnym oczom, wbiła w nią wzrok, czerwieniejąc, wreszcie jej twarz okryła się śmiertelną bladością. Wyciągnęła dłoń po list. Sparkes obserwowała ją niczym wąż.

– Nie każ czekać pani Ponsonby – rzuciła jeszcze i wyszła.

I zaraz też zapewniła chlebobawczynię: – To da właściwy efekt. Wiedziałam, że tak będzie. O wiele lepiej tak, niż powiedzieć jej od razu. Teraz lekarz zobaczy ją taką, jak pani chciała.

Jakąś minutę później Julia zeszła po schodach. Kartkę papieru podarła na maleńkie skrawki; nadal czuła się oszołomiona. Wciąż nie wydawało się to możliwe. Gdy wreszcie do niej dotrze, może stracić nad sobą panowanie, zrobić scenę, dać obcym ludziom niezły powód do uznania ją za wariatkę. W podświadomości pojmowała to i rozpaczliwie walczyła o zachowanie spokoju. Pani Ponsonby nic nie wspomniała o liście; przyjacielskim tonem rozprawiała o nieistotnych drobiazgach, a Julia snuła własne myśli. Bardzo przykre, całkowicie pozbawione nadziei.

Sparkes oczywiście miała rację. Gdyby Julii dano dwanaście godzin do otrząśnięcia się z szoku, mogłaby stawić incydentowi czoła, ale cios padł zbyt niespodziewanie. Czuła się, jakby ziemia rozstała się pod nogami, wciągając ją w przerażającą przepaść. U lekarza posadzono ją w poczekalni, tymczasem pani Ponsonby weszła do gabinetu, tak jak zostało umówione. Julia miała pewność, że poinformowano pielęgniarkę w białym fartuchu, by miała na nią oko. Zresztą Ferrers stał na zewnątrz, a ten krzepki, wyzuty z wszelkiej obraźni mężczyzna w razie czego nie cofnąłby się przed użyciem siły. Julia przerzucała strony tygodników, patrzyła na fotografie dziewcząt, brzydkich i

ładnych, w tweedach i w wieczorowych narzutkach, a połączonych jedną wspólną cechą – były wolne. Poza tym już nic się nie liczyło. Z ponurych rozmyślań wyrwał ją męski głos, mówiący jej niemal do ucha: – No to niech pacjentka wejdzie – i niezgrabnie podnosząc się z krzesła, znalazła się twarzą w twarz z pedantycznym, małym, wąsatym człowieczkiem o edwardiańskich manierach.

– Chodź, kochanie – powiedziała pani Ponsonby.

Julie zrobiła wielkie oczy. – Ale... mnie nie potrzeba lekarza – ja – to w pani sprawie...

Dama położyła jej dłoń na ramieniu. – No, kochanie, nie będziemy się już o to sprzeczać. To tylko tymczasowy stan i doktor Turner pomoże go wyleczyć. O tak, wejdź tutaj.

Zanim się zorientowała, już była w gabinecie i ze zgrozą uświadomiła sobie, że pani Ponsonby zamierza być obecna podczas badania. Lekarz usiadł i, z końcami palców ściśniętymi razem, spojrzął na nią trochę z góry, zachowując się tak jak zwykł wobec kobiet w ogólności. Nerwica, pomyślał, i to wszystko. On sam nie uznawał nerwicy za chorobę. Żywił głębokie przekonanie, że przy nerwowych zachowaniach więcej wskórałaby lekka chłosta niż przesadne rozpieszczanie. A ta dziewczyna... ciotka wspomniała o tendencji do niestabilności. Biedaczka, wołała nie używać mocniejszych określeń. Oczywiście, istniała możliwość psychicznych zaburzeń, ale ponieważ pan doktor wołał unikać niemiłych aspektów sytuacji, ten przypadek postanowił potraktować jako zwykłą, klasyczną dolegliwość nerwową.

– A więc – odezwał się przyjacielskim tonem – pani ciotka twierdzi, że się pani przemęczyła i przechodziła pewne załamanie. Jak wiele młodych dam, uważających, że od nich zależą losy wojny.

– Jeśli jestem załamana – odrzekła Julia – to dlatego, że bardzo długo byłam bez pracy i nie miałam dość pożywienia; do tego przesłam ciężką operację wyrostka...

Doktor prychnął z dezaprobatą. – Ciężka operacja – wyrostek – cedził. – Przecież to drobiazg w naszych czasach. Nie należy robić z tego wielkiego halo. Ale, jak rozumiem, nie sypia pani najlepiej. To niedobrze – samo w sobie i jako symptom. W każdym razie należy położyć temu kres.

– Nie można oczekiwać spokojnego snu po kimś niepewnym, kto w nocy wejdzie do pokoju – oświadczyła Julia. Niezgrabność gramatyczna sprawiła, że jej wypowiedź zabrzmiała, jakby została wyrwana z „Alicji po drugiej stronie lustra” i lekarz zignorował ją, niemal bez komentarza.

– Niechże pani da spokój. Nie należy przypadkowego koszmaru nocnego traktować aż tak poważnie.

– Ale ludzie wchodzą do środka – upierała się Julia, głosem aż drżącym ze szczerości.

– No cóż, być może. – Postanowił nieco rozweselić tę nużącą pacjentkę. – Jeśli jest pani chora, nie powinna robić afery z powodu tego, że ktoś się o panią troszczy.

– Jest jeszcze coś, co chciałabym wiedzieć – kontynuowała Julia – chodzi mi o to, czy rzeczywiście zdrowo jest spać z oknami zabitymi na głucho tak jak moje.

Lekarz nawet nie drgnął. Pani Ponsonby dobrze wykorzystała swój czas.

– Jeśli nie da się otworzyć okien, zawsze może pani otworzyć drzwi – powiedział z naciskiem. – To by zapewniło stały dopływ świeżego powietrza do pokoju.

– Ale ja nie potrafię spać przy otwartych drzwiach – zaprotestowała natychmiast Julia.

Lekarz odchylił się na krześle i uśmiechnął się. – Naprawdę, panno Campbell! Ja za to mam mnóstwo pacjentów, którzy nie potrafią spać przy zamkniętych. To kwestia przyzwyczajenia. Niech pani zostawi je otwarte przez kilka nocy i szybko się pani do tego przyzwyczai.

– Niestety, moja siostrzenica zdaje się uważa, że podczas jej snu knujemy przeciwko niej jakiś okropny, morderczy spisek – zauważyła ze spokojem pani Ponsonby.

– Jestem pewna – wybuchła Julia – że wołałaby pani, abym sama się zabiła.

Lekarz wstał i pochylił się nad dziewczyną, ujmując ją za nadgarstki. – Ależ panno Campbell, trzeba z tym skończyć – skarcił ją surowym tonem. – Pani cierpi na pewien typ hysterii. Wyobraża sobie, że otaczają ją wrogowie. Domy dla umysłowo chorych są pełne osób takich jak pani, wiele także przebywa w

więzieniach. Wydaje się pani wysuwać przeciwko ciotce liczne i całkowicie bezpodstawne oskarżenia. Musi pani zrozumieć, że zły stan zdrowia odbija się na pani kondycji psychicznej. Nie ma najmniejszego powodu, by nie mogła się pani wziąć w garść i stać się całkowicie normalnym i pożytecznym członkiem społeczeństwa. Prawda jest taka, że zapewne sama doprowadziła się pani do zbyt wielkiego wyczerpania i stała się trochę niezrównoważona. Proszę uważać – dodał szybko, widząc zmianę na twarzy Julii przy jego słowach – nie twierdę, że jest pani ciężko chora – przynajmniej w chwili obecnej, ale powinna pani zrozumieć, że musi sama zadbać o swoje zdrowie. Nikt poza panią samą nie zdoła pani wyleczyć, choć oczywiście od nas wszystkich otrzyma pani wszelką potrzebną pomoc.

– Czy mogłaby zostać z doktorem sama? – poprosiła Julia, choć bez zbyt-  
niej nadziei.

Pani Ponsonby zawahała się, ale lekarz odpowiedział z przesadną uprzejmo-  
ścią: – Dlaczego by nie? – A gdy przytrzymał drzwi otwarte przed panią  
Ponsonby, szepnął: – Bardzo częsty objaw. Nie ma się czym martwić.

Dama wyszła z widoczną niechęcią. Gdy drzwi się zamknęły, lekarz odwró-  
cił się z powrotem do zdesperowanej dziewczyny.

– No więc, panno Campbell, o co chodzi? Wie pani, robi pani wiele z ni-  
czego...

– Jak może pan tak mówić? – wybuchła oporna pacjentka. – Nie wie pan,  
przez co przeszedłam. Och, widzę, co pan sobie myśli – że jestem szalona. I ona  
chciała, by w to właśnie pan uwierzył. Chce o tym przekonać każdego. Gdzie-  
kolwiek się wybieraliśmy, już wcześniej przygotowywała grunt. Ostrzegła  
szofera, pokojówkę, sprzedawców w sklepach, wszystkich. I oczywiście wierzą  
jej na słowo, uznając, że nie mogłaby mieć żadnego sensownego motywu, by  
wymyślać coś takiego, jeśli to nie jest prawda.

– Już dobrze, dobrze – powiedział doktor w ten swój denerwujący sposób.  
– To obiecujące, co pani przyznała. Bo przecież, młoda damo, jeśli dostrzega  
pani, że ona nie ma motywu...

– Ależ ma. Powiedziałam tylko, że inni nie potrafią go sobie wyobrazić.

– A więc cóż to takiego?



Julia nagle zamilkła. – Ja... nie wiem. To najgorsze w całej tej historii. Gdybym wiedziała, pewnie mogłabym zacząć podejmować jakieś kroki. Ale absolutnie nie mam pojęcia.

– W tych okolicznościach czy nie rozsądniej byłoby przyjąć, że się pani myli, że pani ciotka nie ma motywu, że te wszystkie pani uczucia są wynikiem stresu i męczącej podróży po chorobie?

– Przed chwilą sam pan powiedział, że zapalenie wyrostka trudno nazwać chorobą. Zresztą, nie rozumie pan, doktorze. Pani Ponsonby nie jest moją ciotką. Ja nie nazywam się Sheila Campbell. To wszystko jest częścią jakiegoś okropnego spisku. Jestem Julią Ross, a ona zatrudniła mnie jako sekretarkę i pannę do towarzystwa, a to się zaczęło w momencie, gdy weszłam do jej niesamowitego domu. Nie pozwala mi kontaktować się z przyjaciółmi; nie daje mi chwili swobody. Och, nie widzi pan, co ona zamierza? Będzie postępować tak dalej, aż w końcu rzeczywiście zwariuję i wtedy nikt nie uwierzy w ani jedno moje słowo.

Lekarz zrobił surową minę. – Proszę mnie posłuchać, panno Campbell. Pani ciotka opowiedziała mi o niektórych tych halucynacjach. To wszystko należy do objawów, jakich spodziewałbym się w tych okolicznościach. Udało się pani przekonać samą siebie, że jest ofiarą jakichś tajemniczych prześladowań. Chyba że oczywiście istnieje powód, którego nikt nie potrafi odnaleźć. Bo niby po co miałyby pani Ponsonby pragnąć przejęcia za panią odpowiedzialności? Sądzę, pewnie to pani przyzna, że poza tym, że się o panią troszczy, także ją utrzymuje?

– No to niech się mnie pozbędzie. O nic więcej nie proszę.

– I kto się panią zaopiekuje?

– Sama potrafię się sobą zająć. Robiłam to od lat.

Groźnie zmarszczył brwi. – Chyba nie chce pani, bym podpisał skierowanie?

Julia wbiła w niego przerażony wzrok. – Ależ to niemożliwe – szepnęła. – Takie rzeczy się nie zdarzają. Do dzisiejszego dnia nigdy mnie pan nie widział; nie wie pan o mnie nic poza tym, co powiedziała panu ta kobieta; nie ma pan najmniejszego dowodu na to, że nie jestem tą, za którą się podaję...

W odpowiedzi doktor Turner pochylił się i wziął ze stołu torebkę Julii. Otworzył ją i z małej kieszonki wyjął dokument tożsamości.

– Jeśli nie jest pani Sheilą Campbell, to w jaki sposób ten dokument znalazł się w pani posiadaniu?

– Ukradła mój własny i pewnie go spaliła, a potem zastąpiła tym oto.

– A ten gdzie znalazła?

– Myślę, że należy do prawdziwej Sheili Campbell.

– Nieszczęsna młoda dama! Ciekaw jestem, jak sobie bez niego radzi.

– Może ona... już go nie potrzebuje. Wciąż mnie to dręczy...

Lekarz głośno zatrzasnął zamek torebki i chwycił Julię za ramię.

– A teraz proszę słuchać – oświadczył – to musi się skończyć. Niech mi pani wierzy, jeśli nie weźmie się pani w garść, to nim się pani zorientuje, znajdzie się w sądzie lub w domu wariatów. Może pani dziękować swym gwiazdom, że opiekuje się nią ktoś tak oddany jak pani Ponsonby. Jest dla mnie oczywiste, jak byłoby dla każdego innego medyka, że znajduje się pani w bardzo złym stanie...

– Ten zły stan, jak pan to ujął, zaczaj się dopiero, gdy przyszedłem do pani Ponsonby pod koniec zeszłego miesiąca. Do tamtego momentu byłam absolutnie zdrowa, tylko nie miałam dość jedzenia. Gdyby pozwolono mi się od niej uwolnić, wrócić do Londynu, gdyby przestano mnie dręczyć...

– To absolutnie niemożliwe w pani obecnym stanie – warknął doktor Turner. – Pani ciotka wyznała mi prawdziwą przyczynę konieczności zabarykadowania okien w pani pokoju. Naturalnie ostrzegłem ją, że bierze na siebie wielką odpowiedzialność, ale ona chce dać pani wszelką możliwość...

– Bym kompletnie oszalała – zakończyła Julia, zapominając o rozsądku. – Och tak, przez cały czas zdaję sobie z tego sprawę. Bóg wie czemu to robi, chyba że chodzi o pieniądze.

– Jak zrozumiałem, pani nie posiada majątku – zauważył doktor Turner.

– Ja nie, ale być może ma go prawdziwa Sheila Campbell – albo miała.

Doktor Turner ujął linijkę i w zamyśleniu obracał ją w palcach. – Myślę, że powinienem ostrzec panią, że według mnie jest pani poważnie chora. Z drugiej strony żywię głębokie przekonanie, że zdoła się pani wyleczyć, jeśli tylko

zechce. Oczywiście, za tym wszystkim kryje się coś, na czego wyznanie nie starczyło pani szczerości. Być może jakaś historia miłosna...

Po tych słowach policzki Julii poczerwieniały. Wręcz ją paliły, więc położyła na nich dłonie, by ukryć je przed obojętnym wzrokiem lekarza.

– A więc jednak? Tak sądziłem. Ten młody człowiek...

– On absolutnie tak o mnie nie myśli – wybuchła Julia pośpiesznie, by chronić Colina przed ewentualnymi zarzutami. – Ależ skąd, jest zaręczony z dziewczyną z Irlandii i ledwie mnie zauważa.

– Tyle że sprawa trochę inaczej przedstawia się z pani strony. Sądzę, że nie miałyby pani nic przeciwko zamianie miejsc z tą dziewczyną z Irlandii.

– Och, to śmieszne... – zaczęła Julia i umilkła. Gdyż absurdem był zaprzeczać prawdzie. Nie żeby rzeczywiście była zazdrosna o dziewczynę, której nigdy nie widziała; ale teraz już pojęła to, do czego dotąd nie chciała się przed sobą przyznać, że to z Colinem wiązała całą swoją nadzieję na szczęście aż do grobowej deski. Nie tylko szukała bezpieczeństwa, przyjaciela w potrzebie, ale radości, której pragnie kobieta, w każdym razie taka jak ona.

Doktor nie omieszkał wykorzystać swej przewagi. – Tak jak przypuszczałem. Niech pani słucha, młoda damo, musi pani zrozumieć, że wszyscy doznajemy rozmaitych rozczarowań. Czy sądzi pani, że jest pierwszą nieszczęśliwą w miłości? Gdzież pani duma? Nie ma pani nic a nic odwagi? Proszę wziąć się w garść i skończyć z tymi samobójczymi skłonnościami. Nie zabije się kogoś, udając, że ta osoba nie istnieje i przyjmując nowe nazwisko. Jest pani Sheilą Campbell i taką ma pani pozostać, pod każdym względem, do samej śmierci. Proszę to zapamiętać i wbić sobie do głowy, że pani kłopoty to tak naprawdę nic poważnego. Kraj jest w stanie wojny; ludzie codziennie doznają gorszych cierpień. Czy to nic dla pani nie znaczy?

Zrozpaczona zagrała ostatnią kartą. – Czy mógłby pan coś dla mnie zrobić, doktorze? Napisze pan do Colina? Opowie mu pan, co się dzisiaj rano wydarzyło, przekazując mu obie wersje, pani Ponsonby i moją? Proszę podać mu mój adres i zobaczmy, co nastąpi.

Lekarz jednak stracił cierpliwość. – W żadnym razie. Że też pani nie ma dość dumy, by nie narzucać się mężczyźnie, który nie jest nią zainteresowany.

– Przyszło mu do głowy, że niepotrzebnie narobił sobie kłopotu, mieszając do sprawy tamtego gościa. Porozmawia jeszcze z panią Ponsonby, ostrzeże ją, by dobrze pilnowała dziewczyny i, jeśli nie nastąpi poprawa, zawiozła ją do Chalmersa w Londynie. Ten w podobnych przypadkach potrafił czynić cuda. To jasne, przy dziedzicznej niestabilności psychicznej rozczarowanie miłosne stanowiło tę ostatnią kroplę przepełniającą czarę. Cóż, przykra sprawa, ale tak naprawdę nie przejął się nią zbytnio. Młode kobiety setnie go nudziły. Miał wyjątkowo czułą żonę, do tego stopnia, by w każdej wolnej chwili marzyć, że znów jest kawalerem. A co do Colina – to dla niego zachował całe swoje współczucie. A już z pewnością nie zamierzał pomóc tej pannicy o trudnym charakterze z powrotem nachodzić tego gościa. Okazawszy dezaprobatę grymasem twarzy, wezwał panią Ponsonby i przekazał jej swoje wnioski.

– W zachowaniu pacjentki znajduję silną skłonność do demonstracji – oświadczył. – Z powodu pewnego rodzaju kompleksu niższości – młody mężczyzna wybiera inną, a ona, jak wiele kobiet, nie potrafi zaakceptować tej sytuacji – musiała wymyślić sobie nową historię, w której odgrywa rolę heroiny.

Pani Ponsonby potrząsnęła głową. – Nawet jeszcze nie tak, doktorze Turner. Nie ma żadnego młodego mężczyzny. I nigdy nie było. Stąd ta jej gorycz. Wciąż wyobraża sobie, że mężczyźni są w niej zakochani, a gdy zaręczają się z kimś innym, czuje się wykorzystana, zdradzona i wysuwa niestłuchane bulwersujące oskarżenia.

– W tym wieku bywają trudne – przyznał doktor Turner i pomyślał sobie, że podobnie jest z dziećmi bawiącymi się w wymyślanie historyjek. Tylko że z dziećmi sprawa jest łatwiejsza. Przyszło mu do głowy, że gdyby był ojcem Julii, może uznałby za słuszne sięgnięcie do bardziej drastycznych metod, ale pacjentce nie mógł udzielić tego rodzaju porady, pozostawało tylko mieć nadzieję, że samej przyjdzie jej to do głowy. Zresztą nie wierzył, by dziewczyna była obłąkana, choć zgadzał się, że w jej obecnym stanie istniało niebezpieczeństwo, iż wyrządzi sobie jakąś krzywdę. Uznał za swój obowiązek ponowne przypomnienie pani Ponsonby o konieczności trzymania pacjentki pod najsurowszym nadzorem.

Gdy tylko obie opuściły dom, recepcjonistka wprowadziła następnego pacjenta i lekarz zapomniał o nich.

W drodze powrotnej Julia pograżyła się w głębokiej rozpacz. Pomyślała sobie: być może tak jak ja czuje się ktoś skazany na śmierć za zbrodnię, której nie popełni!. Z początku nie dociera do niego, że mógłby nie zostać uniewinniony; potem oczka sieci zaciskają się i jest zmuszony do uświadomienia sobie, że umrze. Nie pomogą mu żadne protesty. Sprawa znalazła się poza zasięgiem jego możliwości. Nie widziała już nic, co jeszcze mogłaby zrobić.

**T**ej nocy sen okazał się niemożliwością. Leżała, obracając się z boku na bok, niemal nie dbając o to, czy ktoś zakłóci jej prywatność. Gorączkowo próbowała coś wymyślić, nim jej znużony umysł zaakceptuje klęskę. Rozmyślała o rozmaitych sposobach nawiązania kontaktu z Colinem, odrzucała jeden po drugim i w końcu zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna uciec bez niczyjej pomocy. Ale do tego, jak zdawała sobie sprawę, jej strażnicy nie dopuszczą. Tuż przed świtem przyszedł jej do głowy pomysł jakby odrobinę mniej beznadziejny od innych. Nade wszystko powinna działać szybko. Przeczuwała, że pani Ponsonby już niedługo zamierza się pozbyć swojej „panny do towarzysstwa”, choć nie miała pojęcia, jaką dama posłuży się metodą. Po śniadaniu zaopatrzyła się w kartkę papieru, pióro i napisała do Colina.

„Drogi Colinie (pisała), od jakiegoś czasu próbuję się z tobą skontaktować, ale wydaje się to całkiem beznadziejne. Ta próba to moja ostatnia nadzieja i jeśli się nie uda, znajdę się w okropnym położeniu. Mam na myśli nie tylko rozłąkę z Tobą, po prostu będę w sytuacji bez wyjścia. Pamiętasz ten wieczór u *Lyonsa*, gdy powiedziałam Ci, że zostanę sekretarką i panną do towarzystwa niejakiej pani Ponsonby z Henriques Square 30; wiem że to Ty telefonowałeś, gdy ona udawała, że nigdy o mnie nie słyszała. Zamierzałam uciec stamtąd już następnego ranka, ale była sprytniejsza ode mnie i udało się jej przewieźć mnie tutaj jako swego więźnia. Nie myśl, Colinie, że oszalałam. Jej właśnie o to chodzi, chce, by wszyscy tak mnie postrzegali. Zaprowadziła mnie do lekarza i oświadczyła mu, że naprawdę nazywam się Sheila Campbell, a ona sama nigdy nie słyszała o żadnej Julii Ross. Widzę dwie możliwości: albo chce, by oficjalnie

uznano mnie za obłąkaną, czyli jakby umarłą, albo zamierza mnie zamordować i upozorować samobójstwo. Jednego dnia kazała mi włożyć czerwoną suknię i wywabiła na pole, po którym biegał niebezpieczny byk, innym razem usiłowała wypchnąć mnie przez okno, a potem opowiadała, że chciałam się zabić. Nie wiem, co znowu wymyśli, jestem wszakże pewna, że uczyni to niebawem. Colinie, gdy tylko otrzymasz mój list, przyjedź i przywieź kogoś ze sobą. Wyciągnij mnie stąd, nim będzie za późno. Napisałabym wcześniej, ale oni nie pozwalają mi wysyłać listów. Wymyśliłam sposób, w jaki mogę ją oszukać, jeśli będę miała szczęście. W każdym razie nie mam wyjścia, muszę zaryzykować. Mógłbyś dowiedzieć się czegoś o prawdziwej Sheili Campbell? Wiem że istniała, bo mam dokument tożsamości opiewający na jej nazwisko”.

Dołączyła wskazówki dotyczące ogólnej lokalizacji domu i opis jego mieszkańców.

Drżącymi rękami podpisała list, złożyła kartkę i opatrzyła jedynym adresem, jaki знаła: „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Londyn”. Zapieczętowała kopertę i włożyła do torebki.

Następnie wyjęła drugą kartkę i skreśliła rozpaczliwą prośbę do pani Macie, by natychmiast skontaktowała się z Colinem. Napisała, że to sprawa życia i śmierci i że znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. „Jak z jakiejś okropnej historyjki z niedzielnych gazet” – zakończyła. Tę kopertę także zaadresowała i nakleiła na niej znaczek, ale ukryła ją w kieszeni sukni. W czasie lunchu jąła realizować ten swój niezbyt rokujący, rozpaczliwy plan.

- Czy my... wyjdziemy z domu dzisiaj po południu, pani Ponsonby?
- Dokąd chciałabyś pójść?
- Tak tylko się zastanawiałam, że może pojedziemy na przejażdżkę.
- Nie dzisiaj – odrzekła pani Ponsonby, ale powiedziała te słowa całkiem dobrotliwie, gdyż w pomieszczeniu znajdowała się Alice. – Jutro rano jedziemy do Shepley. Mam trochę sprawunków, wczoraj nie starczyło na nie czasu. O co ci chodzi? Dokąd konkretnie chciałabyś pójść? Po południu możesz wybrać się ze Sparkes na spacer.

- Wolałabym jednak zostać w ogrodzie. Jest za gorąco na spacerowanie.

Po lunchu wzięła leżak i rozłożyła na trawniku. W dali przed nią ciągnęła się opadająca zboczem łąka. Tego roku mieli wspaniałą wiosnę; drzewa owocowe niedługo zaczną przekwitać, ale z daleka zbrązowiałe koniuszki płatków nie były widoczne i na tle jasnego błękitu nieba drzewa przypominały śnieg. Głóg także obrzucił się kwieciami, żywopłoty obficie pokryła trybula leśna. Wszystko to tworzyło scenerię niemal idealnego spokoju. Wręcz szokująca wydawała się myśl, że po drugiej stronie Kanału walczone o istnienie tego kraju. Małe narody były bezlitośnie deptane i jak dotąd wydawało się, że nic nie jest w stanie stawić oporu furii najeźdźcy. Julia leżała tak przez dłuższy czas, serce biło jej mocno. Torebkę z listem w środku zostawiła na krześle. Pani Ponsonby była o wiele za sprytna, by nie zorientować się, jak jej podopieczna spędziła poranek; z pewnością przepatrzy torebkę i znajdzie list. Po tem już wszystko będzie zależało od jej reakcji. Julia zmusiła się do pozostania w ogrodzie od godziny drugiej do chwili, gdy zadzwoniono na podwieczorek. Wtedy weszła do środka, wzięła torebkę i poszła do siebie przypudrować nos. Nie od razu przyjrzała się kopercie. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że znajduje się pod nieustanną obserwacją; kiedyś nawet zdarzyło jej się powierzchownie, bez większego sensu, obmacać ściany w pokoju, sprawdzając, czy nie ma w nich jakiegoś otworu, przez który można by ją obserwować zarówno w nocy jak i podczas dnia. Oczywiście niczego nie znalazła, ale podejrzenie pozostało. Dopiero po jakimś czasie poczuła się na tyle bezpiecznie, by wyjąć list z torebki. Po głębszym zastanowieniu uznała, że kopertę otworzono nad parą. Późnym wieczorem, gdy przyniesiono jej gorące mleko, odkleiła kopertę po raz drugi. Jak przypuszczała, list znikł. W jego miejscu pojawiła się pusta kartka. Ze spokojem na nowo zakleiła kopertę i włożyła do torebki. Jutro będzie miała swoją szansę; myśląc o tym, niemal nie spała.

Wyszły zaraz po śniadaniu. Julia była wyjątkowo potulna, pani Ponsonby niezwykle rozmowna. Obie odgrywały swe role. Julia wiedziała, że pozwolą jej wysłać list. Mogła się tylko domyślać, jak dużo wiedziała pani Ponsonby.

– Zrobimy sobie dzisiaj przyjemną, długą przejażdżkę – oświadczyła starsza kobieta, gdy sadowiły się w samochodzie. – Ferres bardzo mądrze obchodził się z benzyną, a przy tak wspaniałej pogodzie – nie należy spodziewać

się, by długo się utrzymała – postanowiłam wybrać się na naprawdę długą wycieczkę. Weźmiemy kanapki, owoce i termos i będziemy się dobrze bawić.

Powiedziała to wszystko miękkiem, słodkim głosem, wręcz ociekającym fałszem. Przez chwilę Julię ogarnęła czarna rozpacz. „Ona jest sprytniejsza, niż sobie wyobrażałam – pomyślała. – Coś wydarzy się w czasie tej wycieczki, coś, co sprawi, że mój list już nie będzie miał znaczenia. A ona dopilnuje, by mnie uczynić odpowiedzialną”. A ta pusta kartka mogła jeszcze poprzeć teorię o obłudzie. Pani Ponsonby zachowywała się swobodnie i przyjaźnie. Sparkes została w domu i Julia nagle zaczęła modlić się w duchu, by Ferrers zbytnio się nie oddalał. Była przekonana, że szofer nie brał świadomie udziału w spisku; on rzeczywiście wierzył w to, co mu powiedziano, a nie był dość rozgarnięty, by cokolwiek kwestionować. Po przebiegłej damie można było się spodziewać, że na przykład wyśle Ferrersa, by kupił sobie coś do picia, a po powrocie dowiedziałby się, że Julia rzuciła się ze skały lub zrobiła coś równie strasznego.

Chyba zacznę wpadać w histerię – skarciła się w duchu. – Muszę jedynie bardzo, ale to bardzo uważać na każdy mój krok. Tylko dlaczego zabiera mnie tak daleko?

Był to długi, złocisty dzień późnej wiosny; samochód pędził niczym niebiański rydwan. Wbrew sobie, jakaś iskierka szczęścia zamrugała w sercu dziewczyny. Nim nadejdzie wieczór, będzie już miała za sobą pierwszy krok do wolności. Dobiegający przez otwarte okno pomruk samochodu przypominał bzyczenie wielkiej, złotej pszczoły, unoszonej jedwabistym wiatrem. Przejężdżali przez kolejne małe wioski, nie te pełne czarownic z pierwszej przejażdżki z panią Ponsonby, gdy przemierzali otulony mgłami świat, teraz mijali takie domki, jakie widzi się na filmach, wiejskie łąki i gospody, pola uprawne i konie wyraźne na tle nieba.

– Cóż za cudowny dzień – szepnęła Julia, na co pani Ponsonby uśmiechnęła się.

W jednej z wiosek zatrzymały się na herbatę. W tym czasie Julia już zaczynała wpadać w przygnębienie, odczuwać coraz większy niepokój. Przecież musi mieć okazję na wysłanie listu. Jak dotąd nie zbliżyły się do żadnej skrzynki pocztowej. Ale gdy wysiadły z auta i weszły do herbaciarni, serce jej zabiło na widok czerwonej skrzynki na ścianie. Znajdowała się zbyt daleko, ale



Julia postanowiła przy wyjściu uczynić rozpaczliwą próbę dotarcia do niej. Tak bardzo była przejęta, że przy jedzeniu dostała mdłości z napięcia. Ściany salki zdawały się napierać na mały stolik w ciemnym kącie, wybrany przez panią Ponsonby. Cała drżąca odłożyła mały srebrny widelczyk, którym jadła bezę.

– O co chodzi? – zapytała pani Ponsonby.

– Może to ta jazda w słońcu – szepnęła Julia, rzeczywiście sprawiając wrażenie chorej. – Poczułam się słabo.

Pani Ponsonby przywołała kelnerkę, a ta posłusznie zaprowadziła dziewczynę do damskiej toalety. Tutaj Julia natychmiast założyła haczyk i oparła się o pobieloną ścianę, ogarnięta falami mdłości. Gdyby tylko udało jej się w porę pozbyć listu, z pewnością poczuje się dobrze. Otworzyła torebkę i spojrzała na list, potem wsunęła do kieszeni dłoń i wymacała ten o wiele ważniejszy do pani Mackie. Jeśli dzisiaj jej się nie uda, straci resztki nadziei. Odkręciła kran z zimną wodą i ochlapała czoło i nadgarstki. Już czuła się lepiej. Przez moment znowu stała się Julią Ross sprzed miesiąca – tą, która nie bałaby się wejść do herbaciarni jak ta, wiedząc, że potem znów będzie mogła wyjść na słońce, ani trochę nie lękając się o swoje życie. Zaczerpnęła obficie powietrza, dotknęła policzków i wróciła na salę. Pani Ponsonby właśnie podniosła się i szła w jej stronę.

– Obawiałam się, że zemdłałaś, moja droga – oświadczyła.

– Przepraszam. Byłam tak długo? – Głos Julii nawet w jej własnych uszach zdawał się spięty i obcy.

– Wracaj i dokończ podwieczorek.

– Nie sądzę... – zaczęła Julia niepewnie, ale pani Ponsonby wzięła ją za ramię i poprowadziła na miejsce. Julia przygotowała się do dokończenia bezy i właśnie brała do ręki widelczyk, gdy uderzyła ją pewna myśl. Przecież widelczyk na pewno leżał inaczej? Zostawiła go jakby na boku, z małymi ząbkami schowanymi w gęstej, pianistej śmietanie. Teraz leżał porządnie ułożony wzdłuż niebieskiego, kwadratowego talerzyka. Czy to możliwe, by pani Ponsonby coś dodała do bezy? Dama obserwowała dziewczynę z dziwnym uśmiechem. Z trudem oddychając, Julia odłożyła widelczyk. – Chyba lepiej będzie... – szepnęła. – Wciąż nie czuję się dobrze.

– No to zostaw – zabrzmiała dobrodusznna odpowiedź. – Chociaż wypij herbatę.

– Tak... dziękuję. – Tyle że ta kobieta patrzyła na nią z jakimś dziwnym spokojem. Nawet dotknęła uszka filiżanki. A więc tu, pomyślała Julia, tkwi niebezpieczeństwo.

Szybko podniosła filiżankę i wylała jej zawartość.

– Zimna. Należę sobie świeżej. – Dokładnie wyplukowała naczynko gorącą wodą i napełniła ponownie.

Pani Ponsonby obserwowała ją z uśmiechem.

– Wciąż te same pomysły? – zapytała. – Obawa, że ktoś chce ci wyrządzić krzywdę?

Jacyś ludzie siedzący przy sąsiednim stoliku usłyszeli jej słowa – o co jej właśnie chodziło – i odwrócili się, by spojrzeć na dziewczynę, do której były adresowane. Julia pochyliła głowę nad filiżanką i sączyła herbatę. Może to jej wyobraźnia sprawiła, że płyn wydał jej się dziwnie gorzki. Pani Ponsonby nadal się uśmiechała; ani na chwilę nie oderwała oczu od twarzy dziewczyny. Ta kobieta była naprawdę inteligentna. Dokładnie przewidywała, jak Julia postąpi. Zimna herbata była nieszkodliwa. A jeśli dodała coś do czajniczka? Zbrodni nigdy by z nią nie powiązano. Czajnik zostałby wymyty, zanim wystąpiłyby pierwsze symptomy. W tym momencie każdemu lekarzowi można by wybaczyć wątpliwości co do zdrowych zmysłów Julii. Wnet pani Ponsonby nie będzie musiała krzywdzić jej osobiście; wystarczy, że podsunie jej rozmaite pomysły, a ona sama dokończy dzieła.

Przełknęła drugi łyk i odstawiła filiżankę. – Chyba niezbyt chce mi się pić, a poza tym herbata jest bardzo mocna. Nie, dziękuję, nie chcę więcej.

Pani Ponsonby wyjęła portmonetkę. – Może wyjdiesz na dwór i wsiądziesz do samochodu – zasugerowała. – Na świeżym powietrzu poczujesz się lepiej. Ja zaraz przyjdę.

Julia pospieszyła do wyjścia. Ferres siedział za kierownicą, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Bez trudu wrzuciła oba listy do skrzynki, zanim ją zauważył. A gdy odwróciła się w stronę samochodu, coś kazało jej obejrzeć się przez ramię. Przez szybę ujrzała panią Ponsonby stojącą przy kontuarze i rozmawiającą z panią przy kasie. Nie było najmniejszych wątpliwości, że wszystko dokładnie widziała. Jednak, pomyślała Julia, wysłałam list. Oby tylko pani Mackie zareagowała natychmiast; oby Colin był na miejscu. Czas liczył

się nad wszystko inne, jak dobrze wiedziała.

Uczuliła panią Mackie na konieczność niewysyłania odpowiedzi na jej list, więc nie mogła liczyć na żadną wiadomość. Przez następne dwa dni czuła się jak skazaniec na mękach. Za każdym razem, gdy rozległ się dźwięk dzwonka lub usłyszała czyjś krok, cała sztywniała i nadstawiała uszu. Jakoś była przekonana, że Colin ją uratuje – jeśli tylko przybędzie na czas. Podczas tych dwóch dni pani Ponsonby zostawiała ją samą. Już nawykła budzić się nerwowo nocą i nasłuchiwać utykających kroków, jakimi Sparkes poruszała się po zapadnięciu ciemności. Ale cisza zalegająca przez dwie ostatnie noce wydawała się równie doskonała jak śmierć.

I stało się to drugiego dnia. Była w swoim pokoju, przygotowując się do obiadu, gdy ktoś zawołał ją po imieniu. Nie tym, jakie narzuciła jej pani Ponsonby, lecz które znała od dwudziestu trzech lat.

– Julia! Julia Ross! Julio, jesteś tu?

Przez chwilę ledwie wierzyła własnym uszom. W holu podniósł się narastający szmer głosów. Usłyszała, jak pani Ponsonby mówi: – To niemożliwe, mówię panu, myli się pan – i wtedy odzyskała władzę w członkach. Pędząc do drzwi, zawołała: – Idę. Idę – I błyskawicznie dotarła na podest na szczycie schodów. Nie wiedziała, co ją zatrzymało. Może nagła, pozbawiona oddechu cisza, która nastąpiła po jej okrzyku. A może był to ten tajemniczy szósty zmysł, którym Opatrzność wyposaża kobiety – to one, nie mężczyźni, potrzebują go, jako istoty słabsze fizycznie. Cokolwiek to było, docierając do górnego stopnia schodów, błyskawicznie wyciągnęła rękę i kurczowo złapała się poręczy. W tym miejscu w domu panowały całkowite ciemności, gdyż okna w korytarzu zabito zgodnie z przepisami o zaciemnieniu. Gdy poczuła pod dłonią drewno poręczy, gwałtownie rzuciła się do tyłu, z trudem zachowując równowagę.

– Colin! – zawołała, ale strach zdławił jej to słowo w gardle.

Nikt jej nie odpowiedział. Wydawało się, że cały dom nagle przestał oddychać i czekał. Coś dotknęło ją w goleń i pochyliła się, niezdarne macała dłonią, ale zanim udało jej się odkryć, co to takiego, pani Ponsonby już biegła po schodach w jej stronę. Spanikowana tak samo jak Julia – jej obfity biust drżał, tłuste drobne biodra trzęsły się jak galareta.

– Co ty próbujesz zrobić? – wydyszała. – Sheilo, co to było tym razem?

Julia poczuła się słaba jak kawałek naddartego płótna. – To on zawołał... Colin. Słyszałam go.

– Zwariowałaś. Nie sądzę, by bezpiecznie było trzymać cię tutaj. Co zamierzałaś uczynić?

Julia wpadła w panikę. – Gdzie on jest? – zażądała wyjaśnienia w bezsilnym gniewie. – Był tutaj, wiem. Co z nim zrobiliście? Pewnie zamordowaliście, tak jak zamierzacie zabić mnie.

Pani Ponsonby powiedziała stanowczym, opanowanym tonem: – Wracaj do swojego pokoju, Sheilo. Przyniosę ci lekarstwo na uspokojenie. Naprawdę już nie wiem, co mamy z tobą począć. Te urojenia...

Julia cofnęła się przed jej dotykiem, przed jej bliskością, przed ciepłym oddechem, który poczuła na policzku. W pokoju opadła na łóżko, załała się łzami. Wydawało jej się, że nigdy nie przestanie płakać, bo nadzieja umarła, bo uwięziono ją i nie zdoła uciec – nigdy, nigdy, przenigdy.

**W** korytarzu na zewnątrz rozbrzmiewał jakiś dziwny dźwięk. Przebił się przez rozpacz dziewczyny, napełniając ją ciekawością. Poczuła, że musi dowiedzieć się, co to takiego. Nie bała się, że to może element jakiejś nowej zasady, bo nie czuła, by jej położenie mogło stać się jeszcze gorsze. Ostrożnie uchyliła drzwi i wyjrzała przez szparę. Na górnym podejście schodów paliła się lampa; Sparkes klęczała, z czymś się mocując. Julia obserwowała ją, całkowicie zaskoczona. Po chwili zadanie, cokolwiek to było, zostało wykonane. Sparkes podniosła się, trzymając w ręce coś, co wyglądało jak martwy wąż. Julia wytężyła wzrok. Nagle pojęła zarówno istotę planu pani Ponsonby jak i powód, dla którego instynkt ostrzegł ją w ostatniej chwili. Na szczycie schodów rozciągnięto sznurek na wysokości mniej więcej jej kolan. Sparkes i pani Ponsonby zamocowały go tam z zimną krwią. Potem wycofały się do holu i zawołały ją po imieniu i nazwisku, nie mając wątpliwości co do rezultatu. Ale nie spodziewały się, że uratuje ją szósty zmysł. Tylko że nie będzie tak zawsze. Pewnego dnia zawiedzie ją i pani Ponsonby zwycięży. Nie byłoby trudno sprawić wrażenie, że dziewczyna rzuciła się ze schodów głową w dół i spadła na kamienną posadzkę holu, zapewne ginąc na miejscu. Nawet gdyby się tylko zraniła,

mogłaby stracić przytomność i gdyby ją wreszcie odzyskała, wszystkie sprawy zostałyby załatwione. Pani Ponsonby miała mnóstwo świadków – Sparkes, Ferrersa, Alice, doktora Turnera. Nawet jeśli Colinowi udało się ją odszukać, łatwo byłoby zaprzeczyć jej istnieniu. Nigdy by nie odkrył, gdzie ją ukryto.

Sparkes przyniosła jej tacę z jedzeniem – oczywiście nie była w stanie jeść na dole – potem pani Ponsonby pojawiła się z gorącym mlekiem, do którego dosypała bromu. Julia wzięła szklankę bez słowa. Nie bała się, że otrują ją w domu. Gniew pani Ponsonby wyraźnie osłabł. Usiadła na krawędzi łóżka Julii i zapytała z powagą: – Co ci się wydawało, że słyszałaś? No mów Julio, muszę to wiedzieć.

– Słyszałam, jak ktoś woła mnie po imieniu i nazwisku. Może to pani nazywać halucynacjami, ale obie przecież doskonale się orientujemy, o co chodzi.

Dama łagodnie potrząsnęła głową. – Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że możesz nie mieć racji? Taka jesteś pewna siebie, a jeśli się mylisz? Jeśli cała ta twoja historia to tylko złudzenie? Nie byłoby lepiej szybko to zaakceptować i spojrzeć na fakty, jakimi są? Pamiętaj, że nie możesz udowodnić ani jednego ze swych oskarżeń. Nie ma nikogo, kto by ci uwierzył. Jeżeli zmusisz się do zaakceptowania prawdy, będziesz szczęśliwsza, bo wtedy rozpoczniesz proces przystosowywania się. Wiesz, że ci pomogę, jak tylko będę mogła.

– Bardzo proszę – odezwała się Julia ze śmiertelną powagą – mogłaby pani odejść?

Pani Ponsonby wstała. – Przemyśl moje słowa. Będzie to warte wysiłku. Nie ma dla ciebie szczęścia, jak długo upierasz się przy złudzeniach o swoim drugim wcieleniu.

Wyszła cicho, zamykając za sobą drzwi.

**C**hoć damie nie do końca udało się uzyskać swój cel, w głowie Julii zaczęło kiełkować zasiane przez nią ziarno. Oczywiście dziewczyna nie uwierzyła, że jest Sheilą Campbell, ale zaczęła się zastanawiać, czy jej podejrzenia nie stanowią jakiejś formy manii. Jednak podwoiła środki ostrożności, chociaż czasami ganiła się za szaleństwo. Bała się spać, ale po pierwszej nocy pani Ponsonby nie proponowała jej więcej tabletek. Siedziała w łóżku wsparta na poduszkach i nasłuchiwała kroków w korytarzu. Trzymała się z dala od okien,

patrzyła w obie strony przed przejściem przez ulicę. Podnosiła wzrok w górę na wypadek, gdyby coś miało na nią spaść, patrzyła w dół ze strachu, że potknie się na jakiejś niewidzialnej przeszkodzie. Gdy siedziała sama w którymś z saloników, dotąd wpatrywała się w malowane oczy postaci z rodzinnych portretów, aż się poruszyły, co usprawiedliwiała jej podejrzenia, że jakaś ludzka istota obserwuje ją, schowana za ramą. Odsuwała zasłony, bo mogły ukrywać wroga, trzymała się z dala od okien, bo ręce mogły sięgnąć do niej przez szkło, a wpatrywała się w drzwi, bo czasem otwierały się gwałtownie, a czasem bezszelestnie zamykały. Bywało, że przekręcała gałkę, a drzwi opierały się, jednak gdy wchodziła do środka, w pokoju nie było nikogo. Takie rzeczy, jak wiedziała, nie przytrafiały się ludziom normalnym. Wcześniej nigdy czegoś podobnego nie doznała. Zmiana, która w niej nastąpiła, zaczęła się od dnia, gdy podjęła pracę u pani Ponsonby. I jeśli Colin szybko nie przybędzie, może sobie w ogóle nie zadawać trudu, gdyż ta, którą odnajdzie, nie będzie Julią Ross, jaką znał, lecz kimś wprawdzie z jej twarzą i głosem, ale psychiką kogoś innego, kogo nie rozpozna. W dniu, w którym zacznie myśleć, że być może pani Ponsonby ma rację, a Julia Ross i jej dzieje to nie więcej niż sen, będzie bezpowrotnie zgubiona.

Tak więc mijały kolejne, bezsenne noce, a Julia coraz bardziej zbliżała się do otchłani szaleństwa.

## 10.

Colin Bruce spał z aparatem telefonicznym przy łóżku. Było to wygodne w sprawach prywatnych, a zawodowo nieodzowne. Pewnego ranka z początkiem maja telefon zadzwonił tuż przed ósmą. Spędziwszy wieczór wyjątkowo pracowicie, Colin położył się spać zaledwie kilka godzin wcześniej i pierwszy sygnał przespał, dopiero drugi gwałtownie go obudził. Śnił o Julii i jeszcze tak głęboko pogrążał się w tym śnie, że nie bardzo by się zdziwił, gdyby w słuchawce usłyszał jej głos. Kobięcy głos mówił coś płaczliwym wręcz tonem.

– Tak? – zapytał, jeszcze nie całkiem przytomny. – Tu Colin Bruce.  
– Mówi pani Mackie.  
– Kto? Pani...? – Przez moment szukał w czeluściach pamięci. Nazwisko nic dla niego nie znaczyło.

Głos nabrał ostrości, wyczuwało się w nim urazę. – Mackie. Prosił mnie pan, by dać znać, jeśli otrzymam jakąś wiadomość od mojej lokatorki, panny Ross. Tak więc po sprawdzeniu dzisiejszej porannej poczty...

Colin w jednej chwili usiadł, wyprostowany. – Chce pani powiedzieć, że dostała od niej wiadomość? Czemu nie powiedziała tak pani od razu?

W jej głosie usłyszał sugestię, że nie jest przyzwyczajona, by się w ten sposób do niej zwracano.

– Chyba dzwonię wystarczająco długo, by pana obudzić...  
– Co pisze?  
– To bardzo dziwny list, naprawdę niezwykły. Donosi – może lepiej go panu przeczytam. – I zaczęła czytać, jednakowo akcentując każde słowo.  
– Jaki podała adres? – gorączkował się Colin.  
– Beverley, Kings Marlow. Ale coś tu jest nie tak, bo na pieczętce na

znaczkę wyraźnie widać: Martindale. Dziwne, prawda?

– Och, bynajmniej – odrzekł wymijająco. – Istnieje zapewne całkiem proste wytłumaczenie. Mogły tego dnia wybrać się na samochodową przejażdżkę i wtedy wykorzystywała okazję...

– Chyba pan nie sądzi, że ją porwano? – Głos pani Mackie drżał od tłumionego podekscytowania. Colin pożałował swej lekkomyślnej impulsywności.

– Niekoniecznie – stwierdził. – Ale tak czy owak nie jestem zadowolony z tej jej posady. A po tym liście sama pani widzi... – Przyszło mu do głowy, że traci czas. – Będę u pani za kwadrans.

**P**an Crook mieszkał bardzo wygodnie na Earl's Court: lokalizacja odpowiadała mu pod każdym względem. Mayfair czy Belgravia byłyby dziwaczne i pretensjonalne; Hempstead i Golders Green nie wchodziły w grę, zbyt wielu mieszkało tam jego podejrzanych klientów. Ale w Earl's Court królowała atmosfera chłodnej szacowności, połączonej z zapobiegliwością. Ta szacowność zachwycała Crooka; twierdził, że pasuje do jego poczucia humoru. Zajmował całe piętro jednego z wielkich budynków wzniesionych pod koniec ostatniego stulecia dla dobrze sytuowanych rodzin z klasy średniej. Ta pięciopiętrowa kamienica ze stromo sklepioną piwnicą roztaczała, jak Crook zauważył w swój bezceremonialny sposób, wonie dobrze rokujących córek i lekko skwaśniałych starych panien. Gdy Colin naszedł go tamtego majowego poranka, Crook właśnie udawał błędność teorii, jakoby można zajmować się tylko jedną rzeczą na raz. Trzymanym w prawej dłoni widelcem ładował do ust góry pieczonej kiełbasy i bekonu; lewą przyciskał do ucha słuchawkę telefonu; a oczu nie odrywał od listu, który nadszedł z poranną pocztą. Choć zżywieniem rozprawił, równocześnie energicznie pakując do ust kaski jedzenia, zdawał się rejestrować wszystkie najważniejsze punkty korespondencji. Gdy Colin wszedł do mieszkania, jemu także poświęcił uwagę, czyli były już cztery rzeczy, nie mówiąc o tym, o czym myślał, czego nikt nie mógłby zgadnąć.

– Dobry człowieku, do czego pan zmierzasz? – z pełnymi ustami ryknął do słuchawki. – Oczywiście, musimy powiedzieć prawdę. Tak czy owak



dziwacznym byłoby ją ukrywać. Prawda jest jedną z tych prostych spraw, które policji nie umkną. A poza tym, co zdziałaliby adwokaci, nie dysponując nawet prawdą, na której mogliby się oprzeć. Faktem jest, że klienci przekazują im diabelnie mało i do tego, z garści drobnicy, oczekują Bóg wie jak wiele – zresztą wszystko zależy od tego, jak ta prawda zabrzmi w uszach sędziego, a to już moje zadanie, nie pańskie. Siadaj i zadzwoń po kawę, jeśli masz ochotę – to było już do Colina. – Co pan mówisz? No cóż, oczywiście, wierzę że jest pan niewinny. Czyż nie dowiodłem tego, godząc się pracować dla pana? W takim razie czego jeszcze pan chcesz? Królestwo Niebieskie oprócz Pałacu Buckingham? – I gwałtownie rozłączył się.

– Jeśli kiedykolwiek popełnisz morderstwo, Colinie – stwierdził, nabijając na widelec następną kiełbaskę i zachęcając gościa, by postąpił podobnie – potem się nie rozklejaj. W końcu ktoś musi popełniać morderstwa, inaczej co by poczęli tacy biedacy jak ja? Ustawialibyśmy się w kolejkach po zasiek, którego, jestem pewien, odmówiono by nam. No cóż, spójrz na to z jaśniejszej strony. Pomyśl, że dajesz uczciwie zarobić innemu gościowi, czyli robisz coś dobrego. A ktoś musi zapłacić. Takie jest prawo życia.

– Że ktoś zostaje trupem? – błyskotliwie dodał Colin.

– Choć raz trafiasz w sedno. Tyle że akurat ten gość nie powinien był zabijać. Od tamtej pory stał się przeczulony. I to nie tylko z powodu lęku przed szubienicą. Odezwało się w nim sumienie, zaczął się zastanawiać, czy aby jego postępek był do końca fair. A jak tam twoje sprawy? Znalazłeś tę damę?

– Otrzymaliśmy od niej list. Przyniosłem go. – Wyjął kopertę.

– I co sądzisz?

– To jest list – przyznał ostrożnie Crook. – A czy rzeczywiście od niej, to już inna sprawa. Ale w końcu nie znam jej charakteru pisma.

Colin zrobił markotną minę. – Ja też nie – przyznał szczerze. – Myślisz, że może w ogóle nie pochodzić od niej?

– Gdybyś chciał zwabić człowieka w pułapkę, czy nie napisałbyś podobnego listu?

– Chyba tak – przyznał Colin. – Ale dlaczego ktoś miałby zastawiać na mnie pułapkę?

- Czyż nie jesteś jedyną osobą, która wie, że ta dziewczyna udała się do domu pani Ponsonby?
- No to dlaczego nie napisali wprost do mnie?
- To jedna z tych rzeczy, których się dowiem... oczywiście – odpalił z pewnością siebie pan Crook.
- Przyszło mi do głowy, że powinienem poinformować cię o wyjeździe w tamto miejsce – ciągnął Colin.
- Słyszałem już, jak człowieka informowano w przyjemniejszy sposób o zabieraniu mu jego pracy – zareagował na głos Crook.
- Co u diabła...?
- Pamiętasz, co powiedziałem na samym początku? Żadnych amatorów mieszkających się do roboty. Wracaj do własnych obowiązków, jakiegokolwiek są, i pozwól działać Crookowi i Company. W końcu – skinął wdzięcznie głową – ciebie jak nic złapali w pułapkę, ale z Crookiem nie uda im się tak łatwo.

**P**ani Ponsonby i Julia wyjechały na przejażdżkę. Przez całe popołudnie dama zabawiła Sheilę, jak się do niej zwracała, rozmową; opowiadała o miłym miejscu na prowincji, które tak naprawdę trudno by nazwać szpitalem, był to po prostu ogromny dom, a pewna cudowna kobieta przyjmowała tam osoby z załamaniem psychicznym i w krótkim czasie sprawiała, że ich stan się poprawiał. – Jak podoba ci się ten pomysł? – zapytała.

Na co Julia: – Myślę, że jeśli cierpimy na załamanie nerwowe, nie dbamy o to, co z nami robią.

Pani Ponsonby poklepała ją po ręce swymi krótkimi, tłustymi palcami, przypominającymi pęk małych, ozdobionych klejnotami parówek i oznajmiła: – Nie patrzysz na tę kwestię z właściwej perspektywy. To sprawa twojego wyzdrowienia... – i kontynuowała w tym duchu, aż zatrzymały się przed zieloną, drewnianą bramą Beverley.

Otwierając frontowe drzwi, Sparkes już w progu powitała je słowami: – Jest tu pewien dżentelmen z Londynu, madam. Czeka już dość długo.

Drobne rysy pani Ponsonby zdawały się zastygnąć. Źrenice zmieniły się w szczeliny na jej bezlitosnej twarzy. Julii przypomniał się śpiący pyton, którego widziała kiedyś w zoo.

- Nikogo nie oczekuję – oświadczyła dama. – Podał nazwisko?
- Powiedział, że jest prawnikiem.

Julia, która zamarła w miejscu, obawiając się, że gość może okazać się neurologiem wezwanym do pomocy pani Ponsonby w jej planie, szybko weszła do holu.

- Może chodzi mu o mnie – zasugerowała.
- Nonsens! Lepiej idź na górę i połóż się. Narzekłaś na ból głowy.
- On pytał o panią, madam – wtrąciła się Sparkes.
- Może chodzić o mnie – nalegała Julia, choć nie miała wiele nadziei.
- Jesteś szalona.

Coś w pogardliwym tonie kobiety sprawiło, że Julia głośno zawołała: – Nie tak bardzo, jak pani chciałyby, aby myślano.

- No, no, no! – odezwał się nieznany głos. – To interesujące, nieprawdaz?

Trzy kobiety gwałtownie się odwróciły. W drzwiach stał otyły człowieczek o dość pospolitej powierzchowności. Byłby bardziej na miejscu na torze wyścigowym, wykrzykując rozmaite komentarze, lub na jakimś wieczornym, sobotnim targu, w sztywnym, białym kitlu, z ostrzałką do noży na długim łańcuszku, zachwalając niskie ceny mięsa. Nawet w przybliżeniu nie przypominał wyobrażanej sobie przez każdą z nich osoby prawnika.

– Pani Ponsonby? – zapytał, wykorzystując ciszę, która powitała jego pojawienie się. – Nazywam się Crook – Arthur Crook, Nadzieja Kryminalistów i Zmora Sędziego. Jestem tu z polecenia klienta, który woli pozostać anonimowy, w sprawie pewnej młodej damy, niejakiej Julii Ross.

– Mówiłam, że chodzi o mnie – wykrzyknęła Julia. Jej serce niemal śpiewało. Crook może i był pospolity, i nie sprawiał najlepszego wrażenia, wulgarny i prostacki, ale reprezentował świat, od którego od tygodni ją separowano.

Gość ze zrozumieniem pokiwał głową. – A więc pani jest tą Julią. No cóż, dobrze to świadczy o tym chłopcu. Przypuszczam, że wie pani o sobie, że oficjalnie przebywa już na cmentarzu.

Tu pani Ponsonby odzyskała głos. – To absurd – zaczęła, ale Crook nie dał się tak łatwo uciszyć.

– Właśnie do tego zmierzam, proszę pani – przyznał. – To pierwsza rzecz, którą musimy ustalić. Jeśli ta dama jest panną Julią Ross, to co ma oznaczać nekrolog w gazecie?

– Nie rozumiem. – Julia zrobiła wielkie oczy.

– W *Timesie* pojawiła się informacja o pani kandydaturze do cmentarnej zgnilizny. W istocie umarła panna dwudziestego siódmego ubiegłego miesiąca.

– Wiedziałam, że jesteś złą kobietą – zaczęła powoli Julia – ale nawet nie zaświtało mi w głowie, że mogłabyś zrobić coś podobnego.

– To absolutny nonsens – pani Ponsonby zapanowała nad sytuacją. – Ta młoda dama to moja siostrzenica, panna Sheila Campbell. Nawet nie będę udawać, że rozumiem, dlaczego wyobraża sobie, że jest kimś innym, chyba że widziała to nazwisko w gazecie...

– Jak bym mogła, w sobotę? – przerwała jej Julia. – Wtedy przybyliśmy do tego okropnego domu.

– Z panią umierającą przez całą drogę? – poparł ją Crook.

– Obawiam się, że muszę pana poprosić o opuszczenie mego domu – nie poddawała się pani Ponsonby. – Zarówno pokojówka jak i kamerdyner, który zajmuje się moją londyńską posiadłością, poprą moje oświadczenie.

– Na pewno – zgodził się dobrodusznie Crook. – Chodzi o dom, który zostawiła pani nie umeblowany?

– Nie rozumiem... – zaczęła dama, ale Crook znów jej przerwał. Nie zwracał sobie głowy dobrymi manierami. Zawsze utrzymywał, że wielcy ludzie ich nie potrzebują, a kobiety małego kalibru, za jakie uważał te o moralności pani Ponsonby, nie doceniają ich. Uważają je za oznakę słabości.

– Dlatego właśnie tu jestem. A teraz proszę powiedzieć mi, dlaczego ta młoda dama miałaby twierdzić, że jest Julią Ross, jeśli się tak nie nazywa?

– Bo cierpi na przywidzenia. Przywiozłam ją na wieś, w spokojne miejsce, aby dać jej możliwość powrotu do zdrowia. Nie wiem, kto pana wysłał w tej absurdalnej sprawie...

– Mój klient. Powiedziałem pani. On także uważa, że ona jest Julią Ross.

– Jak to możliwe? Och, nie twierdzą, że taka osoba nie istnieje i że on jej nie zna. Chcę tylko powiedzieć, że ta dziewczyna nią nie jest. Żądam, by pokazał pan choć jeden dowód na jej tożsamość.

– Nie byłoby ze mnie wiele pożytku dla tego rodzaju klientów, jaki zazwyczaj się do mnie zwraca, gdybym nie potrafił stawić czoła tak prostemu wyzwaniu. Proszę mi dać dwadzieścia cztery godziny, a dostarczę tyle dowodów, że będzie się pani dziwiła, jak w ogóle mogła kiedykolwiek uważać ją za swoją siostrzenicę.

– To absolutnie wykluczone – zaprotestowała pani Ponsonby. – Mogę sobie tylko wyobrazić, że mojej siostrzenicy w jakiś sposób udało się skontaktować z panem i przekonać go, byś wziął udział w tej monstrualnej szaradzie.

– A co z damą z agencji Victoria, która przysłała pani pannę Ross jako ewentualną towarzyszkę i pomoc?

– Na pewno telefonowałam do tej agencji i z pewnością przyszły do mnie dwie czy trzy dziewczyny, ale okazały się całkowicie niezadowolające. Nie było między nimi panny Ross.

– I co się stało z tą pomocą?

Julia przysięgłaby, że kobieta się wzdrygnęła; ale zaraz wspaniale się opamiętała. – Nie rozumiem.

– Co z tą osobą, o którą pani telefonowała?

– Musiałam poinformować agencję, że nagle wezwano mnie do wyjazdu z miasta i na razie nie będę jej potrzebować. Ale moja siostrzenica była ze mną już jakiś czas wcześniej.

– To nieprawda – błagalnie wtrąciła się Julia. – Och, na pewno może mi pan pomóc.

– A teraz następny interesujący szczegół – ciągnął obojętnie Crook – nie możemy znaleźć żadnego oficjalnego zapisu śmierci Julii Ross. To dziwne, nieprawdaż? Żaden doktor, żaden przedsiębiorca pogrzebowy...

– Nie jest przestępstwem zamieszczenie nekrologu w gazecie jako żart – lodowatym tonem zasugerowała pani Ponsonby.

– Tak pani twierdzi, ale dla podmiotu podobnej informacji taki żart nie jest ani zabawny, ani w dobrym tonie – no, więc jak?

Podczas rozmowy Crook stopniowo robił krok po kroku do tyłu i wreszcie wszyscy znaleźli się w pokoju, który Sparkes nazywała biblioteką. Było to obszerne, ciemne pomieszczenie o kwadratowych oknach wychodzących na

wilgotny, ciemnozielony ogród; gałązki bluszczu ocierały się o szybę; nie było tu żadnych książek.

– Naprawdę nie rozumiem, po co przyjechał pan z tą sprawą do mnie – powtórzyła po raz któryś pani Ponsonby.

– Bo otrzymaliśmy informację, że panna Ross jest członkiem pani domowego personelu.

– Kto to panu powiedział?

Crook mrugnął. – Pewien mały ptaszek.

Pani Ponsonby gorączkowo zbierała myśli. – Jedyнным wytłumaczeniem, jakie mogę panu oferować, jest to, że moja siostrzenica, której stan psychiczny daje poważne powody do niepokoju i która obecnie przebywa pod opieką lekarską, widziała notatkę, o której pan mówi, i przyjęła sobie to nazwisko – nie, proszę mnie nie pytać, dlaczego...

– Nie zamierzałem – odparował Crook z szyderczym grymasem. – Nawet ja znam odpowiedź. Ale teraz niech mi pani powie jedno. W jaki sposób udało się jej przekazać wiadomość do jednej z dwóch żyjących osób, dla których to nazwisko cokolwiek znaczy? Jeśli potrafi pani znaleźć wyjaśnienie tej kwestii, zjem swój własny kapelusz z sosem chrzanowym.

Pani Ponsonby znalazła się w rozpaczliwej sytuacji; szybko jednak uświadomiła sobie, że wszystkie dowody, jakie nadają się do przedstawienia w sądzie, poparłyby jej stanowisko. Przed odpowiedzią zawahała się tylko na krótko, Julia nawet się nie zorientowała.

– Moja siostrzenica musiała gdzieś poznać tę Julię Ross, a także jej dzieje i teraz, sędzę, wykorzystuje szczegóły dla własnych, szalonych celów. Wierzę – dodała wolno – w pańską uczciwość; i że rzeczywiście uważa pan tę młodą kobietę za osobę, którą ona udaje. Jak mogę dowieść, że się pan myli? Mam jej dokument tożsamości, jej ubrania i szczotki z jej inicjałami...

– Świadcstwo urodzenia?

– Nie było takiej potrzeby.

– Nie mam najmniejszego dowodu na to, że jestem rzeczywiście tą, kim jestem, ponieważ te dwie wszystko zniszczyły – wybuchła zrozpaczona Julia, ale Crooka nie bardziej poruszyła jej rozpacz niż stanowcze zaprzeczenia pani Ponsonby.

– Niech się panna tym nie kłopotczy. Jestem przyzwyczajony do znajdowania własnych dowodów. To część pracy prawnika, jeśli chce pani wiedzieć. Nie znoszę tych niezdecydowanych tchórzliwych gości, którzy porzucają sprawę, gdy tylko natkną się na jakiś niewiele znaczący, drobny fakt. Który, jak uważają, usunie im grunt spod nóg. Zadaniem prawnika jest dowiedzenie racji klienta. Za to dostaje zapłatę. To niewłaściwe, by pozwolić, by taki drobiazg jak brak dowodów przeszkodził w sprawie.

– Niech pan robi, co tylko konieczne – zachęciła go pani Ponsonby. Pobladała z gniewu i strachu. – Natrafi pan na mur, ale być może nie dba pan o to.

– Nigdy jeszcze nie natknąłem się na tak mocny, by nie można się przez niego przebić – wykrzywił się wzgardliwie pan Crook. – Ale może pani nigdy nie słyszała, co to dynamit?

– Dynamit? – zdziwiła się.

– To moje drugie imię. Arthur Dynamit Crook. Wspomni pani o dynamicie w którymkolwiek z moich okręgów sądowych – lubił używać tego określenia, choć oczywiście wcale nie był członkiem palestry – a wszędzie postawią pani drinka. – Skinął głową i wstał, podnosząc z poduszki obok swój twardy, czarny melonik.

– Odchodzi pan? – wyjąkała Julia z trwogą.

– Nie ma czasu, trzeba brać się za sprawę.

– Ale... co pan zamierza?

– Niech pani czyta gazety. Powiem pannie, że przeciętny mężczyzna i kobieta w tym kraju nie doceniają siły prasy. Hitler, Mussolini – gdzie byliby bez mediów? Niech panna poczeka. – Położył gruby paluch na swym dużym, wojowniczym nosie. – Czekaj panią przyjemna niespodzianka.

– Nie pozwolę dziennikarzom zakłócać naszej prywatności – wychrypiąła pani Ponsonby.

– Pani zgoda, szanowna damo, nie będzie nam potrzebna – zapewnił ją Crook. – Och, wyjdzie z tego piękna historyjka. Z tych, co to ludzie lubią najbardziej... Proszę posłuchać:

W samotnym domu na wsi, odcięta nawet od ech codziennego życia, mieszka piękna młoda dziewczyna, znana jako Sheila Campbell, która utrzymuje, że naprawdę nazywa się Julia Ross. To, że taka dziewczyna jak Julia istniała,

dowodzi fakt, że jej śmierć została ostatnio ogłoszona w prasie, choć nie można znaleźć żadnego lekarza, który podpisał świadectwo zgonu, ani przedsiębiorcy pogrzebowego, który pochował ciało. Co kryje tajemnica Julii Ross? Dlaczego pani Ponsonby, która obecnie sprawuje opiekę nad dziewczyną, deklaruje, że naprawdę nazywa się ona Sheila Campbell? A potem, wielkimi czarnymi literami, aby nawet idiota ich nie przegapił: „Kim jest Sheila Campbell?”

W końcu, zwracając się do pani Ponsonby, mówił już swym zwykłym głosem:

– Nawet ona musi mieć jakąś przeszłość. Jak długo z panią mieszka? Kim są jej rodzice? Dlaczego jeszcze przed kilkoma tygodniami nikt o niej nie słyszał? Tak było, wie pani, bo odkryliśmy, że jej dowód tożsamości wydano dopiero co. O tak – nacisnął kapelusz, przekrzywiając go na jedno oko – spotkamy się ponownie, panno Ross. Po prostu musiałem się upewnić, że panna istniejesz. Gdy poznasz mnie nieco lepiej, stracisz ten zaniepokojony wyraz twarzy. Zna panna moje motto? Crook zawsze osiąga swój cel – prychnął i wyszedł z pokoju.

Po jego odejściu pani Ponsonby nie odezwała się słowem do Julii; nie przypatrywała jej się z uwagą, jak zazwyczaj; zdawała się niemal obojętna. Julia nie wiedziała jeszcze tego, czego dowiedziała się później. Inaczej może by podziwiała sposób, w jaki jej wróg przyjął cios.

Po kilku minutach, wciąż nic nie mówiąc, dama wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem. Julia domyśliła się, że poszła zobaczyć się ze Sparkes, która odprowadziła Crooka do wyjścia, aby omówić z nią ten nowy, zaskakujący rozwój wypadków. Julia czasem próbowała porozmawiać ze Sparkes, aby odkryć więzy łączące obie kobiety – wydawały się bardziej sobie bliskie, niż zazwyczaj bywa w takich przypadkach, nawet gdy służąca jest zatrudniona przez wiele lat. Czasami nawet podejrzewała, że pani Ponsonby boi się Sparkes. A co miała na myśli, mówiąc Petersowi: – Pamiętaj po moich instrukcjach. Wykonaj je dokładnie. – Zapewne należało do nich umieszczenie notatki w *Timesie*; także opróżnienie domu przy Henriques Square. Julii wciąż było daleko do odkrycia motywu tego skomplikowanego i niebezpiecznego spisku. Jednak tej nocy wróciło poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie doznała od czasu, gdy po



raz pierwszy usłyszała nazwisko pani Ponsonby. Choćby ta kobieta bardzo jej nienawidziła, tej nocy przynajmniej nie wyrządzi jej krzywdy. Nie odważy się. Crook może i był dziwnym rodzajem prawnika, ale miał wystające szczęki buldoga, które nie popuszczą, gdy już się na czymś zacisną.

Przez resztę wieczoru pani Ponsonby prawie się nie odzywała; po kolacji ta niedobrana para siedziała w salonie z książkami na kolanach, ale ani jedna, ani druga wiele nie przeczytała. Julia zastanawiała się, kiedy nadejdzie pomoc, co wylęło się w bystrym umyśle Crooka. Rozważania pani Ponsonby podążały tą samą drogą, tyle że nie wybiegały aż tak daleko. Dama miała na głowie coś więcej niż spekulacje; musiała opracować plan, i to bardzo szybko.

# 11.

Tej nocy Julia poszła spać w stosunkowo radosnym nastroju. Nie wątpiła, że pani Ponsonby spróbuje znaleźć sposób na udaremnienie wysiłków Crooka, ten jednak sprawiał wrażenie upartego. Jak zawsze, położywszy się, usłyszała odgłos obracanego w zamku klucza, ale nie pozwoliła, by to ją zdenerwowało. Gdy w domu zapanowała cisza, wysliznęła się z łóżka i zapchała dziurkę od klucza skrawkami bibułki; to zapobiegnie ponownemu włożeniu klucza i do rana uchroni jej prywatność. Potem zasnęła. Obudził ją szcęk energicznie naciskanej klamki. I wołanie Sparkes.

– Co zrobiłaś z drzwiami?

– Chwileczkę. – Wstała i przy pomocy szpilki do włosów powoli wyciągnęła kawałki bibułki z zamka.

– Co to za nowa sztuczka? – Tego ranka Sparkes była wyraźnie wzburzona, na co wskazywał jej ton. Przemawiała niczym pielęgniarka grożąca swej podopiecznej surową karą.

– To z powodu kroków – odparła lekko Julia. – Wiem, że ty i pani Ponsonby uważacie mnie za wariatkę, bo w niektóre noce słyszę czyjeś kroki w moim pokoju, pomyślałam więc, że zablokuję zamek, a gdybym nadal słyszała kroki, oznaczałoby to... – urwała.

– Że zwariowałaś? – zapytała ponuro Sparkes.

– Raczej istnienie jeszcze innych drzwi do pokoju. Ale nic nie słyszałam. Myślę, że miałam dobry pomysł. – Mówiąc, obserwowała Sparkes i w jej oczach ukazało się zaniepokojenie. W wyglądzie pokojówki pojawiło się coś dziwnego i nowego. Ale po chwili uznała, że wrażenie to sprawił ciemny fartuch, który tamta narzuciła na suknię, zamiast włożyć zwykły fartuszek i czepek. Jej włosy, gęste i sprężyste niczym końskie włosie, dzisiaj niczym nie przysłonięte, upięte były na karku w ciasny koczek z niezliczonych loczków.

Julii wydało się dziwne, że nigdy dotąd fryzura pokojówki nie zwróciła jej uwagi. Sparkes podeszła do okien i rozchyliła okiennice; dzień przypominał zmatowiałą perłę; wszędzie niczym welon zalegała cienka warstwa srebrzystej mgły.

– O co tym razem chodzi? – wykrzyknęła Julia. – Na moim zegarku jest wpół do siódmej, a nie wygląda, by stanął.

– A czemu miałby się zatrzymać? – zdziwiła się Sparkes.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę jest dopiero wpół do siódmej? No to dlaczego... ?

– Otrzymałam polecenie obudzić pannę natychmiast. Samochód przyjedzie około siódmej.

Julia, oszołomiona, siadła na krawędzi łóżka. – O siódmej? Ale... dokąd jedziemy?

– Po prostu wyjeżdżamy.

– Na przejażdżkę? O tej godzinie? Och nie, pewnie na stałe.

– Zgadza się – przyznała spokojnie Sparkes. – No, cóż to za mina? Nigdy nie lubiła panna tego domu; zawsze chciałaś go opuścić. I wyjeżdżamy.

Julia poczuła narastający w uszach szum; przycisnęła je dłońmi, by go uciszyć; ale pochodził z jej mózgu i nie było przed nim ucieczki.

– To – usłyszała własny głos – z powodu pana Crooka. Możesz powiedzieć pani Ponsonby, że ja nie jadę.

– Słyszałaś, co powiedziałam, prawda... *panno Campbell*? – powtórzyła Sparkes. – I lepiej pospiesz się, bo pani nie lubi czekać, I nie ma sensu mówić jej, że nie jedziesz, bo pojedziesz, choćbyśmy miały związać ci ręce i nogi i zanieść cię do samochodu.

Była całkiem zdolna wykonać groźbę ani nie zawahałaby się wezwać Ferrera, gdyby nie starczyło jej fizycznej siły. W istocie pani Ponsonby nie zdołałaby nigdzie znaleźć świadka lepszego od szofera. Całkowicie pozbawiony własnego zdania, nie był zdolny do zakwestionowania sugestii tych kobiet o rzekomym oblędzie Julii. Cokolwiek by przy nim powiedziała, było podejrzane, jeszcze zanim słowa padły z jej ust; żaden sąd, nawet sam Crook nie mógłby podejrzewać go o udział w spisku. Julia zdawała sobie z tego sprawę; wiedziała także, że przynajmniej w tym wypadku została pokonana.

– Idę – powiedziała głucho. – Mam być więc gotowa i spakowana w ciągu pół godziny?

– Pakowaniem nie zwracaj sobie głowy – poleciła Sparkes. – Zrobiłam to wczoraj wieczorem, nim poszłaś na górę.

– A dokąd jedziemy? Choć pewnie i tak nie powiedziałaś mi, nawet gdybyś wiedziała.

– A więc nie traćmy czasu na gadanie – stwierdziła tamta ponuro. Wyszła z pokoju, zapowiadając, że za kwadrans wróci po bagaż. A Julia, ubrana tylko w halkę, wyszła zaraz na korytarz i przyczaiła się za balustradą schodów. Być może, rozważała, uda jej się coś podsłuchać. W pewnym sensie szczęście jej sprzyjało. Pani Ponsonby, już w kapeluszu, na dole w korytarzu mówiła coś do Ferrersa. Julia rozróżniła kilka słów. – Dwieście pięćdziesiąt – dasz radę? – zapytała dama. Przez chwilę dziewczyna nie rozumiała, w czym rzecz. To niemożliwe, by ta cyfra dotyczyła pieniędzy. Takich jak Ferrers nie ma potrzeby przekupywać dużymi kwotami; są absolutnie skłonni bez sprzeciwu wykonywać polecenia, choćby nie wiadomo jak dziwaczne.

„On nie uważa je za dziwne – pomyślała Julia, po czym dotarło do niej, że dwieście pięćdziesiąt odnosi się do mil. – Jak udaje jej się zdobyć takie ilości benzyny? – zastanawiała się. – Może jest tak bogata, ale chyba to nie wszystko...” W tym momencie pani Ponsonby spojrzała w górę i Julia natychmiast wtopiła się w cień. Choć i tak nie miała pewności, że nie została zauważona.

Jedziemy do jakiegoś miejsca odległego dwieście pięćdziesiąt mil – uznała. – Zapewne ona chce tam dotrzeć jeszcze dzisiaj, jeśli wyjeżdżamy tak wcześnie. Obecnie, przy tak małym ruchu drogowym, można osiągnąć niezły czas, jeśli nie zatrzymywać się na posiłki – zapewne tak właśnie będzie, bo ona na pewno woli nie zostawiać śladów dla pana Crooka – i pokonamy tę odległość bez trudu. Ferrers dobrze prowadził; należało przewidywać średnią prędkość trzydziestu mil na godzinę.

Jakoś musi więc zostawić wiadomość dla Crooka. Nie miała dla niego wiele informacji, tylko że będzie w miejscu oddalonym o dwieście pięćdziesiąt mil od Beverley. Może uda mu się czegoś wywiedzieć wśród miejscowych co do kierunku, w jakim odjechali. Julia żywiła głębokie przekonanie, że jeśli nie zachowa nadzwyczajnej ostrożności, koniec nitki pochwycony przez Crooka

wysunie mu się z rąk, nim zorientuje się w niebezpieczeństwie. (Nie miała oczywiście wcześniejszych doświadczeń w kwestii Crooka i jego metod). W jakiś sposób musi sprawić, by przy następnej wizycie w Beverley natrafił na informację, która wskaże mu dalszą drogę. Przez jakiś czas męczyła się obmyśleniem sposobu na zostawienie tej wiadomości. Musi ją ukryć w tym pokoju, postanowiła. Crook z pewnością tu wejdzie, gdy zorientuje się, że ptaszki wyfrunęły z gniazda. Będzie wiedział, w którym pomieszczeniu przebywała, przez ten nakaz pani Ponsonby zaśrubowania okiennic. Oczywiście, istniała możliwość, że każą Ferrersowi odkręcić śruby, ale Julia uznała to za mało prawdopodobne. Po pierwsze, dysponowali niewielką ilością czasu, po drugie, zabezpieczone okna były dowodem na niebezpieczny stan podopiecznej. Julia przypomniała sobie o piórze w torebce i o skrawkach papieru, które udało jej się ukryć. Gdy już Ferrers przyjdzie na górę i zabierze jej walizkę, ona skreśli wiadomość i zostawi w miejscu na tyle widocznym, by przyciągnąć uwagę Crooka. Gdy wkładała żakiet, Sparkes pojawiła się z powrotem.

– Już idę – oświadczyła potulnie Julia.

Sparkes nie odpowiedziała; pochwyciła szczotkę do włosów, koszulę nocną i zapakowała do torby, która otwarta leżała na krześle. Zamknęła ją, zatrzasnęła na zamki. Następnie, ku rozpaczy Julii, przyklękała, wyciągając rękę także po torebkę.

– Ją też zniosę – oświadczyła.

– Och, będę jej jeszcze potrzebować – wybuchła Julia.

– A to do czego? Myślałam, że już schodzisz.

– Tam jest... moja szminka – mruknęła dziewczyna.

– Wyjmij ją więc.

– Torebkę mogę sama znieść – zaprotestowała dziewczyna.

– Polecenie madam – wyrecytowała Sparkes. I Julia wyjęła szminkę, zastanawiając się, czyby ukradkiem nie wziąć także pióra; ale pokojówka nie spuszczała z niej wzroku i pochwyciła torebkę, nie dając dziewczynie szansy. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nią, Julia gorączkowo przejrzała zawartość szuflad toaletki w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby napisać wiadomość. Ale nie znalazła niczego – nawet kawałka ołówka czy skrawka koperty. Choćby wypalonej zapałki. Poczula rozpacz; nie miała żadnego dobrego pretekstu,

by pozostawać na górze, w każdej chwili oczekiwała, że drzwi staną otworem i pojawi się w nich pani Ponsonby we własnej osobie. Wzięła szminkę i zaczęła malować usta. Nagle jej dłoń zawisła w powietrzu. Jakaż z niej idiotka, pomyślała. Przecież ma w ręce idealny, czerwony ołówek; potrzebowała tylko jakiejś powierzchni, na której mogłaby nakreślić informację.

Uważnie rozejrzała się wokół. Ściany pokrywał skomplikowany wzór liści i wstążek. Nie da się na nich zostawić niczego tak, by można to zauważyć. Ale w szafie było wysokie lustro. Czerwień natychmiast przyciągnie najbardziej pobieżną uwagę. Szybko przeszła przez pokój i zaczęła pisać. Swoje imię i nazwisko – Julia Ross – a potem dwieście pięćdziesiąt mil. I dodała numer rejestracyjny samochodu – XYZ 19001. Cook na pewno zrozumie. Właśnie pogrubiała kreskę ostatniej cyfry, gdy zeszytniała i szminka omal nie wypadła jej z ręki. W lustrze, przed którym stała, teraz pojawiła się druga postać, wysoka, cała w czerni, w okrągłym, słomianym kapelusiku na sprężystych loczkach, kobieta o nieodgadnionym wyrazie twarzy i cienkich wargach, wykrzywiających się w złośliwym uśmiechu. Po raz pierwszy ujrzała Sparkes jako odrębną istotę. Dotąd wydawała się być uzupełnieniem pani Ponsonby. Teraz Julia uświadomiła sobie, że ta kobieta posiada intensywne własne życie, z jego przyjemnościami i ambicjami. I nie było wątpliwości, że obecna sytuacja bardzo Sparkes uradowała. Widać było, że jest rozbawiona. W końcu roześmiała się.

– Bardzo śmieszne – skomentowała. – Iście pensjonarski psikus, mazanie po lustrach.

Julia odwróciła się, blada jak śmierć. – Dlaczego wciąż mnie szpiegujesz? – szepnęła. – Już wiem, że w głębi serca jesteś równie zła jak ona.

– To dowodzi, żeś obłąkana – ciągnęła Sparkes, wrywając dziewczynie szminkę. – Bazgranie bezsensownych głupstw na ładnym, czystym szkłe. Tak postępują tylko obłąkani. Nie sądzisz? Nie sądzisz tak?

Julia wbiła w nią wzrok, przerażona, z trudem oddychała.

Sparkes chwyciła ją za nadgarstek i trzymała tak mocno, że kości wydawały się lada chwila pęknąć. – To nic nie znaczy, prawda? – naciskała. – Tylko stek bzdur. Czyż nie?

W milczeniu Julia skinęła głową. Nie po to, by przekonać tę kobietę, ale jaki sens miałyby teraz spieranie się? Zresztą rozgoryczona i rozczarowana, nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Sparkes puściła jej ramię i, wzięwszy ręcznik, wyczyściła szkło.

– Dobrze, że pani Ponsonby tego nie widziała – zauważyła. – Nie byłaby zachwycona, możesz mi wierzyć, gdyby przyłapała cię na tak bezceremonialnym traktowaniu jej mebli. Oczywiście, jeśli te twoje bazgroły miały jakiegokolwiek znaczenie, to co innego, ale ponieważ tak nie jest... – Wsunęła szminkę do kieszeni.

– To moja własność – zaprotestowała słabo Julia. I wyciągnęła rękę. – To moja własność – powtórzyło ostro – i chcę ją z powrotem.

– Dostaniesz, gdy wyjdziemy z domu – obiecała Sparkes. – Jeszcze mogłabyś się zapomnieć i zabrać się za bazgranie po ścianach, a muru tak łatwo nie da się wyczyścić, prawda?

Julia prawie wybiegła z pokoju i uciekając przed drwiącym, triumfującym głosem, pobiegła korytarzem.

– Masz dziesięć minut na śniadanie, Sheilo – poinformowała ją pani Ponsonby, jakby nagły wyjazd z domu o siódmej rano był czymś najnormalniejszym w świecie.

– Wystarczy mi filiżanka herbaty – odrzekła dziewczyna już spokojnym głosem. Przecież nie mogła dać pretekstu pani Ponsonby do zarzucenia jej histerii, melancholii i skłonności do przesadnej ekscytacji.

Gdy zegar wybił wyznaczoną godzinę, samochód ruszył spod bramy tajemniczego domostwa. Delikatny deszcz niczym jedwabna siateczka rozciągnął się nad jego pasażerami i skarpami, między którymi jechali; ludzie wydawali się uwięzieni w dzwonie z delikatnego szkła. Julii wydawało się, że gdyby wyciągnęła rękę, dotknęłaby czegoś gładkiego, połyskującego, niewypowiedzianie kruchego. O tak wczesnej porze na drodze panował niewielki ruch. Co oczywiście stanowiło część planu pani Ponsonby. Później pojawią się inni użytkownicy, których uwagę mógłby ściągnąć wielki czarny samochód i jego pasażerowie, ale o tej godzinie można tu było spotkać jedynie robotników, zbyt zajętych swą pracą, by zwracać uwagę na obcych. Zresztą Ferrers przez cały czas wybierał jak najmniej uczęszczane drogi, które dla kierowcy o mniejszych

umiejętnościach okazałyby się zbyt trudne. Deszcz, choć niezbyt obfity, nie sprzyjał pojawianiu się pieszych, mogli więc utrzymywać niezłe tempo. Przez jakiś czas z głośnym warkotem jechał za nimi mały, niezwykle hałaśliwy kabriolet, w kolorze jaskrawego szkarłatu i niesamowicie poobijaną karoserią. Wreszcie Ferrers zjechał na pobocze i zczekał, aż tamten przemknie. Od czasu do czasu jakiś przechodzień z podziwem rzucał okiem na mijającą go wspaniałą maszynę, ale niewielu zauważyło podróżującą nią pasażerki. Zresztą nie wzbudzały specjalnego zainteresowania: dwie starsze kobiety i dziewczyna, prawdopodobnie córka jednej z nich. Wnet deszcz nasilił się i teraz wydawały się mieć świat wyłącznie dla siebie. Ulewa okazała się pewną uciążliwością; z punktu widzenia pani Ponsonby nawet czymś więcej – impertynencją spowalniającą tempo jazdy. Ale, pocieszała się, dzięki niej panował mniejszy ruch i mniejsze jeszcze prawdopodobieństwo, by ten prostacki intruz, noszący całkiem odpowiednie nazwisko Crook, odkrył, którędy jechali. Ferrers otrzymał polecenie podróżowania okrężną drogą, czasem nawet znacznie odbijał od wyznaczonego kierunku. Przy każdej takiej okazji pani Ponsonby kazała jemu lub Sparkes wysiąść i w miejscowym sklepie zasięgnąć informacji o miejscu, którego bynajmniej nie zamierzali odwiedzić. W ten sposób każdy próbujący ich śledzić zostałby skierowany na fałszywy trop. O pierwszej zatrzymali się na bocznej drodze i zjedli wzięty z domu lunch, po czym Ferrers niezamordowanie jechał dalej. W końcu dotarli na miejsce tuż przed szóstą, po niemal jedenastu godzinach podróży. Julia była tak zeszywniała, że ledwie wypełzła z samochodu. W błędnym świetle ujrzała sylwetkę wysokiego, olbrzymiego budynku, tak dokładnie zaciemnionego, że wydawał się absolutnie pozbawiony charakteru, dopóki nie weszło się do środka i nie ujrzało luksusowo urządzonego holu, mieniącego się jak scena podczas finałowego aktu operetki. Nie można by sobie wyobrazić większej zmiany po ciemnej samotni Beverley. Przy licznych małych stolikach zasiadali dobrze ubrani mężczyźni i kobiety, pociągając kolorowe drinki. Z radia miły, kulturalny głos podawał wiadomości; kelnerzy uwijali się z kolejnymi kolorowymi drinkami dla następnych gości. Kilka osób rzuciło okiem na wchodzące do holu trzy kobiety i zaraz odwróciło wzrok. Dwaj bagażowi wybiegli pomóc Ferrersowi przy kufrach. Pani Ponsonby podeszła do recepcjonisty i wyjaśniła, że zarezerwowała pokoje telefonicznie, w ten



sposób zaprzeczając własnym zapewnieniom, złożonym Julii, jakoby w Beverley nie było telefonu. Recepcjonista powiedział: – Oczywiście, madam. Proszę łaskawie tędy. Możemy dać pani apartament na parterze. Dwie sypialnie i prywatny salonik.

– A co z moją pokojówką? – zapytała. – Potrzebuję mieć ją pod ręką. Siostrzenica jest delikatnego zdrowia i może wymagać pomocy w czasie nocy.

Wystarczyło spojrzeć na Julię, oszołomioną i wyczerpaną długą podróżą, by zgodzić się z tą uwagą. Byle tylko dziewczyna nie umarła w hotelu; jej stan nie obszedł recepcjonisty, który w duchu dorzucił do rachunku dodatkową gwineę. Wyjaśnił, że Sparkes może dostać pokój na tym samym piętrze, ale przy końcu korytarza.

Apartament był obszerny i wspaniale umeblowany, składał się z saloniku z oknami wychodzącymi na łąki i srebrną wstążkę rzeki, z dużej sypialni przeznaczonej dla pani Ponsonby i mniejszej, połączonej z nią, dla Julii. Przez otwarte okno saloniku napłynął zapach bzu, uwolniony i jeszcze wzmocniony przez deszcz. Julia nagle odrzuciła głowę do tyłu. Ten zapach, tak nieoczekiwanie napotkany w podobnym momencie, napełnił ją nową odwagą, przypominając o młodości, gdy nie znała strachu, i wzmocnił jej determinację, by nie tracić ducha, jakkolwiek wrogowie zwarliby szyki.

Pani Ponsonby zauważyła tylko: – To nam całkiem wystarczy, dziękuję. Niczego więcej nie potrzebujemy. Kolację zjemy o siódmej, zaraz zejść zamienić kilka słów z szefem kelnerów.

Hotelarz skłonił się i wyszedł, a pani Ponsonby, zwracając się do dziewczyny przed wyjściem, rzekła przyjaznym tonem: – To lepsze od Beverley, czyż nie? Nie będziesz się tu czuła taka zamknięta, prawda? Myślę, że urządzimy się tu wygodnie. Nie jesteś zbyt zmęczona, by zejść na dół?

– Och nie – odrzekła skwapliwie Julia. – Ale już jestem bardzo głodna.

Nie ufała tej nowej nutce przymilności, jaką przybrała pani Ponsonby ani trochę bardziej, niż nieszczerzonym jej dotąd oskarżeniom czy groźbom, i gorączkowo szukała w myślach sposobu na powiadomienie Crooka o miejscu swego pobytu. Pani Ponsonby zapewne zaraz będzie wyjaśniała sytuację personelowi hotelowemu. Trzeba znaleźć jakąś okazję przed jej powrotem. Wciąż

rozważała swoje szanse, gdy zorientowała się, że gałka drzwi powoli się odwraca. Z cichym szcękaniem przekręciła się w jedną, potem w drugą stronę. Wreszcie znieruchomiała. Julia przez chwilę obserwowała ją jak zaczarowana, ale zaraz rzuciła się do drzwi. Najpewniej to następna sztuczka Sparkes, by ją zdenerwować. Ale za drzwiami nie było nikogo. Tylko na macie leżał kawałek papieru. Pochyliła się i podniosła go. Starannie wydrukowane słowa:

„Panna Julia Ross. Pamiętaj – Crook zawsze osiąga swój cel”.

Gdy tak stała wpatrzona w papier, na dworze zatrąbił jakiś samochód. Automatycznie przeszła na drugą stronę pokoju. Przed hotelem stał poobijany, mały, hałaśliwy kabriolet, pomalowany na jaskrawą czerwień. Przysadzisty mężczyzna za kierownicą ani razu nie spojrział w górę, na jej okno, a po chwili włączył silnik i odjechał.

**P**o czterech dniach przebywania w hotelu Rosedale Julia zaczynała zastanawiać się, czy nie pomyliła się co do tożsamości kierowcy. W końcu ledwie coś widziała, a on nie pomógł jej, nie pokazał twarzą. Jeśli to rzeczywiście on napisał wiadomość, którą znalazła na wycieraczkę, wykazywał niezwykłą opieśloność w swych poczynaniach. A jeśli to nie jego dzieło, skąd pewność, że w ogóle miał pojęcie co do miejsca jej pobytu? I nasuwał się następny wniosek. Jeśli przesłanie nie pochodziło od Crooka, to od kogóż, jak nie od pani Ponsonby? Zachowanie damy dostarczało Julii nowego powodu do niepokoju. W hotelu Rosedale nie było mowy o ograniczaniu jej osobistej wolności. Pani Ponsonby od początku postawiła sprawę jasno: Julia mogła chodzić gdzie chce, byle wracała punktualnie na posiłki i w razie potrzeby była do dyspozycji chlebobawczyni. Teraz jednak nikt nie próbował nocą wchodzić do jej pokoju. Pani Ponsonby nawet zaproponowała, aby tak ustawić meble, by zastawiały łączące sypialnie drzwi, a w tych wychodzących na korytarz klucz tkwił od wewnątrz. Oczywiście Julia nie była w stanie przekonać się do szczerości okazywanych jej względów. Wychodząc z pokoju, za każdym razem rzucała ukradkowe spojrzenie w jedną i drugą stronę, by sprawdzić, czy ktoś za nią nie idzie, ale choć raz czy dwa zauważyła w pewnej odległości Sparkes, nie miała pewności, czy kobieta ją szpieguje.

W hotel Rosedale gościły przeważnie starsze i majątne osoby. Był tam

corpulentny major w średnim wieku, którego pani Ponsonby od razu zaanektowała, proponując mu przejażdżki samochodem lub sugerując, by podczas długich wieczorów zasiadał jako czwarty do brydża. Do hotelu, choć nie stał on na zagrożonym terenie, dochodził ciągły huk armat znad nabrzeża i pani Ponsonby nie pozwalała Julii opuszczać budynku po kolacji. Embargo nie obowiązywało Sparkes. Pokojówka okazała się pasjonatką filmu i noc w noc wymykała się do tego czy innego kina w mieście. Pewnego razu Julia zdumiała się też, zauważwszy ją na spacerze z żołnierzem. Para prowadziła przyjacielską pogawędkę i znikła w gospodzie *Pod Dzwonem i Butelką*. Po raz drugi dotarło do Julii, że Sparkes to ktoś całkowicie inny niż pani Ponsonby. Być może, pomyślała, ta nie rzucająca się w oczy kobieta wiodła ekscytujące, nocne życie, którego pani Ponsonby nigdy nie kwestionowała.

Julia przez jakiś czas zabawiła się, snując rozważania co do osoby pokojówki, aż uświadomiła sobie, że choć mieszka z obiema kobietami od kilku tygodni, nie wie nic ani o jednej, ani o drugiej. Nie zdobyła także żadnych informacji o tajemniczej Sheili Campbell. Wieczorami, podczas gdy pani Ponsonby grała w brydża lub zajmowała majora rozmową, Julia siedziała w holu, czytając lub bez większego entuzjazmu plotkując z którąś ze spokojnych starszych panien, z tych co to można spotkać w każdym hotelu. Jedną z nich, niejaką panną Carpmael, ciągle robiącą dla żołnierzy coś na drutach, nieśmiało okazywała sympatię samotnej dziewczynie.

– Mam nadzieję, że to wspaniałe powietrze wnet panią uzdrowi – powiedziała któregoś wieczoru. – Jest takie ożywiające. Panna pochodzi z Londynu, czy tak?

Julia ostrożnie przyznała jej rację.

- Pewnie musiała panna tam pracować?
- Od zawsze zarabiałam na życie.
- Och tak? Jakie to smutne.

Julia spojrzała na nią zaskoczona. – O wiele smutniej nie mieć możliwości zarabiania na utrzymanie.

– No tak – nie to miałam na myśli. Sama przez wiele lat byłam niezależna. Mój drogi ojciec okazał się taki przewidujący. Obstawiał przy mojej samodzielności, mimo że oznaczało to dla niego konieczność ponownego ożenku.

Nie otrzymałam konkretnego wykształcenia, ale miałam szczęście znaleźć pracę jako guwernantka dla dzieci, no i tym sposobem, rozumie pani, mogłam coś oszczędzić i naprawdę byłam wdzięczna losowi... – Mówiła niezbyt spójnie, gdyż zgubiła akurat oczko. – Cóż, chciałam tylko zauważyć, że w Londynie życie jest takie smutne – ten hałas, duży ruch, opary benzyny – i te wszystkie koty. Tak niebezpieczne dla ptaków.

– Są tam także ludzie – przypomniała jej Julia – poza kotami, oparami benzyny i całą resztą.

– O tak. Następną okropność, nie sądzi pani?

Julia spojrzała na nią ze zdumieniem. – Ma pani ludzi na myśli? Ależ ja ich lubię.

– Ale nie brak ich przecież także gdzie indziej, poza Londynem. Na przykład tutaj. Przepadam wieczorami siedzieć sobie w spokojnym kąciku i obserwować, jak żyją bliźni. Gdyby kiedykolwiek umieszczono mnie w *Who's Who*, oczywiście taka ewentualność nigdy nie zaistnieje – zaśmiała się jak nieśmiała dziewczynka – jako moje hobby powinni podać obserwowanie ludzi. I trzeba przyznać, że w tym hotelu przebywa wiele interesujących osób. Choćby major Gordon.

– Właściwie go nie znam – wyznała Julia. Był brzuchatym, bardzo agresywnym mężczyzną o dużym poczuciu własnej ważności. Z tego co mówiła pani Ponsonby, słabo grał w karty, ale zapewniła sobie jego towarzystwo, gdyż był jednym z niewielu wolnych mężczyzn w hotelu.

– Och, on wiódł wielce awanturniczy tryb życia. W normalnych czasach właśnie łowiłby łososię w Norwegii. Jeździł tam co roku, dopóki wojna mu nie przeszkodziła. Według mnie to bardzo oryginalne. Większość mężczyzn wybiera się po prostu na turystyczne rejsy, czyż nie?

Łowienie łososi w Norwegii? Zastanowiła się Julia. Niezbyt prawdopodobne. Pewnie w zimie udawał się do Weymouth lub Brighton, bywał na morskich paradach, zalecając się do jakiejś ekspedientki. W Rosedale nie było żadnych panien sklepowych, co wyjaśniało łatwy podbój pani Ponsonby. Dostawał o wiele więcej niż dawał, czyli okazjonalną szklaneczkę sherry czy taniego likieru. A jednak pani Ponsonby wydawała się być jedną z tych kobiet, dla których

jakikolwiek mężczyzna jest lepszy niż żaden. No i w końcu nosił mundur.

- Ta pani ciotka – zaczęła panna Carpmael, a Julia przerwała jej ostro:
- Ona nie jest moją ciotką. W ogóle żadną krewną.

Panna Carpmael zrobiła zdumioną minę. – Coś takiego. A ja zrozumiałam z jej słów, że jest panna jej siostrzenicą. Ale może chodzi o jakieś nieformalne więzy. Niezwykle podziwiam jej energię. Za każdym razem, gdy ją widzę, albo pisze listy, albo gdzieś telefonuje. Zapewne zasiada w wielu komitetach i bierze udział w licznych patriotycznych przedsięwzięciach. Niestety, mój niewielki wkład sprowadza się do tego – pomachała w stronę Julii skarpetką w kolorze khaki i pisała skromnie.

Julia uważała ją za głuptaskę; bez wątplenia pełną dobrych intencji i przyjaźnie nastawioną, ale tak czy owak niemądrą. Do tej pory nie połąpała się, że pozwolenie ojca, by zarabiała na swoje utrzymanie, nie wynikało z żadnych altruistycznych powodów. Było oczywiste, że musiała być jedną z tych niezgrabnych dziewcząt o ziemistej cerze, które nawet w wieku siedemnastu lat nie mają w sobie ani odrobiny urody czy wdzięku.

„I gdy tylko wypchną ją z gniazda, ożenił się z kimś młodym i pulchnym – stwierdziła w duchu Julia. – Jednak nie ma sensu jej ignorować. Jeśli pani Ponsonby zauważy, że się zaprzyjaźniłyśmy, na chwilę może przestać mnie obserwować, a biedną pannę Carpmael nietrudno będzie zgubić”. Nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia przeciwko wykorzystaniu tej biednej istoty jako przykrywki. Nawet pani Ponsonby, pomyślała, nie mogłaby podejrzewać schludnej, drobnej starej panny o nieszczerłość.

Obecnie rozważania Julii skupiły się na Londynie. Gdy już znajdzie się w stolicy, może albo pójść wprost do biura Crooka, albo wrócić do pani Mackie; no i oczywiście był jeszcze Colin. Pragnienie ucieczki wybuchło w niej niczym zapalająca się bomba; cała aż płonęła z niecierpliwości. Wiedziała jednak, że nie może popełnić nawet jednego błędu. Choć pani Ponsonby wydawała się mniej ją pilnować, Julia nie była na tyle głupia, by sądzić, że udałoby jej się odejść, nie będąc zatrzymywaną. Obmyśliła więc dokładny plan, w którym panna Carpmael stała się jej nieświadomą współniczką.

Gdy już zdoła przekonać panią Ponsonby, by uznała jej towarzyszkę za

nieszkodliwą, będzie mogła z nią wychodzić do miasta bez nadzoru. Potem bez większego trudu znajdzie pretekst, by się wymknąć i wsiąść do pociągu do Londynu. Rozważała ten pomysł przez kilka dni i nocy, nim spróbowała go zrealizować. Tymczasem niewinny flirt pani Ponsonby z majorem ściągał uśmiechy ze wszystkich stron. Niektóre z długo już mieszkających w hotelu kobiet otwarcie okazywały zazdrość. Najwyraźniej ten nadęty człowieczek był obiektem podziwu kilku dość przejrzałych starych panien, sprawiających wrażenie, jakby otrzymały order za każdym razem, gdy raczył poświęcić im kilka słów. Dla Julii było to żalosne, a także dość niesmaczne. Napełniła ją lękiem myśl, że wszystkie te kobiety były kiedyś młode i jak ona pełne nadziei, i nie wyobrażały sobie dnia, w którym będą siedzieć w hotelowym holu, próbując rywalizować z którąś z sąsiadek.

Może i po mnie było wszystko widać, gdy chodziło o Colina – pomyślała z poczuciem winy.

Panna Carpmael należała do najbardziej gorących admiratorek majora. Jednego popołudnia Julia zeszła na dół, zostawiwszy panią Ponsonby piszącą listy w swoim pokoju, i ujrzała tych dwoje razem w holu. Major rozprawiał na temat wojny.

– Ten Hitler przekona się, że ugryźł więcej, niż zdoła przeżuć – grzmiał. – Fakt, do tej pory nie trafił na poważnego przeciwnika. Te małe europejskie kraiki – Polska, Holandia i tak dalej, nigdy nie miały szansy. Imperium Brytyjskie to już inna para kaloszy.

– Naprawdę pan sądzi, że nas zaatakują? – Panna Carpmael zatrzepotała powiekami.

– Dozna prawdziwego szoku, jeśli tak postąpi. I nie boimy się go. Jesteśmy przygotowani, niech pani mi wierzy.

Major Gordon jako jeden z pierwszych wstąpił do obrony lądowej – z początku nazywano ich Lokalnymi Wolontariuszami Obrony. Utrzymywał, że w tej wojnie nie będą walczyć młodzi, ale goście z pewnym doświadczeniem co do taktyk wroga, tacy jak on, którzy przeżyli ostatnią wojnę i teraz dostali szansę. Dla Julii jego słowa brzmiały, jakby padały z ust kogoś odgrywającego na scenie rolę majora; trudno było dociec, co pani Ponsonby widziała w nim poza mundurem.

Na widok dziewczyny panna Carpmael zrobiła rozczarowaną minę. Najwyraźniej rozkoszowała się tym swoim małym tête-à-tête. Niemniej zapraszająco klepnęła siedzenie stojące obok niej krzesła.

– Proszę tutaj. Naprawdę wygląda pani lepiej. Nie sądzi pan, majorze? Pani Ponsonby – to śmieszne, byłam całkiem pewna, że to panny ciotka – powiedziała, że powinnaś się oszczędzać po ciężkiej chorobie, ale ta cudowna pogoda naprawdę działa ożywczo.

Major nie okazywał najmniejszego zainteresowania Julią. Słyszał o niej od pani Ponsonby, że to jedna z tych męczących młodych kobiet, które dostają ataku hysterii, gdy nie mogą zmusić jakiegoś młodego głupka do zakochania się w nich. Zastanawiał się, czemu sensowna kobieta zawraca sobie głowę taką pannicą. Co do wdowy, miał własną opinię. Wydawała mu się właściwym rodzajem kobiety – rozumiała, że wojna to męska sprawa. Nie przypominała tych innych, jakże licznych niewiast, które pozwolą mężczyźnie mówić przez kilka chwil, a potem przerywają mu i opowiadają, z beznadziejnymi szczegółami, o swych nic nie znaczących, żałosnych wysiłkach. No i była majątna. Szukał takiej kobiety od lat.

– Co robisz dzisiaj po południu, moja droga? – dopytywała się panna Carpmael. – Powinnaś przebywać na dworze, na tym rozkosznym, jasnym słońcu.

– Rozważałam, czyby nie pójść do biblioteki i wymienić książkę – przyznała Julia. – Może mogłabym coś dla pani załatwić?

– No cóż, właściwie to nic. Potrzeba mi więcej włóczki, ale dobieranie odpowiednich odcieni jest sprawą zbyt odpowiedzialną, by kogoś nią obciążać. To naprawdę niezwykle, jak poszczególne motki tego samego koloru, nawet o tym samym numerze, mogą różnić się odcieniem – ciągnęła, wyraźnie zwracając się do majora. – Trzeba bardzo uważać.

Major mruknął coś na temat jakiegoś ważnego listu i przez szklane drzwi wszedł do pokoju korespondencyjnego. Usiadł i zaczął energicznie pisać.

– Jak już wybierasz się do miasta, może poszłybyśmy razem – zaproponowała panna Carpmael. – Ta włóczka będzie mi potrzebna dzisiaj wieczorem. Jeśli wyruszymy zaraz, wrócimy w samą porę na podwieczorek.

– Możemy nawet zjeść go na mieście – zasugerowała Julia, ale panna Carpmael powiedziała od razu: – Och, byłaby szkoda, podwieczorek jest uwzględniony w cenie pobytu.

– Muszę tylko powiadomić panią Ponsonby, gdzie będę – szybko odrzekła Julia i zerwała się z miejsca.

Gdy przedstawiła damie swój zamiar, ta spojrzała na nią uważnie.

– Podoba ci się tutaj, prawda, Sheilo? – zapytała. To znaczy bardziej niż w Beverley, czyż nie?

– O tak – przyznała dziewczyna. – Tutaj mam o wiele więcej swobody i rozmaitych zajęć.

Pani Ponsonby mocno przytrzymała ją za ramię. – Tylko bez żadnych sztuczek – przypomniała. – Nie nadużywaj tej swobody, a będziesz jej miała, ile tylko zechcesz. Ale jeśli okaże się, że urojenia powróciły i znów opowiadasz obcym ludziom dziwaczne historie, będę musiała podjąć pewne kroki.

Julia pomyślała, że dokładnie tak jak ona w tej chwili zapewne czuje się mysz w łapach doświadczonego kota. Czowała, że ma akurat tyle szansy na ucieczkę, co grupa messerschmittów ze spitfireami na ognie. Niemniej, zamierzała podjąć zaplanowany wysiłek, a pierwszy krok należało wykonać jeszcze tego popołudnia. Nadal zachowała banknot jednofuntowy i garść drobnych; rzuciła okiem na rozkład jazdy pociągów i zorientowała się, że stać ją na kupno biletu do Londynu za dziewiętnaście szylingów i cztery pency. Reszta – cztery szylingi – starczą na taksówkę do biura Crooka. Gdy już się tam dostanie, przekaże mu pozostałe sprawy, łącznie z aspektem finansowym. A w bibliotece, gdzie od czasu do czasu chodziły z panią Ponsonby wymieniać książki, mieścił się punkt rezerwacji biletów do teatru, na autobus i na pociąg. W czasie gdy panna Carpmael zajmie się dobieraniem włóczki, pobiegnie sama do biblioteki i kupi bilet. A jutro w jakiś sposób wymknie się na stację. Słyszała, jak pani Ponsonby mówiła o planowanej na następny dzień, po lunchu, przejażdżce z majorem. Być może Sparkes zostanie na czatach; ale jeśli, dalej snuła rozważania, uda mi się umówić z panną Carpmael, być może pani Ponsonby da Sparkes wolne popołudnie, i to będzie moja szansa.

– Nie zrobię nic niemądrego – zapewniła panią Ponsonby.



- No dobrze, to idź. Ale mniemam, że zdążycie na podwieczorek?
- O tak, oczywiście.

Panna Carpmael nadal siedziała w holu, ukradkiem obserwując majora przez szklaną szybę. Na widok Julii wykrzyknęła radośnie:

– Jak błyskawica! Tylko dokończę piętę i już jestem gotowa. – I odwróciwszy głowę, dalej ciągnęła rozważania na temat osoby majora. Stwierdziła, że miło mieć w pobliżu kogoś wykształconego, ani trochę nie przypominającego tak wielu wojskowych, którzy w rozmowie krążą wyłącznie wokół zawodowych spraw. On na przykład przepada za muzyką. Wiele razy tak miło sobie gawędzili. – I – dodała szeptem – zdaje się, naprawdę darzy sentymentem panią Ponsonby; czuję, że to coś poważnego.

– Och, nie sądzę – pocieszyła ją Julia.

– Zawsze uważałam, że takie przypadkowe romanse są niezwykle czarujące – wyznała panna Carpmael. – Ojej, już skończył pisać.

Pospiesznie spojrzała z powrotem na robótkę, a gdy major przechodził obok drobnymi, starannie odmierzanymi kroczkami, rozpromieniona uniosła wzrok.

– Pisał pan list? – zapytała bezmyślnie.

Major na moment pomylił krok, zwolnił i ze słowami: – Tak, oczywiście – wszedł do holu.

Panna Carpmael dokończyła piętę w rekordowo krótkim czasie, wbiła druty w robótkę, powiedziała do Julii: – Jedną chwileczkę, muszę zabrać kapelusz – i pobiegła za odzianą w khaki postacią. Major właśnie odwracał się od biurka w holu, list nadal trzymał w dłoni.

– Właśnie idziemy na spacer – zwierzyła mu się stara panna. – Ta śliczna dziewczyna – taka nieszczęśliwa...

Julia nie usłyszała reszty, ale i tak wystarczyło to, co do niej dotarło. A więc pani Ponsonby także i tu rozповідаła te swoje historyjki. Ale zaraz uznała, że to bez znaczenia. Wszelkie jej nieoczekiwane zachowania można będzie wygodnie wyjaśnić faktem, że była zdecydowanie „dziwna”. Wydało jej się, że major, mijając ją, rzucił jej zaciekawione spojrzenie; prawdopodobnie pani Ponsonby nie marnowała czasu. Julia zaczynała pojmować sens powiedzenia, że zazwyczaj jedyną formą obrony jest atak.

Panna Carpmael zeszła w jednym z tych kapeluszy, jakie zwykle kojarzą się z poczciwymi kobietami z prowincji, okrągłym, z czarnej słomki, z bukietem maków i jaskrów, przybrany mnóstwem delikatnej, pierzastej trawki; szyję owinęła czymś w rodzaju szala z piór, zwanego puchem marabuta, wykończonego jedwabnymi frędzlami; w ręce trzymała płócienne rękawiczki.

Wszystko potoczyło się dokładnie według planu. Panna Carpmael uważnie dobierała kolorystycznie włóczkę i była całkiem zadowolona, gdy Julia poszła sama do biblioteki. A w momencie gdy wreszcie uznała, że udało jej się dokonać doskonałego wyboru, Julia już kupiła bilet i wypytała o popołudniowe godziny odjazdu pociągów do stolicy. Gdy jej starsza towarzysza otworzyła drzwi biblioteki, ujrzała dziewczynę przeglądającą tytuły książek. I natychmiast powiedziała: – Widziałam tu taką słodką powieść, czytałam ją w zeszłym miesiącu. Jestem pewna, że bardzo by ci się spodobała. Zaraz, jaki miała tytuł? O tak. „Przez wzburzone morze”. Naprawdę cudowna. – Ale Julia rozczarowała ją, wybierając „Grona gniewu”.

## 12.

**G**dy Julia i panna Carpmael wróciły do hotelu, właśnie serwowano podwieczorek. Major korzystał z przywileju rozkoszowania się posiłkiem w samotności, zasiadając przy niewielkim stoliku w rogu sali; innych gości rozmieszczono po dwoje i po troje. Na szczęście dla dziewczyny, pani Ponsonby jeszcze nie zeszła.

– Może zjemy razem – zaproponowała panna Carpmael. – Sądzisz, że powinnaś dać znać pani Ponsonby o swoim powrocie? Będzie się niepokoić? O, właśnie idzie, chyba cię szuka.

Dama szybko przemierzyła hol i, łapiąc Julię za ramię, przyciągnęła ją na kanapę obok siebie.

– Gdzie to schowałaś, kochanie? – zapytała od razu.

– Gdzie schowałam... co takiego? – Przez jedną okropną sekundę Julia miała pewność, że ta kobieta widzi wszystko i wie o bilecie kolejowym starannie schowanym w jej torebce.

– Przecież wiesz, moja droga – pani Ponsonby lekko podniosła głos. – No już, powiedz mi. Szukałam wszędzie i nie znalazłam, więc musisz mi powiedzieć.

– Nie rozumiem – wyjąkała Julia. Czowała, że krew odplywa jej z twarzy.

– Och, daj spokój. – Pani Ponsonby zaśmiała się delikatnie; w takich momentach Julia obawiała się jej najbardziej. – To tylko zabawa. Wygrałaś. Musiałaś schować to bardzo przemyślnie, bo szukałam wszędzie i nie znalazłam.

Julia czuła, że panna Carpmael obserwuje ją zaniepokojona i zaskoczona. Pani Ponsonby, zauważywszy to, od razu jęła jej wyjaśniać:

– To taka gra, w którą bawimy się z siostrzenicą – powiedziała. – Ona coś chowa, a ja mam znaleźć.

Mówiła tonem, jakiego używa osoba odpowiedzialna za nedorozwinięte psychicznie dziecko. Cienkie, rybie wargi pani Carpmael wolno się rozchyliły.

– Aha... rozumiem – powiedziała. – Jakie to... zabawne!

– Zwykle kłamstwo – zaprotestowała Julia szeptem. – To wcale nie jest gra.

Ale pani Ponsonby przerwała jej ostro:

– Ależ moja droga, wiesz, że to gra. Gdybyś sądziła inaczej, musiałabym spojrzeć na tę sprawę z innego punktu widzenia, czyż nie? No więc powiedz, gdzie jest mój pierścionek ze szmaragdem?

Julia była tak zaskoczona, że przez chwilę nie potrafiła odpowiedzieć. Jak przez mgłę przypomniała sobie pierścionek, o który chodziło. Pani Ponsonby miała go na palcu tamtego wieczoru, gdy się poznały, ale potem Julia nigdy go już nie widziała.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię – nie ustępowała pani Ponsonby, a Julia, oszołomiona, potrząsnęła głową.

– Ależ wiem, oczywiście. Widziałam go na pani palcu tamtego wieczora na Henriques Square. Nawet pomyślałam sobie, jak bardzo przypomina mój własny.

– Twój? – Wprawdzie okrzyk wydała pani Ponsonby, ale i panna Carpmael sprawiała wrażenie, jakby też coś powiedziała.

– Tyle że mój, oczywiście, miał oczko ze strasu.

– Weź się w garść, Julio – napomniała ją pani Ponsonby, teraz jeszcze ostrzejszym tonem. – O jakim ty pierścionku mówisz?

– O moim, ze sztucznym szmaragdem.

Pani Ponsonby spojrzała na pannę Carpmael. – To urojenie – wyjaśniła. – Nigdy nie było drugiego pierścionka.

– Ależ był – słabo zaprotestowała Julia.

– No to... gdzie jest?

– W mojej walizce.

Pani Ponsonby potrząsnęła głową. – Nie ma go tam, sprawdzałam.

– Nie mówię o walizce w moim pokoju. Mam na myśli moją własną, która tam została i pewnie nigdy już jej nie zobaczę. Był w niej pierścionek, broszka i para bransoletek w komplecie. Kiedyś jubiler powiedział mi, że te sztuczne kamienie mają o wiele ładniejszą barwę od szlachetnych.

Mała dłoń pani Ponsonby mocno zacisnęła się na ramieniu dziewczyny. – No to gdzie on teraz jest – nie, nie twój pierścionek. Mój pierścionek ze szmaragdem, Sheilo? W twojej torebce?

- Ależ nie – Julia odruchowo mocniej przycisnęła torebkę.
- Pozwól, że sprawdzę.
- Mówię pani, nie ma go tam.

Panna Carpmael pochyliła się bliżej i teraz ona delikatnie przytrzymała Julię za ramię.

– Jeśli go tam nie ma, moja droga, to chyba nie przeszkadza ci, że twoja ciotka zajrzy do środka?

Zanim Julia zorientowała się, panna Carpmael już wzięła od niej torebkę i podała starszej kobiecie.

– Robię to z wielką niechęcią – mruknęła przepaszająco pani Ponsonby – ale widzisz, nie mogę ryzykować. Tak długo, jak chodzi tylko o moje rzeczy, no cóż, nie ma to zbytniego znaczenia. Nie żeby pierścionek nie był wartościowy, ale – potrafię zrozumieć. Jednak pewnego dnia może zniknąć przedmiot należący do kogoś innego. Nie należy pozwolić, by tej dziewczynie powinęła się noga. Oczywiście, mogłabym też otrzymać zaświadczenie...

– Nie, to nieprawda – odpowiedziała powoli Julia apatycznym tonem. – Żaden lekarz nie ośmieliłby się zaświadczyć, że jestem obłąkana.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Ale to ma pani na myśli. I próbuje to pani osiągnąć, odkąd zwabiła mnie pod swój dach. Nie miałam ochoty do pani przyjść, zdawałam sobie sprawę, że to niebezpieczne i lepiej dalej głodować, ale byłam głupia, zabrakło mi odwagi, więc zmusiłam się do podjęcia tej decyzji...

Pani Ponsonby wymieniła spojrzenie z panną Carpmael i otworzyła torebkę. Po chwili oświadczyła: – Nie ma go tutaj, ale chyba wiem, gdzie teraz jest. A więc dlatego tak bardzo chciałaś wyjść dzisiaj po południu.

– Nie wiem, o czym pani mówi – wyjąkała Julia.

W odpowiedzi pani Ponsonby wyjęła bilet do Londynu i położyła go sobie na kolanach.

– A to skąd się pojawiło?

– Należy do mnie. Kupiłam za własne pieniądze.

– A skąd je miałaś? Przyznałaś się przecież, że nie dysponujesz żadnymi środkami, a ja nic ci nie dałam – wolałam nie ryzykować. No więc jak zapłaciłaś za bilet?

– Pieniędźmi, które zaoszczędziłam – i ukryłam przed panią! – wybuchła dziewczyna.

Pani Ponsonby potrząsnęła głową. Panna Carpmael także. Julia, przerażona jak zaszcute zwierzę, patrzyła to na jedną, to na drugą. Zbyt późno zorientowała się w czymś, co jak przypuszczała, od samego początku było oczywiste. Ta mała, zasuszona stara panna to jeszcze jedna współniczka pani Ponsonby. Nie dała się nabrać na bibliotekę. Pewnie podpatrywała przez szybę, gdy Julia kupowała bilet, lub znalazła chwilę czasu, by zasięgnąć informacji przy kontuarze, podczas gdy dziewczyna spokojnie wybierała książkę. Tak czy owak straciła swoją szansę. Nie pojedzie do Londynu. Wydawało jej się prawdopodobne, że umrze w tym hotelu Rosedale. Po ostatniej scenie – ta kobieta dopilnowała, by mieć wielu świadków i w holu aż roilo się od zaciekawionych oczu i szeptów – nikt nie zdziwiłby się wieścią, że zaburzona psychicznie dziewczyna popełniła samobójstwo, na przykład przedawkowała proszki nasenne. Niestabilna – tak by to tłumaczyli, a pani Ponsonby zeznałaby w sądzie o dwóch wcześniejszych próbach – skokach z okna i przedstawiłaby Ferrersa i Sparkes jako świadków. I tym sposobem pani Ponsonby osiągnęłaby swój cel. Sprawa była oczywista.

Julia odchyliła się na krześle, całkowicie już zrezygnowana. Pani Ponsonby zabrała bilet, a panna Carpmael wydawała ciche, współczujące odgłosy.

– Jakie to smutne – pisnęła. – I jakaż to dla pani odpowiedzialność. Jeśli mogłabym w czymś pomóc...

Na co pani Ponsonby z fałszywym uśmiechem odrzekła: – Bardzo to uprzejme z pani strony. Gdybym rzeczywiście mogła zwrócić się do pani w razie nagłej potrzeby...

Panna Carpmael, cała rozpromieniona, pospieszyła z zapewnieniem: – O każdej porze – tyle mam wolnego czasu – byłabym bardzo szczęśliwa, mogąc pomóc.

Po tym wszystkim Julię posłano na górę i oświadczone jej, że lepiej będzie, jeśli zje kolację w łóżku. Na dole w holu z przejęciem omawiano tę sprawę.

Wprawdzie nie dysponowano konkretami, ale wydawało się oczywiste, że dziewczyna towarzysząca pani Ponsonby cierpi na kleptomanię – używając dyskretnego określenia. Damy kurczowo przytrzymywały swoje małe, wyszywane torebeczki, jakby obawiały się, że to stworzenie zdoła wyciągnąć im fundusze nawet na odległość; a gdy pani Ponsonby ponownie zeszała na dół, obdarzono ją licznymi, nieśmiałymi uśmiechami i szeptami współczucia. Nie zaspokoila ich ciekawości, a nikt nie miał dość śmiałości, by zapytać ją wprost. Hotelowej społeczności pozostały spekulacje i zakłady, co dla wielu okazało się wielce przyjemnym wypełnieniem czasu aż do wiadomości o dziewiątej. Te nie były radosne – informacje podawane w maju i w pierwszej połowie czerwca miały tendencję wyraźnie przygnębiającą, a po wysłuchaniu przesłania na ten dzień, w formie jeszcze jednej prośby o ocalenie ojczyzny, wiele osób cieszyło się, że mogą przestawić aparat na koncert kabaretowy z północnej części kraju.

Także śniadanie Julia zjadła w łóżku – pani Ponsonby uznała, że tak będzie lepiej – i publicznie nie pokazała się do południa. Zastała panią Ponsonby i majora razem, także z panną Carpmael, przy połączonych stolikach w jadalni i ledwie usiadła, gdy pani Ponsonby zwróciła się do niej: – Czeka cię miła niespodzianka, Sheilo. Panna Carpmael uprzejmie zaproponowała zabrać cię tego popołudnia na przejażdżkę swoim samochodem.

Julia zdziwiła się. Panna Carpmael nie wydawała się osobą, która umiałaby prowadzić samochód, a jeszcze mniej na posiadającą takowy. Raczej można by ją wyobrazić sobie jako pasażerkę, która zawsze zajmuje miejsce z tyłu, popiskując, że jest ono najbardziej korzystne. Wszakże samochód najwyraźniej rzeczywiście istniał, a panna Carpmael uprzejmie zaproponowała zająć się uciążliwą Julią przez całe popołudnie, aby pani Ponsonby mogła spędzić ten czas z fascynującym majorem.

Panna Carpmael uśmiechnęła się głupkowato. – To naprawdę dla mnie przyjemność. I takie to ważne, aby po załamaniu psychicznym przebywać na świeżym powietrzu. – Nie ulegało wątpliwości, że pani Ponsonby udało się sprawić, by ta kobieta jadła jej z ręki. Trudno było sobie wyobrazić, co stara panna chciała na tym zyskać, być może uznała bogatą wdowę za użyteczne towarzystwo. Sama wyglądała na biedną jak mysz kościelna.

Julia beznamiętnym tonem wyraziła zgodę na wszystko, co jej zaproponowano. Wiedziała, że nigdy nie wybaczy panie Carpmael zdrady z poprzedniego popołudnia. A co do Crooka, dał sobie bardzo łatwo pokrzyżować plany; względnie stwierdził, że ta sprawa nie przyniesie mu ani pieniędzy, ani zaszczytów i poświęcił swój czas bardziej obiecującym klientom.

Panna Carpmael jak zwykle marudziła, wycofując auto z hotelowego garażu. Cały czas przez ramię patrzyła do tyłu, dopytując się:

– Jesteś całkiem pewna, że mogę bezpiecznie cofać? – i to mimo lusterka i pracownika hotelu, który nadzorował jej manewry. Majora Gordona omal nie doprowadziła do szału. Okazało się, że nie może ruszyć samochodu pani Ponsonby, dopóki stara panna nie usunie się z drogi; co do Ferrersa, ten miał pozostać na miejscu, gdyż major zasiadł za kierownicą.

Julia zastanawiała się, czy pani Ponsonby rzeczywiście snuje małżeńskie plany. Jeśli tak, mogła przecież znaleźć sobie kogoś bardziej atrakcyjnego od tego tłustego, powołanego z rezerwy majora. Przy kawie dama z ożywieniem szeptała z panną Carpmael, gdy Julię wysłano po kapelusze; stara panna rozpromieniła się, deklarując:

– Oczywiście... naturalnie... doskonale rozumiem. – Julia doszła do rozpaczliwego wniosku, że nawet jeśli udałoby jej się zamordować pannę Carpmael, niewiele by jej to pomogło. Nie umiała prowadzić samochodu, stara panna prawdopodobnie nie miała przy sobie dość pieniędzy na kupno biletu do Londynu, a policja z pewnością by interweniowała i gdyby nawet Julii udało się umknąć spod szubienicy, zamknięto by ją na całe życie, co pod pewnymi względami byłoby jeszcze gorsze.

Panna Carpmael demonstracyjnie okazywała wesołość. Wyraźnie dawała do zrozumienia, że zamierza zapomnieć o incydencie z poprzedniego dnia. Trochę opowiadała o sobie i próbowała skłonić Julię do tego samego. Wreszcie poruszyła temat pani Ponsonby, zachwalając jej piękny samochód i spryt, dzięki któremu zdobywała takie ilości benzyny.

– Zauważyłam, że codziennie gdzieś wyjeżdża – ciągnęła, chichocząc jak stara panna. – Ja natomiast mogę korzystać z samochodu tylko podczas specjalnych okazji.



– Ta przejażdżka to dla pani specjalna okazja? – zapytała Julia lekko drwiącym tonem.

Panna Carpmael energicznie skinęła głową. – Jest naprawdę wyjątkowa – potwierdziła. – Nawet nie wiesz... – Nacisnęła pedał gazu i auto gwałtownie przyspieszyło.

Te słowa i co więcej, ton, jakimi zostały wypowiedziane, sprawiły, że pewna myśl przedarła się przez gąszcz w głowie Julii. Próbowwała ją przegnać, ale myśl z uporem wracała.

O nie – powiedziała sobie – nic z tego. Pewnie o tym ze sobą szeptały. Bo któż mógłby podejrzewać pannę Carpmael, że jest kim innym, niż się wydaje. Gdyby podczas naszej przejażdżki doszło do śmiertelnego wypadku, mogłaby się co najwyżej spotkać z krytyką, z niczym więcej. Sama pani Ponsonby nie zamierzała podejmować ryzyka. Mogłoby to wyglądać dziwnie. Ale panna Carpmael... i zaczęła rozważać, czy być może pani Ponsonby nie ma racji, a ona faktycznie zaczyna wariować i przypadkowo poznane w hotelu stare panny stają się w jej oczach morderczyniami.

„Ale – odezwał się głos w głowie Julii, zimny jak lód i miarowy niczym tykanie zegara – bywa, że morderca przybierze postać starej panny. I nikt niczego by nie podejrzewał. Przeciętny człowiek posiada własne wyobrażenie o osobie mordercy; jawi mu się z kainowym piętnem na czole. Nikt nawet nie przypuszcza, że równie dobrze zbrodniarzem może być przywidła kobieta w średnim wieku, skromnie ubrana w koronkową bieliznę z fiszbinami”. Zmusiła się do podtrzymywania konwersacji. Nie mogła pozwolić pannie Carpmael zorientować się, że została przejrzana. Nawet teraz istniał cień szansy na ucieczkę.

Opuściły hotel o drugiej trzydzięci. Kwadrans po trzeciej dotarły do miasteczka o nazwie Moreton i panna Carpmael podjechała pod piekarnię.

– Za wcześniej na podwieczorek – stwierdziła. – Ale tu mają specjalny rodzaj herbatników z mąki razowej. Wstąpię po nie.

Wysiadła i weszła do sklepu. W środku natychmiast nawiązała rozmowę z właścicielką, a Julia, gorączkowo rozmyślając, rozejrzała się wokół. – To moja szansa, jedyna, jaką kiedykolwiek będę miała. – Nie miała pojęcia, co robi. Zostało jej siedemnaście miedziaków jednopensowych – pani Ponsonby zabrała

srebrne monety – a do stacji miała jeszcze kawałek drogi. Widziała ją po prawej stronie drogi, gdy na chwilę zatrzymały się na szczycie wzgórza. I nagle opuszczając wzrok, dostrzegła na podłodze samochodu mały czerwony portfelik.

Przez moment wpatrywała się w niego, a jakby go wcale nie widziała, jakby nie istniał, był jedynie wytworem jej zmęczonego umysłu. Potem jej mózg znów zaczął pracować z prędkością błyskawicy. Podniosła portfelik i znalazła w nim kilka banknotów, w sumie osiem funtów. Wyjęła trzy – równowartość pięćdziesięciu szylingów – i odrzuciła portfel z powrotem na miejsce. Jeśli panna Carpmael po powrocie do samochodu zorientuje się, że jej wypadł, istniała szansa, że pochyli się, by go podnieść, zanim rozejrzy się za swoją podopieczną. Może nawet zechce przeliczyć zawartość. Julia w jednej chwili otworzyła drzwi samochodu i wydostała się na zewnątrz. Z przystanku kilka jardów przed nią właśnie ruszał tramwaj, z wypisaną z przodu magiczną nazwą: *Dworzec*. Machając jak szalona, wspięła się po stopniach do środka. Następne pięć minut wydawały jej się najdłuższymi w życiu; lada chwila spodziewała się, że wyminie ich mały zielony samochód. Ale cud trwał. Nie pojawiło się żadne auto, tramwaj bezpiecznie zajechał pod stację, a kasjer oświadczył, że za jakieś dziesięć minut dotrze pospieszny do Londynu. Julia kupiła bilet i schowała się w poczekalni przy wejściu na dworzec. Minęła minuta, dwie, trzy. Serce dziewczyny biło tak mocno, że niemal się dławiała; przed oczami miała mgłę; gdy wreszcie w jej uszach rozległ się huk nadjeżdżającego pociągu, poczuła, że ledwo trzyma się na nogach. Pociąg zakrzusił się i stanął. Wsiadło jeszcze kilku innych pasażerów. Julia znalazła całkiem pusty przedział dla palących. Zajęła miejsce w rogu i uniosła gazetę, którą przezornie kupiła, by zasłonić swoją zdradliwie wzruszoną twarz. Gdyby ktoś jeszcze wsiadł do przedziału, prawdopodobnie ujrzałyby w niej tę idiotkę, którą pani Ponsonby tak bardzo chciała z niej uczynić. Do ostatniej sekundy nie mogła uwierzyć w swoje bezpieczeństwo. Zawiadowca podniósł chorągiewkę, rozległ się długi gwizd i pociąg ruszył. Po minucie nabrał prędkości i zniknął w tunelu. Gdy wyłonił się na drugim końcu, w jednym z przedziałów dla palących siedziała dziewczyna w niebieskim kostiumie, bez kapelusza, płacząca tak bardzo, jakby nigdy nie miała przestać.

Między Moreton a Londynem pociąg zatrzymał się tylko dwa razy. Na pierwszym przystanku do przedziału weszły matka z dzieckiem i opiekunką; rzuciły okiem na Julię – ta już wcześniej uspokoiła się i nieco doprowadziła do porządku twarz – i później już nie zwracały na nią uwagi. Na drugim przystanku drzwi otwały na oścież dwie pannice z włosami opadającymi im na ramiona. Zignorowały Julię, matkę, niańkę i dziecko. Trajkotały, rzucając w zaufaniu uwagi ograniczające się do: – No to ja mu na to... – W Londynie wszystkie pasażerki wysiadły z największym pośpiechem. Gdyby Julia była zbiegłą mordczynią, a je poproszono, by ją opisały, żadna nie umiałaby podać choćby jednego użytecznego dla policji szczegółu. Tak zwykle bywa w przypadku osób razem podróżujących pociągiem, ale większość zbrodniarzy za bardzo przejmuje się własną osobą, by to pojąć. Gdyby było inaczej (tak twierdzi Crook), niewielu by złapano.

Paddington nie jest najpiękniejszym dworcem w Anglii, ale dla Julii jawił się niczym Raj, który już nie mógłby prezentować się bardziej bosko. Poczekała, aż pozostali pasażerowie wysiądą, potem wyskoczyła na peron i ruszyła w stronę budki telefonicznej. Uświadomiła sobie, że nie zna adresu Crooka. W książce widnieli tylko dwaj o imieniu Arthur, a że jeden mieszkał w Leytonstone, nie miała wiele kłopotu z odnalezieniem prawnika. Po minucie już znajdowała się poza stacją, siedziała w taksówce. Nawet wtedy ledwie miała odwagę oddychać, dopóki nie zajechali pod podany adres w Bloomsbury. Według zamieszczonej w holu listy nazwisk Crook mieszkał na samej górze budynku; drzwi windy opatrzone informacją: „Winda nie działa”; szerokie, kamienne schody zakręcały w górę w ciemności. Przytrzymując się poręczy, Julia ruszyła nimi.

Dopiero gdy dochodziła na miejsce, przyszło jej do głowy, że Crook mógł gdzieś wyjść na cały dzień. Było nieco po szóstej, a z tego, co wiedziała, prawnicy prowadzili tryb życia podobny temu, jaki wiedli ludzie wolnych zawodów. Często dopiero o dziesiątej wieczorem Crook gasił światła i schodził na dół poszukać gdzieś kolacji. Była jego ulubionym posiłkiem; utrzymywał, że zdobywa sobie więcej klientów między dziesiątą a północą, niż większość prawników w czasie dnia. Julia nerwowo zapukała do drzwi oznaczonych nazwiskiem Crooka i natychmiast usłyszała zaproszenie do środka. Weszła do małego

pokoiku i znalazła się twarzą w twarz z wysokim, zniszczonym mężczyzną, którego przystojną twarz zniekształcała blizna po niehonorowo otrzymanej ranie, lekko utykającym. Nie okazał zaskoczenia na jej widok.

– Panna Ross? – zapytał, zanim zdążyła otworzyć usta. – Pan Crook oczekuje pani – i wskazał na drzwi po lewej stronie.

Julia była tak zaskoczona przyjęciem, że przez chwilę stała nieruchomo. Wysoki mężczyzna wykonał kilka kroków.

– On ma tam dla panienki coś do picia – rzucił zachęcająco. – Uznał, że może panna potrzebować czegoś mocniejszego.

Julia, z szumem w głowie, jak niewidoma przeszła we wskazanym kierunku. Gdy otworzyła drugie drzwi, ujrzała przysadzistą, zadziorną postać, którą ostatnio widziała w ciemnym domu o nazwie Beverley. Gdy wchodziła, Crook podniósł się z miejsca.

– Pociąg najwyraźniej przyjechał punktualnie co do minuty – zauważył. – No cóż, kurtyna opada po pierwszym akcie. Obiecuję panie, że drugi nie będzie nudny. Nosi tytuł: „Crook na wojennej ścieżce”.

Julia musiała wciąż wyglądać na oszołomioną, gdyż przyciągnął krzesło, wyjął butelkę i kieliszki.

– Myślała już panna, gdzie zatrzyma się na noc? – zapytał mimochodem.

Julia usiadła. – Skąd pan wiedział o moim przyjeździe? – zapytała słabym głosem.

Crook uniósł ze stołu telegram. – To przyszło zaraz potem, jak opuściła panna Moreton.

Julia wzięła od niego kartkę. Widniało na niej:

„Przyjeżdża do Londynu o 5.59. Carpmael”.

## 13.

Crook lekko pchnął Julię na krzesło; potem powrócił do biurka i napełnił szklaneczkę mocnym alkoholem.

Ze słowami: – Proszę wypić – podsunął to wstrząsanej dreszczami postaci. – Niech mi panna wierzy, nim doprowadzimy sprawę do końca, będziesz jeszcze potrzebowała czegoś na wzmocnienie.

Julia umoczyła wargi. Whisky, nie znosiła jej. Właśnie miała to powiedzieć, gdy dostrzegła minę Crooka i zmieniła zdanie. Czuła się nadal zbyt zagubiona, niezdolna do uporządkowania elementów niezwyklej sytuacji, w której się znalazła.

– No i jak, poszło? – zapytał Crook z uśmiechem. – Jeśli panienska skończyła, proszę mi oddać szklaneczkę. W końcu nie przebywa panna w arystokratycznym towarzystwie, gdzie szkło rzuca się za siebie, by nikt inny nie miał okazji go użyć. Poczuela się panna lepiej? No to proszę opowiedzieć nam swoją historię.

– Ależ ja nie mam nic do opowiedzenia – zaprotestowała. – Po prostu dostrzegłam szansę i przyjechałam do stolicy. To pańska kolej na przedstawienie faktów.

– Mógłbyś to zanotować, Bill – stwierdził z powagą Crook – a potem dać jej do podpisania. Nie wydaje mi się, bym jeszcze kiedykolwiek usłyszał podobne słowa padające z ust kobiety. A przy okazji – zwrócił się do zaskoczonej Julii – to Bill Parsons, moja prawa ręka. Zna zaułki prawa równie dobrze jak jego oficjalną fasadę, a to użyteczna umiejętność dla kogoś w moim zawodzie.

Znaczenie jego słów w większości do niej nie dotarło, a gdy dodał, ponownie się uśmiechając, że anioły zapewne chichoczą, widząc Billa pracującego na rzecz sprawiedliwości, uśmiechnęła się uprzejmie, ale wciąż bez zrozumienia.

– Wie pani, co mówi się o neofitach – ciągnął wyjaśniająco Crook. – Bardziej gorliwi od urodzonych w wierze. W całym Yardzie nie znajdzie pani człowieka, który by goręcej pragnął dość prawdy niż mój przyjaciel Bill.

Mężczyźni wymienili między sobą uśmiechy. Julia zaczynała odczuwać irytację. Traktują mnie jak dziecko, pomyślała. Niemniej po tym, co jej się przydarzyło, mimo niecodziennej powierzchowności i obcesowych manier Crooka, nie wątpiła w jego uczciwość. To znaczy, wobec niej. Kierował się własnym kodeksem prawnej etyki i bardzo wielu ludzi, których los zawahał się między wolnością a czterdnastoma latami ciężkich robót, miało powód, by być mu za to wdzięcznym.

– Wciąż nic nie rozumiem – pożałowała się. – Kim jest panna Carpmael?

Crook machnął swą dużą, pokrytą piegami dłońią. – Po prostu częścią usług świadczonych przez Crooka – oznajmił. – Niezła komediowa aktoreczka, która poniosła klęskę, gdy zachciało jej się grywać damy. Choć i tak miała więcej szczęścia, niż gdyby trzymała się sceny. Czy pomyślała panienka kiedykolwiek o spróbowaniu swych sił w tym zawodzie?

Julia potrząsnęła głową. – Nie byłabym dobra.

Crook klepnął się dłońią w czoło. – To już zaczyna przechodzić moją wytrzymałość, Bill. Musi tkwić w tym jakiś haczyk. Szczera kobieta to coś dla mnie całkowicie nowego!

Julia z trudem pozbierała myśli. – A więc panna Carpmael wcale nie była, jak sądziłam, współpracowniczką pani Ponsonby?

– Jeśli kiedykolwiek weźmie się panna za szpiegowanie, proszę się na niej wzorować – poradził Crook. – Wojny nie wygrywa się brutalną siłą, nawet tą mechaniczną. Należy przeniknąć bezpośrednio do obozu wroga. Niech panna zapyta Holendrów. I Francuzów. Najsprytniejszym posunięciem Hitlera było nie wyprodukowanie armii czołgów, ale stworzenie piątej kolumny. O tak, panna Carpmael zna się na rzeczy. Trzeba jej to przyznać. Od dawna miała oko na tę damę. Wyśledziło ją także wielu innych, co pani Ponsonby z wolna zaczyna sobie uświadamiać.

– Kim są ci inni?

– Choćby Sheila Campbell.

– Sheila Campbell!

– Prawdę mówiąc, nie wiem, czy miała panna rację, uznając, iż nie byłaby dobra na scenie. Ta modulacja głosu nieźle pannie wyszła. Tak, chodzi o Sheilę Campbell – biedna dziewczyna...

– To znaczy... ona nie żyje?

– Jak powie pani Bill, ja obstawiam wyłącznie pewniaki, jednak jestem gotów zaryzykować moją reputację, która dla mnie więcej znaczy niż klejnoty koronne, że ona już nie zapuka do moich drzwi. Widzi pani, sprawa miała się następująco: ona albo pani Ponsonby i ta druga rozsądnie postawiła na swoje życie.

– Ale czego Sheila Campbell szukała u pani Ponsonby? Pewnie chodziło o pieniądze...

– Tak też można by to ująć. Ale... hej, czy to nie dzwonek? Pewnie przybył nasz człowiek.

Bill Parsons wybiegł na korytarz i po chwili wrócił z wysokim, młodym mężczyzną o jasnych włosach, których kosmyk opadał mu na oko.

– Colin! – krzyknęła z niedowierzaniem Julia i zaczęła podnosić się z miejsca.

Colin ukłonił się po przyjacielsku i zaraz przyjął zaproponowanego przez Crooka drinka.

– A więc udało ci się przybyć tu bezpiecznie. Jak opuściłaś naszą przyjaciółkę?

– To znaczy kogo?

– Tę zmorę wywiadu.

Doznała olśnienia. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że pani Ponsonby jest szpiegiem?

– Strasznie powoli dociera do tej dziewczyny – wykrzywił się Crook. – Podążaj za tą nicią, kochana, nie wypuść jej.

– Ale to nie wydaje się możliwe. To znaczy, ona na taką nie wygląda.

– Szpiegdy niekoniecznie muszą być replikami Maty Hari – uświadomił jej łagodnie Colin. – Tak, ona jest szpiegiem, a Sheila Campbell wpadła na jej ślad. I pani Ponsonby skapowała się, a tym samym – koniec z Sheilą Campbell.

– Ona dobrze orientowała się, że wy wiecie o Sheili Campbell i pozorowała, że to niby ja nią jestem, więc gdybym umarła lub zwariowała, można by

rzecz sensownie wytłumaczyć i nikt nie martwiłby się o prawdziwą Sheilę...

– Ależ to długo trwało! – przerwał jej Crook. – Wreszcie zaczyna panna pojmować sedno całej tej sprawy.

– Rzeczywiście, powoli – przyznała Julia. – Tylko na co jej była druga Sheila ? Nie mogła po prostu ogłosić, że ta pierwsza od niej odeszła?

– To nie takie proste – włączył się Colin. – Do wybuchu wojny Sheila Campbell przebywała za granicą, pracując na rzecz wywiadu. Do wroga przenikały różne informacje kanałami, których nie mogliśmy wyśledzić. Wreszcie udało się to Sheili. Pani Ponsonby prowadziła dom otwarty przy Henriques Square i zauważono, że wciąż daje ogłoszenia, poszukując służby z zapewnieniem, że przyjmie uchodźców. No cóż, rzecz sama w sobie niekoniecznie podejrzana, tyle że nigdy nie przyjęto do pracy żadnego uchodźcy. Jedynymi służącymi pozostała para małżeńska, w każdym razie za taką tych dwoje ogólnie uważano, a ci się nie zmieniali. A jednak uchodźcy wciąż pojawiali się u pani Ponsonby, a ta przyjmowała ich, twierdząc równocześnie, że nie może znaleźć służby. Tak to się toczyło; w końcu Sheili udało się dostać do tego domu, udając, że także jest szpiegiem. Znała kilka języków i dysponowała sporą ilością informacji cennych dla pani Ponsonby. Ryzykowała bardzo dużo, gdyż moment, w którym by ją przejrano, dla niej oznaczał koniec. Wiedziała o tym. Do tego sama jedna miała do czynienia z trójką przeciwników, gdyż małżeństwo służących oczywiście także w tym tkwiło. No cóż, szczęście jej nie dopisało. Nigdy nie jest bezpiecznie na nie stawiać, ale też mogli ją podejrzewać od samego początku. I w tej pokerowej rozgrywce Sheila przegrała. Oczywiście musieli ją wyeliminować.

– I co zrobili? – zapytała ledwie słyszalnym głosem Julia.

– Tego jeszcze nie wiemy.

– To pewnie jedna z tych rzeczy, które pani Ponsonby musiała mieć na myśli, instruując Petersa: „Zapamiętaj wszystkie moje polecenia”. Czy to możliwe, że gdy poszłam do pani Ponsonby, Sheila wciąż tam była?

– Owszem – przyznał Crook – całkiem prawdopodobne.

– A teraz?

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć – powiedział Colin. Był bardzo blady.



- My?
- Oczywiście – potwierdził Crook. – Chyba nie odmówiłaby panna po tym, co dla niej uczyniliśmy. To zresztą rola prawdziwie kobieca – dodał.
- I diabelnie niebezpieczna – wtrącił się Colin. – Zdajesz sobie sprawę, że kobieta, która zamordowała jedną dziewczynę, nie okaże przesadnej delikatności w stosunku do drugiej. Doskonale wie, że podejrzewamy morderstwo, nawet jeśli jeszcze nie możemy go dowieść.
- Ale po jakie лихо w ogóle mnie zaangażowała? – zdziwiła się Julia. – Czemu nie wystarczyło mówić innym, że jej sekretarka odeszła po bardzo krótkim uprzedzeniu? Tak tę sprawę mi przedstawiła – że tamta odeszła, by pielęgnować chorą matkę.
- Najwyraźniej wiadomość, że pani P. ma sekretarkę, jakoś wyszła na jaw. Ktoś chyba natknął się w holu na tę dziewczynę i telefonując kilka dni później, by zaprosić to monstrum na lunch, wspomniał o niej: „Proszę przyprowadzić ze sobą tę śliczną sekretarkę”. Na co pani Ponsonby automatycznie zareagowała, stwierdzając, że piękna sekretarka ma grypę i doktor nie pozwala jej wychodzić z domu. A tak naprawdę żaden lekarz nigdy nie złożył tam wizyty. No cóż, samo to sugeruje, że dziewczynę zamordowano. A po popełnieniu pierwszego błędu, pani Ponsonby miała związane ręce. Och, cóż to za skomplikowaną pajęczynę tkamy tak bez końca. Nie mogła powiedzieć, że dziewczyna odeszła, bo w miejscu takim jak Henriques Square zawsze można podobną rzecz potwierdzić. Gdyby zaczęto zadawać pytania, mogłoby wydać się dziwnym, że żadna taksówka nie zabrała jej bagażu i w ogóle nie widziano, by z domu wynoszono jakieś walizki. Poza tym, aby plany tej damy się powiodły, Sheila Campbell musiała umrzeć w absolutnie legalny sposób. A to wymagało znalezienia jej zastępczyni – i padło na ciebie.
- Nic dziwnego, że zadawała mi tyle dziwnych pytań o krewnych i o plany małżeńskie. Pewnie uznała, że idealnie się nadają. Ciekawe, czy Sheila Campbell w ogóle była do mnie podobna.
- Nasza pani P. nie zamierzała więcej ryzykować – stwierdził z przekonaniem Crook. – Już następnego dnia wywiozła pannę z dala od ludzkiego widoku. Według mnie tamtej znajomej powiedziała, że polecono pani odpoczynek po chorobie – lub co bardziej prawdopodobne, już z góry przygotowała tę

wersję, na wypadek pytań. W każdym razie zamierzała dobrze wykorzystać sytuację. Wie pani – ciągnął dalej rozważania – ta kobieta miała pecha. Trzeba jej przyznać, starała się jak mogła, ale karty były przeciwko niej. Twój telefon tamtej nocy – zwrócił się do Colina – musiał nieźle ją wystraszyć. To było ostrzeżenie – uświadomiła sobie, że już nie ma za dużo czasu... – Zwrócił się do Billa Parsonsa. – Co jest, Bill? Oszczędzasz resztę piwa na kąpiel?

Bill napełnił trzy kufle i Crook z wdziękiem podniósł swój do ust. Gdy go odstawił, naczynie było puste.

– Wiecie, kogo uważają za najlepszych wywiadowców? – zapytał swoje audytorium. – Chłopaków od pługa, zbyt mało rozgarniętych, by czegokolwiek się nauczyć. Bo to oznacza, że nie muszą niczego się oduczać. To ci rozgarnięci pakują się w tarapaty. Tak bardzo chcą osiągnąć cel, że sami podrzucają tropy i przekupują świadków, a tymczasem, gdyby normalnie wykorzystali okazję, mogłoby im się udać. Na przykład, czemu pani Ponsonby zabrakło ikry, by po prostu oświadczyć, że panna Campbell odeszła, wystawiając ją do wiatru? Jej przyjaciółce zapewne przyszłoby do głowy, że sekretarka nie wytrzymała na tej posadzie, lecz jakie miałyby to znaczenie? Ale pani P. prawdopodobnie już widziała oczami wyobraźni policjantów deptających jej po piętach, przesłuchujących współników, wypytujących taksówkarzy, umieszczających zawiadomienia w gazetach...

– Musisz przyznać, że znalazłaby się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji, gdyby cokolwiek z tego, o czym wspomniałeś, miało miejsce – zaprotestował Colin.

– To coś nowego. Czyżby w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych przyszła moda na troskę o te drobne ptaszki? – odpalił Crook. – Wszakże nie mnie się skarżyć. Gdyby nie te druzgocące błędy, goście tacy jak ja wnet straciliby zajęcie. Ludzie gadają, jak to prawnicy i adwokaci doprowadzają kryminalistów pod szubienicę; to wcale nie tak. Każdy z tych skazanych własnoręcznie podpisuje na siebie wyrok śmierci. O ileż częściej mielibyśmy do czynienia z przypadkami zbrodni doskonałej, gdyby taki jegomość po prostu zadźgał lub udusił swoją ofiarę, a potem dalej zachowywał się jakby nigdy nic. On jednak, tak bardzo starając się, by go nie złapano, zostawia wyraźny ślad wiodący do jego

nory... Ale dość tych pogaduszek. Musimy działać, i to nader szybko. Wiecie, jaka jest ta dama – nie cofnie się przed niczym. Gdy panna Carpmael wróci do hotelu, co na pewno już się stało, i opowie, jak ją przechytrzyłaś, podniesie się rwetes nie do opisania.

– Sugeruje pan – wtrąciła się Julia – że ona może nabrać podejrzeń wobec panny Carpmael?

Crook wyraźnie do niej mrugnął. – Być może, Sherlocku Holmesie, być może.

– Dlaczego więc panna Carpmael nie przyjechała do stolicy tym samym pociągiem co ja i nie oszczędziła sobie tych wszystkich kłopotów?

Crook wbił w nią wzrok. Bill także. I Colin. Pierwszy odezwał się Crook: – Ja się zdumiałem, on się zdumiał, wszyscy trzej jesteście zdumieni. Przekonuje mnie panna, że jest dziewczyną myślącą, a następnie serwuje mi coś takiego? Przecież ta dama ma zadanie do wykonania, nieprawdaż? Panna Julia Ross nie jest jedynym kamyczkiem na narodowej plaży, co to, to nie, i proszę o tym nie zapominać.

Julia zaczerwieniła się ze złości. – Chce pan powiedzieć, że ona nadal śledzi panią Ponsonby? No tak, ja przecież zaplątałam się w tę sprawę przypadkiem.

– Już dobrze! – Crook przybrał przyjazny wyraz twarzy. – To właśnie te oddzielne przypadki tworzą historię.

Tu wtrącił się Colin: – Po prawdzie, Julio, uczciwie przyznając, chwilowo zgubiliśmy jej ślad. To twój list do pani Mackie z powrotem nas do niej zaprowadził. Widzisz, do tej pory nie mieliśmy pojęcia, co stało się z Sheilą. Gdy dostarczyłaś nam wskazówkę, mogliśmy zadziałać od razu. Teraz musimy odnaleźć Sheilę Campbell.

– I ja mogę pomóc?

– W tym momencie jesteś jedyną osobą, która może coś zrobić. Widzisz, prawdopodobnie tylko jeden człowiek w Londynie wie, gdzie ona się znajduje, a tylko ty jesteś w stanie nam go wskazać.

– Peters! – krzyknęła Julia.

– Właśnie.

– Ale nie wiecie, czy on nadal przebywa w Londynie.

– Założyłbym się, że tu jeszcze jest. Oczywiście, utrzymuje kontakt z panią Ponsonby, działają ręka w rękę. Nie możemy wiele zrobić, dopóki go nie dopadniemy. I tu zaczyna się twoja rola.

Julia zastanawiała się przez chwilę. – To znaczy, że mam być... jak to nazywają? Przynętą.

– Dziewczyna zaczyna pojmuwać – wykrzyknął Crook z aprobatą.

– Ale dlaczego nie pójdziecie na policję? – zasugerowała całkiem rozsądnie.

– Policja? – Trzej mężczyźni zareagowali do tego stopnia równocześnie, że ich głosy zabrzmiały jak śpiew doświadczonego chóru.

Colin wyjaśnił sytuację. – Nie chcemy, dopóki to możliwe, włączać w tę sprawę policji – powiedział. – Pani Ponsonby na niewiele by się przydała w więziennej celi. Przypuszczamy, że jest kimś ważnym, i wiemy, że ma współników. Sparkes i Peters to już dwoje; mogą być także inni. Panna Carpmael ma oko na obie kobiety, ale my chcemy też dopaść Petersa. To dla ciebie wielka szansa, jeśli potrafisz spojrzeć na rzecz z tej perspektywy.

Julia wciągnęła powietrze. Po ucieczce od pani Ponsonby miała nadzieję nacieszyć się swym bezpieczeństwem, ale gdy oczy Colina wpatrywały się w nią tak gorliwie i tak ufnie, tylko jedna odpowiedź wydawała się możliwa.

– Oczywiście, tak właśnie na to patrzę. Powiecie mi, co mam robić, i jeśli tylko potrafię, uczynię to.

– Byłabyś doskonała do tego zadania – z powagą oznajmił Colin. – Ale nie możemy cię zmusić. To będzie dla ciebie diabelnie niebezpieczne.

Ni stąd, ni zowąd Julia wybuchła śmiechem. – Właśnie też coś sobie uświadomiłam.

– Co takiego?

– Jak wiele różni zgotowane nam niebezpieczeństwo, od tego, na które się zdecydowaliśmy. Poza tym, nie będę teraz sama.

– Dobra dziewczynka – pochwalił ją Colin, ale Crook zrobił nadąsaną minę.

– Nie byłaś panna w tym sama już od dłuższego czasu – powiedział z naciskiem. – Miałaś moje wsparcie, a czego mogłabyś chcieć więcej?

## 14.

**P**o chwili przed Julią zaczęły zarysowywać się pewne praktyczne obiekcje.

– W kwestii Petersa – powiedziała. – Utrzymujecie, że mogę wam pomóc go odnaleźć, ale tak jak i wy nic nie wiem o ewentualnym miejscu jego pobytu. Jak mam zacząć go szukać?

– Ty, bynajmniej, kochaniutka. – Crook odzyskał swój niewzruszony spokój. – Po prostu dasz znaleźć się jemu.

– Rozumiem. Choć może nie całkiem?

– Z pewnością rozumiesz – pocieszył ją pogodnie Crook. – Jutro – najpóźniej pojutrze – Peters dowie się, że zerwałaś więzy łączące cię z panią Ponsonby i otrzyma instrukcje, mniej więcej te same jak wtedy, gdy chodziło o tamtą biedaczkę. Oczywiście, nie będzie mógł nic zrobić, póki panny nie znajdzie. Pani Ponsonby domyśli się, że pojechałaś do Londynu, niczym powracający do domu gołąb, ale stolica to dość duże miejsce. Mogłabyś przez miesiąc ukrywać się w schronie przeciwlotniczym i nadal niczego więcej nie dowiedzielibyśmy się. Musisz więc stać się tak widoczna, na ile to możliwe. Co nie powinno sprawić zbytnich trudności.

– Chce pan powiedzieć, że on nie powinien się domyśleć, że nie jestem sama.

– Chciałem powiedzieć, że będziesz panna sama. To konieczne ryzyko. Tyle że nie będziemy zbyt daleko.

– O tak – powiedziała z bladym uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie za daleko. – Próbowwała przybrać obojętną, profesjonalną minę, w duchu jednak zrodziły jej się wątpliwości, czy rzeczywiście nadaje się na bohaterkę. W wyobraźni widziała się znowu w szponach pani Ponsonby i jej bandy, a tym razem, nie wątpiła, nie mogła liczyć na litość. Ci ludzie niemal na pewno zamordowali Sheilę Campbell i raczej nie zawahają się przed drugim morderstwem.

Unosząc wzrok, zauważyła, że Colin patrzy na nią z przejęciem; poczuła na ręce ciepły uścisk jego dłoni.

– Nie prosilibyśmy cię o coś takiego – zaapelował do niej – po prostu jesteś nie do zastąpienia. Nie mamy nikogo innego.

– Jak już to ustaliliśmy, może wymienimy poglądy na temat miejsca pobytu zaginionej damy. Oczywiście, gdy już ją znajdziemy, nie będzie się nadawała do przebywania w żadnym królestwie, poza niebieskim – za co dałbym głowę – ale również dopóki to się nie stanie, nie możemy liczyć na złapanie całej szajki, a nie zniósłbym utraty rodowego motto. – Pochwycił wzrok Julii i mrugnął do niej. Przypomniała sobie tę arogancką, niską postać stojącą w drzwiach Beverley. Crook zawsze osiąga cel, tak wtedy powiedział. Wierzyła, że tak jest, ale równocześnie zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę ten człowiek nie dba o to, ilu innych narazi na utratę życia, byle tylko odniósł sukces.

– Sądzicie, że ona może jeszcze być w tamtym domu? – zapytała z powątpiewaniem.

– Jesteś panna nowa w tej grze – zareagował dobrodusznie Crook. – Pozostawianie zwłok w niezamieszkałych lokalach bywa niebezpieczne. Można sobie napytać kłopotu. Nigdy nie wiadomo, komu przyjdzie do głowy, by się włamać – albo ten Adolf od Armageddonu zainscenizuje fałszywy nalot i przypadkiem łupnie akurat w ten dom – względnie znudzonym policjantom zachce się zajrzeć do środka. Nikt nie przejawia więcej ciekawości niż porządny obywatel, a policjanci należą do najporządniejszych w kraju. – Zarechotał prostacko. – Niech mi panna uwierzy na słowo. Albo zapyta Billa. On powie to samo co ja.

Bill prawie nie odzywał się od początku narady. Posiadał niezwykły talent do milczenia i prawdopodobnie był najbardziej niebezpiecznym osobnikiem z całej trójki.

– Tak czy owak – ciągnął Crook – podczas wojny tylko ktoś kwalifikujący się na głupka pozostawiłby trupa w całym opuszczonym domu. Władze mają obecnie o wiele więcej możliwości niż przed dwunastoma miesiącami. Mogą nachodzić właścicieli czy lokatorów w sprawie uciekinierów, ewakuowanych, a nawet wojsk, a wiesz, jacy są ludzie. Jeśli otworzą kredens i

wypadnie z niego trup, zamieszanie, jakie z tego wyniknie, nie będzie zbyt korzystne dla osobnika, który zostawił ciało. Poza tym, byłoby to wręcz niechlujne. Ja nie lubię takich nie uporządkowanych detali i każdy sprytny przestępca, a zwłaszcza morderca, czuje podobnie.

– To dlaczego nie pozostawili mebli na miejscu? – całkiem sensownie zapytała Julia. – Peters mógł zachowywać pozory jako rzekomy dozorca. Nikt nie próbowałby zająć domu, gdyby oświadczył, że właściciele wyjechali tylko na wakacje i wrócą za tydzień lub dwa.

– Tyle że to by już nie załatwiło sprawy. Owszem, wystarczyłoby, ale wciągnęłaś w to, panienko, swojego przyjaciela. Bo kto w ogóle zwróciłby uwagę na Petersa? Jak panna go opisałaś? Przypomina białego lisa. No cóż, ośmielał się stwierdzić, że jest takich więcej. Ale z chwilą gdy władze się nim zainteresowały, nie byłoby dla niego bezpiecznie opuszczać swoją norę. Musiał się przyczaić, a nie mieli kogo umieścić w domu, to znaczy na tak długo, dopóki było tam ciało. A więc należało go opróżnić. I jeśli przechowywali tam zwłoki, co bardzo prawdopodobne, nimi też musieli się zająć.

Julia spojrzała na niego z przerażeniem. – Chce pan powiedzieć, że ciało może znajdować się w jakimś magazynie, w szafie czy w podobnym meblu?

– Być może, jednak, widzi panna, nie twierdzę, że tak jest. Tyle że obecnie, w czasie wojny, ilość możliwych kryjówek znacznie zmalała. Niech no sama panna pomyśli. Nie tak łatwo pozbyć się ciała, jak sądzą amatorzy. W prawdziwym życiu mordercy nie dysponują wiązką śmiercionośnych promieni ani nie wrzucają ciał do specjalnych pojemników z kwasem... Konieczne staje się wymyślenie prostszej metody. A tych nie ma tak wiele, jak mogłabyś panna sądzić. Na tyłach ogrodu tamtego domu nie płynie rzeka, do której Peters mógłby po zmroku wrzucić trupa – a nawet gdyby było to możliwe, ciało wypłynęłoby gdzieś na powierzchnię i wzbudziło zainteresowanie władz. Peters nie mieszka w pobliżu kanału pełnego węgorki, jak ten gość w kryminale, który kiedyś czytałem; nie ma tam też ogrodu nadającego się na pochówek – sam żwir, zresztą ciekawscy sąsiedzi, gdy po kolacji wyjrzą przez okno i zobaczą gościa chowającego ciało w ziemi, zaczną o tym plotkować. Swoboda działania skończyła się z chwilą, gdy policja dostała cynk, a tak się właśnie stało.

Spalenie ciała nie jest łatwe i trzeba mieć do tego mocne nerwy plus solidną medyczną wiedzę, by poćwiartować je nożem do szynki, kawałeczek tu, kawałeczek tam. Z powodu IRA nie można nawet wstawić paczki do kolejowej przechowalni, by jej najpierw nie otwarli i nie zbadali zawartości... Poza tym Peters musiał liczyć się z czasem. Im wcześniej opuścił tamten dom, tym lepiej dla niego. A ponieważ doszliśmy do zgodnego wniosku, że tam nie mógł zostawić zwłok, musiał je jakoś zabrać ze sobą.

– No tak – sapnęła Julia. – Zaczynam rozumieć. Pamiętacie słowa Chestertona o mądrych ludziach i listku? Twierdził, że ukryłby go w lesie, między tysiącem innych liści. W tym wypadku oczywiście najlepszym miejscem byłaby kostnica...

– Teraz to już panienska daje się ponieść fantazji – zaproponował Crook. – Nie, trzymajmy się tej przechowalni mebli. Przy odrobinie szczęścia nikt nie otworzy kredensu, dopóki ciało nie zmieni się nie do rozpoznania. Oczywiście na to liczą.

Tak, pomyślała Julia, a następne może być moje i pani Ponsonby dopilnuje, by go nie znaleziono, dopóki nikt już nie będzie mógł mnie rozpoznać – cóż za radosna perspektywa. Odezwała się niepewnie: – Przecież ludziom, którzy wynosili meble, jakaś szafka czy cokolwiek innego mogło wydać się ciężkie ponad miarę.

– Jak panna myślisz, za co im zapłacono? Mieli przenieść meble i nie zadawać pytań. Zresztą, statystycznie biorąc, liczba ciał znajdujących w szafach nie stanowi nawet pół procenta. Przeciwnie, pomysł był doskonały i gdyby nie panna, zapewne by wypalił. Nie można wykonywać takiego zawodu jak pani Ponsonby bez brania pod uwagę ryzyka, a jestem pewien, że dla niej ta gra jest warta świeczki.

– I oczywiście – wtrącił zdawkowo Colin – to nie musi być akurat szafa.

Z jakiegoś powodu, niezrozumiałego dla trójki mężczyzn, te słowa nagle przyprawiły Julię o gwałtowne dreszcze; trzęsła się tak, jakby zaraz miała rozpaść się na drobne kawałki.

Gdy wreszcie przemówiła, jej głos wydał się obcy nawet dla niej samej. – Czy to mogła być... otomana? – szepnęła.



Crook spojrział na nią zdziwiony, że tyle emocji spowodowała tak błaha sprawa.

– Cóż, owszem. A nawet stanowiłaby o wiele lepszą kryjówkę, zakładając, że mieli taki mebel pod ręką. Zapakować kanapę rzeczami kobiety, a w nich umieścić jej ciało, opatulone jak mumia... cóż znowu?

Julia zakryła dłońmi oczy i potrząsała głową.

– Och, nie – szepnęła. – Widzi pan... siedziałam na otomanie, gdy pani Ponsonby mówiła mi o pracy. Ona... kazała mi tam usiąść.

Wyraźnie rozbawiła Crooka. – Nie zapomnij panna wspomnieć o tym, gdy będziesz pisała tę historię dla niedzielnej prasy – poradził jej. – Wyśmienity trik. Ale dość, nie potrzeba nam więcej hysterii. To nie pomoże.

Julia wstała. – Pewnie jestem zmęczona – wyznała. – Chyba nie chcecie, bym już dzisiejszej nocy zaczęła paradować na wabia?

– Na nic by się to nie zdało. Peters jeszcze o panie nie wie.

Panna Carpmael nie wróciła do hotelu przed odjazdem londyńskiego pociągu z obawy, aby pani Ponsonby nie zaalarmowała zawiadowcy stacji w Paddington. Mogłaby wysłać telegram, ale nawet w takim wypadku jeszcze by go nie dostał. Nie, tej nocy porządnie panienka odpocznie, a jutro rano zacznie działać.

Julia uświadomiła sobie, że nie ma dokąd się udać, chyba że wróci do Spencer House; ale gdy to zasugerowała, obaj, Crook i Colin, natychmiast zaprotestowali.

– Nie potrzeba nam amatorów psujących nam szyki – wyjaśnił prawnik. – Jak tylko się panna pojawi, będą szukać rozgłosu. Pójdą za panną, nie zachowując ostrożności, i diabli wiedzą, kiedy uda się dopaść naszego człowieka. Nie, proszę wybrać sobie jakieś nowe lokum. Sam wybiorę. Będzie panna też potrzebowała nieco gotówki, prawda?

– Nie mam nawet pensa – wyznała. Crook położył na stole kilka banknotów. Julia zaskoczona wbiła w nie wzrok. – To wszystko dla mnie?

– Powie nam panna, gdy będzie potrzebowała więcej... O nie, niech mi panna nie dziękuje. To nie z mojej kieszeni. Tę sprawę opłaca rząd, a zapewne poproszą o rachunki. I niech panna stamtąd się nie oddała bez poinformowania nas, a gdyby coś panna odkryła, proszę natychmiast dać znać – mniejsza o

bezpieczeństwo. Zrozumiała panna?

Julia przytaknęła i odwróciła się do wyjścia. Ku jej zaskoczeniu, Crook wyciągnął do niej dłoń. Przez moment przytrzymał jej rękę, potem powiedział, zwracając się do Colina: – Jeśli kiedykolwiek wyląduję z jakąś damą, będzie bez wątpienia nosiła okulary i miała czerwony nos. Wy młodzi wybieracie wszystkie te ładne.

**W**ydaje mi się nieco szalony – odważyła się skomentować Julia, gdy z Colinem szli potem na obiad. Nie chciał towarzyszyć jej do pokoju. Crook to odradzał. Wszystkie konieczne sprawy załatwił przez telefon.

– Kto? Crook? Przydałoby nam się jeszcze kilku ogarniętych tego rodzaju szaleństwem. O nie, on jest po prostu entuzjastą.

– Ale co na tym zyskuje? Chodzi mi o to, że przecież nie pracuje w wywiadzie?

– Nigdy nie zobaczysz Crooka przyjmującego rozkaz od kogoś innego. Nie, wszyscy wiedzą, że działa na własny rachunek.

– Ale... kto mu płaci?

– W pewnym sensie ty, dostarczając mu takie przypadki, jakie uwielbia. Widzisz, Crook wyspecjalizował się w pracy na rzecz przestępców wyższej kategorii. Ma względy wyłącznie dla swoich klientów. Pamiętasz gościa, co to stwierdził, że znaczenie materiału dowodowego zależy od sposobu jego przedstawienia? Crook podziela ten punkt widzenia. Wszyscy ci nikczemnicy, którzy, gdyby zostali sprawiedliwie osądzeni, powinni zawisnąć, a dostają czternaście lat, są tak wdzięczni za wolność, że bez zmrżenia okiem dadzą mu wszystko, o co poprosi. Rozumieją, że wolność jest bezcenna, i Crook także to wie. Byłabyś zdumiona, widząc niektóre czeki, które otrzymuje z najbardziej nieoczekiwanych źródeł. Co nie znaczy, by praca, jaką dla nich wykonuje, kosztowała aż tyle, ale muszą także pokryć koszt jego niezyskowych spraw – takich jak ta. Kiedyś wszystko mi wyluszczył. To całkowicie logiczne. Crook twierdzi, że działa zgodnie z nastawieniem rządu, by rabować bogatych i dawać biednym. Nie wiem, który akurat kryminalista opłaca ciebie...

– Chcesz powiedzieć, że jemu to wszystko naprawdę sprawia przyjemność? Że to dla niego gra? No cóż, nie ryzykuje wiele...

Colin potrząsnął głową. – Jesteś w błędzie. On stawia na szali więcej niż którekolwiek z nas. Nikt nie osiągnąłby sukcesów takich jak on, zwłaszcza w tej dziedzinie, bez narobienia sobie armii wrogów, którzy chętnie widzieliby go w trumnie. Typ, którego dopadnie, czy to grając fair, czy podstępem, według mnie dałby wszystkie pieniądze za jego głowę. Ale on to lubi. Hazardzista w każdym calu.

– Ja chyba nie – wolno stwierdziła Julia. – Czyż taka postawa nie zasługuje na pogardę?

– Ty jesteś najważniejszą postacią w całej tej sytuacji – powiedział tylko Colin. – Nie boję się, że nas zawiedziesz. To już przestała być twoja osobista sprawa.

Julia nie odezwała się. Zdumiewała ją samcza tępota tego mężczyzny, choć dobrze było wiedzieć, że nie zdradziła się ze swoimi uczuciami, czego się obawiała. Ale po chwili poczuła jego dłoń na ramieniu i usłyszała: – Może poszlibyśmy do kina, mamy wolny wieczór? Bóg wie, kiedy trafi nam się następny.

Być może nie najszczęśliwiej wybrali film, który okazał się krwawą gangsterską historią, z piękną bohaterką nieustannie na granicy życia i śmierci, zawsze uciekającą w ostatnim momencie. Colin uznał, że gdy Julia ujrzy, jak wiele ma szans na powodzenie, uspokoi się, ale ona faktycznie dostrzegła, jak wiele jest możliwości, których wcześniej nie brała pod uwagę, bo nawet nie wiedziała o ich istnieniu.

Kolejne trzy dni ciągnęły się jak koszmar. Julia sądziła, że wcześniejsze doświadczenia zahartowały ją na wszystko, co może się wydarzyć, ale wtedy przynajmniej niebezpieczeństwo było zlokalizowane. Znała swoich wrogów i kierunek – ogólnie biorąc, z którego uderzą. Ale być z powrotem w Londynie i codziennie paradować publicznie przez czternaście godzin, nie wiedząc, czy nie została rozpoznana, czy mężczyzna za jej plecami w windzie był jej nieprzyjacielem, a nie po prostu nieznanym, na jakiego wyglądał, i bać się odwrócić głowę czy przystanąć, by zawiązać sznurówkę; z podejrzliwością patrzeć nawet na taksówkarzy lub starsze damy, zagadujące ją, czy aby jest pewna, że nie było syren – to wszystko przyprawiało ją o wręcz niemożliwe do zniesienia nerwowe napięcie. Nie widywała Colina. Uzgodnili, że nie powinni się spotykać. Co Julia rozumiała. Był dość ważną osobistością. Nie należało go

narażać na niepotrzebne ryzyko, a jej towarzystwo z pewnością niosło ze sobą zagrożenie. Spędzając długie wieczory w swym apartamencie, składającym się z dwóch połączonych pokoi, nawet nie telefonowała do niego na wypadek, gdyby szpiedzy podłączyli się do kabli. A chwilami czuła, że jeśli Peters ma ją w końcu dopaść, lepiej aby stało się to od razu, by miała to z głowy.

Można, choć z trudem – rozważała – ustrzec się dwóch kobiet. Ale staje się to niewykonalne, gdy ma się przeciwko sobie całe miasto. Zresztą on może być w przebraniu, całkiem dobrze uszedłby za kobietę.

Podczas długich, samotnych godzin, a było ich wiele, zastanawiała się nad sposobem przekazania informacji, nim Peters by jej w tym przeszkodził. Colin okazywał znaczny szacunek dla jej inteligencji, a gdy zdradziła swoje wątpliwości, tylko powtórzył: – Nie boję się, że nas zawiedziesz.

Czwartego ranka otrzymała od niego wiadomość. – Lunch w Ivy, dokładnie o pierwszej piętnaście.

Po tak oficjalnym wezwaniu Julia przewidywała obecność Crooka, ale gdy weszła tam i ujrzała go siedzącego obok Colina, poczuła rozczarowanie. Colin jednak wyraźnie dał do zrozumienia, że to czysto zawodowe spotkanie.

– Jak się czujesz, kochana? – zapytał pogodnie Crook.

– Coraz gorzej – odrzekła przygaszonym tonem. – Jak sądzicie, ile jeszcze to potrwa?

– To nie zależy od nas – odrzekł z dezaprobatą Crook. – Choć staramy się, jak możemy.

– To znaczy, znaleźliście...? – urwała, nie odrywając oczu od jego poczerwieniałej, zdeterminowanej twarzy.

– Otomanę? Oczywiście.

– I było coś w środku?

Crook przytaknął ruchem głowy. Jego małe, świńskie oczka nawet nie poruszyły się.

– To znaczy...? – Znów przerażenie sparaliżowało jej język.

– To znaczy fura starych szmat, kap, kawałków i resztek, ale ani jednego ciała, naprawdę.

Julia odetchnęła z ulgą. Crook spojrzał na nią zaskoczony.

– Przykro mi oczywiście, ze względu na was – dodała pospiesznie. –

Pewnie oznacza to rozpoczęcie wszystkiego od nowa, ale nie mogę nie ukrywać ulgi, gdy wiem, że w otomanie, na której siedziałam, skręcając w palcach frędzle, jednak nie było trupa...

– Proszę powiedzieć to jeszcze raz – zażądał Crook tak dziwnym głosem, że aż się zdumiała.

Dokładnie powtórzyła swoje słowa.

– A niech to! – wykrzyknął Crook i zwrócił się do Colina. – Wiesz, co z tego wynika.

– Oczywiście – przyznał tamten także z dziwną nutką w głosie.

– Nie rozumiem – szepnęła Julia.

– Nic dziwnego – skomentował Crook. – No to niech panna słucha, co powiem. *Przy otomanie znalezionej w magazynie nie było frędzli.*

## 15.

Nagle wszyscy zaczęli mówić naraz. Colin chciał się upewnić, że Julia się nie pomyliła; Crook wielokrotnie powtarzał, że otomana w magazynie nie była ozdobiona frędzlami, Julia przekrzykiwała obu, oświadczając, że doskonale zapamiętała frędzle na otomanie pani Ponsonby.

– Przypominam sobie, jak skręcałam je w jedwabny sznur – wyjaśniła. Wiecie, jak to bywa, gdy się człowiek denerwuje – chwytą się wtedy za najmniejszy drobiazg, w palcach jeszcze czuję te bardzo splątane sznureczki.

– Przysięgłaby panna na swoją duszę? – upewniał się Crook, gdy trochę się uspokoił.

– Tak – oświadczyła bez wahania.

– A więc widzi panna, dokąd to nas prowadzi? Nie, nie mów jej, Bruce. Niech sama do tego dojdzie.

– Nie jestem taka głupia, jak sobie pan wyobraża – krzyknęła z oburzeniem. – Wszystko rozumiem. To oznacza, że istnieją dwie otomany, a tej właściwej nie znaleźliście.

– Nie można by określić sytuacji bardziej złośliwie – przyznał Crook., – Tyle że akurat tu zaczyna się panny rola.

– Czego się po mnie oczekuje?

– Na pewno zidentyfikowania tej otomany, bo z nas wszystkich tylko pani może to zrobić.

– A więc... znaleźliście ją?

– Jeszcze nie.

– Macie jakieś pojęcie, gdzie szukać?

– Nie mam pewności, ale przypuszczam, że gdzieś wystawiono ją na sprzedaż. Widzi panna, gdy pracuję nad podobną sprawą, próbuję się postawić

na miejscu tamtego gościa. Gdybym, założmy, był Petersem i musiał pozbyć się ciała, które, znów zakładamy, jest w otomanie, co bym zrobił? Wiemy, że nie było jej w domu, gdy wynoszono meble, a z pewnością pozostawała tam w piątkowy wieczór, jako że pani na niej siedziała, musiano więc zabrać ją w sobotę. Powiedziałbym także, że to nie jedyna wyniesiona wtedy rzecz. No cóż, rozgryziemy tę kwestię. Jeśli jest ktoś, kto w swej pracy korzysta z wozu i konia, na przykład drobny handlarz jarzyn, i ten ktoś w wolnym czasie zajmuje się, w niewielkim zakresie, przewozem mebli, a poproszono go o zabranie otomany pod nowy adres, będzie umiał wskazać to miejsce. Może nawet zapamiętać wygląd mebla. Ale jeśli prosi się go o zabranie otomany i rozmaitych innych przedmiotów, to wtedy otomana nie robi na nim specjalnego wrażenia. Nie, jestem pewien, przekona się panna, że Peters to ptaszek na tyle bystry, by o czymś takim pomyśleć. Sobota po południu to dobra pora na załatwienie konia i wozu lub nawet niewielkiej ciężarówki. Nie sądzę, by zatrudnił kogoś z sąsiedztwa, ale z drugiej strony nie szukałby zbyt daleko. Nie byłoby to tego warte. Nie, zapewne zatrudnił człowieka z drugiego końca tej samej dzielnicy, do której meble miały zostać zawiezione. Inaczej ryzykowałby, że ktoś mógłby coś podejrzewać. Ci drobni przedsiębiorcy nie zwracają sobie przecież głowy sporządzaniem inwentarza transportowanych przedmiotów, a zresztą otomanę zaliczyliby do kategorii łóżka lub kanapy. No cóż, po przeniesieniu trupa, nasz przyjaciel Peters musiał się go pozbyć...

– Ma pan jakieś sugestie co do miejsca?

– Żadnych – ze spokojem odparł Crook. – Cóż, gdybyśmy od samego początku znali wszystkie odpowiedzi, jakaż byłaby to zabawa?

– Po wszystkim – wtrącił się Colin – by doprowadzić sprawę do końca, Peters pozbył się kanapy na wypadek, gdyby wykryto jakiś związek pani Ponsoby z tym meblem.

– Chyba nie sądzisz – zapytała Julia nieśmiało – że zwłoki mogą wciąż znajdować się w otomanie? W jakimś nieużywanym mieszkaniu, które wypełnił meblami?

– Wątpię – stwierdził z powagą Crook. – Przechowywanie trupa w mieszkaniu zawsze wiąże się z ryzykiem. Wiele da się wytłumaczyć, ale ciała raczej

nie, zwłaszcza gdy należy do młodej damy, poszukiwanej przez policję. Wiem, że niejeden tego próbował, ale nigdy nie słyszałem, by komuś udało się przekonać władze, że obecność zwłok zaskoczyła go w równym stopniu co prowadzącego dochodzenie. Przeciwnie, sądzę, że pozbył się ciała najszybciej, jak mógł.

– Może udał się do sklepu z używanymi rzeczami – zasugerowała Julia.

– To wydaje się sensowne, prawda?

– No to po prostu musicie dotrzeć do tego handlarza – ciągnęła, ale zaraz urwała, gdyż obaj mężczyźni wybuchli głośnym śmiechem.

– Tylko posłuchajcie tej dziewczyny – wykrzyknął z podziwem Crook. – Masz całkowitą rację, słoneczko. Wystarczy odnaleźć otomanę i poznać nazwisko człowieka, który ją sprzedał. Oczywiście mógł nie podać prawdziwego nazwiska i nawet nie dokonać transakcji osobiście, ale to bez znaczenia. Grat z pewnością stoi w sklepie rzeczy używanych lub w galerii aukcyjnej albo w jakimś magazynie. Istnieje pewna możliwość, że trafił do następnego właściciela, mnie wszakże nie pozostało nic innego, jak poruszyć niebo i ziemię i odszukać tę kanapę. Oczywiście zrobię co trzeba – ciągnął radośnie – ale niech sobie panna nie wyobraża, że to będzie dziecinna zabawa.

Zaraz potem pożegnali się, Colin wrócił do biura, a Crook, usadowiwszy się w taksówce z wielkim cygarem w ustach, w kapeluszu nasuniętym na jedno oko i z beztrąsko skrzyżowanymi nogami, kazał się wieźć do zachodniej dzielnicy miasta. Gdy taksówka ruszała, wyjął cygaro z ust, wychylił się przez okno i poinstruował Julię, by koniecznie dała mu znać, jeśli gdzieś natknie się na otomanę, a gdyby przyszedł jej do głowy jakiś nowy pomysł związany z lokalizacją ciała – zna numer jego telefonu! Julia poczerwieniała ze złości i odwróciła się w stronę przystanku autobusowego. Nie przypadły jej do gustu manieri Crooka i czuła się całkowicie opuszczona przez Colina. Po raz setny pomyślała o dziewczynie z Irlandii, z którą zamierzał się ożenić; zapomniwała nawet o Petersie i o grożącym jej niebezpieczeństwie, i dopiero słysząc gniewny okrzyk kierowcy osobowego samochodu, pospiesznie cofnęła się na chodnik, z którego zeszała, pogrążona w myślach. Wsiadając do autobusu, pomyślała, jak bardzo rozczarowałby się Crook, gdyby to właśnie ona odnalazła otomanę.



Wieczór minął spokojnie. Trochę doskwierało Julii natręctwo panny Pettifer, kobiety w średnim wieku, która z upodobaniem rozprawiała o latach swojej młodości, o tym, jak to miała własnego konia i jak od znanego mistrza uczyła się malarstwa we Włoszech, i nigdy nie spodziewała się, że będzie biedna i zamieszka w *pensjonacie*. Co właściwie nie miało znaczenia, bo ludzie sami w sobie są niezwykle interesujący, no i zawsze może zdarzyć się coś ekscytującego, czyż nie? Julia przyznała jej rację i tylko zastanawiała się, jak bardzo damie oczy wyszłyby z orbit, gdyby wiedziała, jak jej rozmówczyni spędziła ostatnie sześć tygodni, ale zaraz uznała, że pewnie nie dałaby wiary jej słowom, zresztą i tak historia nie wzbudziłaby jej zainteresowania. A więc zapytała pannę Pettifer, czy zna jakiś sklep, gdzie można by dostać używaną kanapę. Panna Pettifer zapytała: – Rozpoczyna panna własne życie? Bardzo rozsądnie.

Julia przyznała, że rozważa coś podobnego, a panna Pettifer dodała zachęcająco: – Trzeba być pewnym swej decyzji, czyż nie? Ja zawsze dziękowałam Bogu, że w panny wieku nie byłam zbyt pochopna. Jakże wiele moich rówieśniczek nigdy nie pomyślało dwa razy i później były takie... nieszczęśliwe. – Potem wypatrzyła, że Julia nie nosi pierścionka.

Było całkiem jasne, do czego pije, ale Julia nie dbała o to; bez wątpienia życie okazało się rozczarowaniem dla panny Pettifer, mimo tych jej wszystkich przechwałek i rzekomych podbojów. Wskazała Julii dwa czy trzy przypuszczalne adresy na Kings Road, jeden w Cadmen Town, a inna dama, która słyszała, o czym rozmawiały, dodała kilka następnych. Julia starannie zanotowała wszystkie i kolejne dwa dni spędziła na poszukiwaniu używanych tapczanów i otoman. Była tym tak zajęta, że godzinami nie myślała o Petersie. Ogromna ilość otoman, które widziała w ciągu tych dwóch dni, przyprawiła ją o mętlik w głowie. Przekonała się, że w Londynie mieści się niezliczona ilość sklepów z używanymi rzeczami, a kanapa mogła zostać wysłana krewnym na wsi, podarowana na rzecz uchodźców, a nawet porąbana na kawałki.

Dopiero drugiego dnia wieczorem pomyślała o zamieszczeniu ogłoszenia w gazecie.

Pomysł ten przeszedł jej do głowy w chwili natchnienia. Nawet Crook, pomyślała, mimo wszystkich tych jego zachwalanych umiejętności, może bez

skutku szukać tej konkretnej otomany przecież i pół roku! Choć on sam później, na wieść o tym, zawołał: – Ależ wy amatorzy macie tupet! Gdybym zamierzał szukać tego mebla poprzez ogłoszenie, sam bym je zamieścił!

Na co Julia wyjąkała: – Sądziłam, że może nie przyszło to panu do głowy.

Ta niestychana arogancja okazała się dla niej zbawienna. Crook odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem, który można by pomylić z ostrzegawczą salwą artylerii przeciwlotniczej.

– Wygrałaś panna – powiedział tylko. – Sądziłem, że wiem wszystko, ale ten aspekt przeoczyłem.

Ogłoszenie Julii ukazało się w *Bazaar* i *Mart* pod koniec tygodnia, dwa dni po tym, gdy wysłała je pocztą do wydawnictw. Informowała, że zamieszczający ogłoszenie bardzo pragnie odnaleźć otomanę z pojemnikiem (opisaną dokładnie, łącznie z frędzlami i śladem po wypaleniu, który przyciągnął jej uwagę tamtego piątkowego wieczoru), na końcu zamieściła numer skrzynki pocztowej, na który należało przysyłać odpowiedzi. Julia zaryzykowała nawet datę wyniesienia mebla z domu, podając koniec tamtego pamiętnego tygodnia. Nie miała pojęcia, jakie znalazłaby wytłumaczenie, gdyby aktualny właściciel otomany odpowiedział na jej ogłoszenie. Zresztą z pewnością ucieszyłyby się okazją ubicia dobrego interesu.

Była zdumiona ilością otrzymanych odpowiedzi. Wydawało się, że podczas tych konkretnych trzech dni pozbywano się niezliczonych otoman z pojemnikiem, do tego wszystkie były obite tym właśnie materiałem. Julia, która planowała przekazać otrzymane informacje do sprawdzenia Crookowi, teraz obawiała się, że ją wyśmieje. Poza tym, chciała dowiedzieć swej odwagi. Crook zapewnił ją przecież, że nikt inny nie zdoła do końca zidentyfikować otomany; dlatego postanowiła sama obejść wszystkie możliwe miejsca, wykluczyć wszystko, co nie miało znaczenia.

W końcu odnalazła poszukiwaną otomanę w pewnym sklepie na Fulham Road. Tak bardzo już była oszołomiona ilością kanap, które widziała, że ledwie uwierzyła w swoje szczęście, gdy sklepikarz pokazał jej mebel dokładnie taki sam jak ten, na którym siedziała przy Henriques Square. Nie wątpiła, że to właśnie ten. Splątane frędzle zostały wyczesane, widać było próbę zatarcia

śladu wypalenia na poszewce; ale wyraźny wzór, a nawet złamana sprężyna, która doprowadzała ją do rozpaczy na Henriques Square, wszystko to potwierdzało koniec poszukiwań. Oszołomiona ogromem sukcesu, wbiła kilka gwoździ do własnej trumny.

– Tak się cieszę, że ją odnalazłam – wyznała. – Nie należało jej sprzedawać.

– Pochodzi z pani domu? – zapytał sprzedawca, sprytnie oceniając sytuację i zastanawiając się, do jakiej kwoty może podbić cenę.

– O tak. Należała do mojej krewnej, która przed wyjazdem na prowincję pozbywała się starych mebli. Chciałam tę kanapę dla siebie, ale przez pomyłkę sprzedano ją z innym rzeczami. Nie wiem, czy pan kupił resztę...

– Łóżko, dwa krzesła i szafę – powiedział tamten, okazując refleks. – Obejrzy je pani?

Julia zawahała się. Raczej nie rozpoznałaby żadnego poszczególnego mebla z domu przy Henriques Square; postanowiła jednak nie przegapić najmniejszej możliwości, więc zgodziła się rzucić okiem na inne przedmioty, których pozbyto się w tym samym czasie. Jak przewidziała, nie rozpoznała żadnego, miała wszakże dość rozumu, by się do tego nie przyznać.

– Nie – zwróciła się do sklepikarza. – Tak naprawdę chodzi mi tylko o otomanę. Wiem, że nie jest w najlepszym stanie, trzeba zreperować sprężynę, ale w końcu używano jej latami. – I zapytała o cenę.

Skleplikarz, bacznie ją obserwując, rzucił: – Pięć funtów.

– To spora cena – przyznała niepewnie.

– Mebel jest wiele dla pani wart – zauważył, uradowany.

Julia posłała mu ostre spojrzenie, ale on uśmiechał się jak człowiek zadowolony z właśnie dobitego korzystnego interesu.

– Trzeba zarabiać, póki jeszcze się da – oświadczył. – Wojna nie ułatwia nam życia. Tak wielu mieszkańców opuszcza Londyn, nikt zbytnio nie potrzebuje mebli...

– Doskonale to rozumiem – zgodziła się z nim Julia. – No cóż, co do tej otomany, jestem zdecydowana. Ona mi się... kojarzy z pewnymi rzeczami. Moja ciotka nigdy nie oddałaby jej Petersowi, gdyby wiedziała, że ja chcę ją mieć.

– Petersowi? – powtórzył pytająco mężczyzna. – Klient, który mi ją sprzedał, inaczej się przedstawił. Jest panna pewna, że to właśnie on?

– Całkowicie. Może transakcji nie przeprowadzał osobiście – pewnie nie zapamiętał go pan – wysoki mężczyzna o pociągłej, bladej twarzy.

Sklepiarz potrząsnął głową. – I tak bym nie wiedział. Poproszono mnie o przysłanie kogoś do obejrzenia paru rzeczy i gość doradził mi zakup, tak to się odbyło. Nie zajmuję się takimi sprawami osobiście – dodał z wyższością.

Julia czuła się coraz bardziej pewna siebie, co ją trochę oszalało i zagrażało jej zdrowemu rozsądkowi. W wyobraźni widziała drwiącą minę Crooka, gdy polecał jej poinformować go, gdy znajdzie otomanę lub Petersa. Podekscytowana pomyślała, że jeszcze tego wieczoru będzie mogła dać mu namiary na mebel i na człowieka.

– Przytransportował ją pan z daleka? – zapytała, starając się mówić możliwie najbardziej obojętnym tonem.

– Z Earl's Court. To niedaleko. No cóż, w dzisiejszych czasach nie opłaca się zużywanie dużej ilości benzyny na przywóz gratów, których być może nie da się sprzedać przez wiele miesięcy.

– A więc tam on mieszka? Moja ciotka myślała o nim. W końcu czuje się odpowiedzialność za służących zatrudnianych przez lata – ciągnęła. – Chętnie bym go odwiedziła, jeśli zapamiętał pan dokładny adres...

– Poszukam go dla pani – oświadczył uprzejmie.

Julia poczuła ogarniającą ją falę ekscytacji.

Nieszczęsna! Nic nie wiedziała o rozmowie, która kilka godzin wcześniej odbyła się między sklepiarzem Purvisem a wysokim mężczyzną o pociągłej, bladej twarzy, przypominającym lisa. „Niech pan jej powie wszystko, czego będzie chciała – polecił ów klient. – Mnie to nie wadzi”.

Sklepiarz wrócił z adresem nabazgranym na skrawku papieru. – Radnor Road 151, Earl's Court Avenue. Panienska zna drogę, prawda?

– O tak – skłamała Julia, która nigdy o takiej ulicy nie słyszała. – Jestem panu bardzo zobowiązana. Ale wróćmy do otomany. Nie mogę zapłacić za nią dzisiaj wieczorem, bo nie mam przy sobie dość pieniędzy, zostawię więc dwa

funty zaliczki, a z resztą kwoty przyjdę jutro rano. Zgadza się pan?

– Oczywiście. Dam panie pokwitowanie. Dojdzie jeszcze drobna opłata za transport. Nie stać nas na darmowy, jaki zapewniają duże magazyny, zwłaszcza przy obecnych cenach paliwa.

Julia czuła, że ten człowiek wykorzystuje jej chęć zakupu otomany. Ponadto wydało jej się, że w jego głosie zabrzmiała nutka, której nie znosiła, zbytnej poufałości, nadmiernej pobłażliwości. Odpowiedziała chłodno, że przyjdzie rano i sfinalizują transakcję.

– Mogę prosić o pani nazwisko i adres?

Nazwisko podała, ale uprzedziła, że otomany nie zabierze do hotelu, w którym chwilowo zamieszkała. Mężczyzna wszakże nalegał i Julia podała mu adres, nie widząc powodu, poza pewną niechęcią, by odmówić. Jeśli wcześniej miała poczucie pewnego zagrożenia, teraz znikło. Zdobyła wszystkie potrzebne Crookowi informacje; czuła się podekscytowana niczym myśliwy na tropie. Do tego jeszcze świadomość: Colin dowie się, jak bardzo jest opanowana i pełna inicjatywy. Gdy tylko wyjdzie ze sklepu, zatelefonuje do Crooka. Ale rozejrzała się i na stoliczku pod ścianą zauważyła aparat.

Mogłabym poprosić o skorzystanie z niego – pomyślała. – Dochodzi szósta i Crook zapewne wrócił do domu. Byłoby szybciej.

Po chwili zmieniła zdanie. Ten człowiek mógł zacząć coś podejrzewać, wy czuć, że coś się szykowało – jak też było w rzeczywistości. Julia miała niejasne przeczucie, że pewna część społeczeństwa, nawet całkiem duża, nie znosi jakiegokolwiek interwencji policji. Na pewno w pobliżu znajdzie budkę telefoniczną lub pocztę. Powtarzała sobie, że nie powinna tracić głowy. Nie należy podejmować ryzyka, gdy się jest tak blisko celu.

Od takich drobnych decyzji jak ta zależy życie ludzi i ich los.

W pobliżu ulicą przejeżdżała taksówka, drobna mżawka przeszła w prawdziwy deszcz. Fulhalm Road zdawała się pusta. Sklepy miały zaciemnione witryny, liczne stały całkiem opuszczone. Julia postanowiła wykorzystać drugą szansę, oferowaną jej przez los w postaci taksówki. Gdyby poszła za pierwszym impulsem, wsiadła do niej i zatelefonowała z hotelu, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale ona, gdy taksówkarz zwolnił trochę dalej przy chodniku i wykonał gest, jakby zamierzał otworzyć drzwiczki, przecząco pokręciła głową.

Postanowiła nie telefonować z hotelu. Aparat stał na konsoli w holu i każda wchodząca lub wychodząca osoba miała możliwość podsłuchania rozmowy przynajmniej z jednego końca linii. Miejsce to przypominało jedno wielkie ucho, zawsze nasłuchujące strzępów plotek i spekulacji. Na pocztę także nie pójdzie, zdecydowała, tam kabiny stoją obok siebie i ktoś zaczajony w jednej, mógłby podsłuchać rozmowę prowadzoną z sąsiedniej. Ogrom sukcesu, którym zaowocowały jej wysiłki, zaburzył jej zwykłe wyczucie proporcji. Pozwoliła taksówce odjechać, pospiesznie minęła pocztę i skręciła w wąskie przejście, w którym czerwona, wysoka kabina przypominała pionowo ustawioną trumnę. Po mokrych kocich łbach szybko przeszła alejką jakieś sto jardów i otworzyła drzwi budki. Gdy podniosła słuchawkę z widełek i wpychała dwa miedziaki do szparki, oblała ją fala radosnego entuzjazmu.

Telefon okazał się pierwszą rzeczą, która ją rozczarowała, gdyż usłyszała sygnał: zajęty. Niecierpliwie wcisnęła guzik B i pensy wypadły z głuchym brzękiem. Nikt nie czekał w kolejce, więc przez chwilę wstrzymała się, po czym ponowiła próbę – z tym samym rezultatem. Ciemności wilgotnego wieczora już zamykały się nad miastem. Choć był czerwiec, niebo zasnuło się zwalami czarnych chmur; liście smętnie opadły; na tym końcu alejki prawie nikt się nie pojawiał. Tylko od czasu do czasu rozbrzmiewały kroki przechodniów spiesznie podążających do domowych pieleszy. Nagle gardło Julii ścisnęło poczucie zagrożenia. Uświadomiła sobie, że nikt nie wie, gdzie ona się znajduje, dodatkowo stała się właśnie bardzo niebezpieczna dla ludzi, którzy pozbyli się Sheili Campbell, a także, tak jak jej się udało, równie dobrze mogło udać się Petersowi. Zalękniona, niechcący upuściła jeden z drogocennych pensów i musiała szukać go na zakurzonej podłodze. Przeszywały ją dreszcze. Zagęszczająca się mgła i mżawka wręcz przytłaczały. Żałowała, że nie wsiadła do taksówki i nie pojechała do pełnego ludzi i świateł hotelu.

– Spróbuję jeszcze raz – postanowiła, wybierając numer po raz trzeci. I wreszcie wszystko poszło dobrze. Usłyszała znajomy, podwójny sygnał i serce w niej zamarło, z takim napięciem czekała, by ktoś podniósł słuchawkę.

Jednak dopiero po kilku dzwonek usłyszała głos – nie Crooka: – Halo.

– Pan Crook? – szybko zapytała. – Tu Julia Ross. To bardzo pilne. Proszę mu powiedzieć, że odnalazłam jedno i drugie.

– Niech pani chwilę poczeka – rozległ się pogodny głos Billa Parsonsa.

Julia nagle zeszytniała; stała w budce zwrócona twarzą do alejki, teraz odwróciła się i patrzyła na główną ulicę...

– Halo? – ryknął Crook. – To ty, Julio? Halo!

Ale nikt mu nie odpowiedział. Czarna słuchawka zawisała na wyciągniętym na całą długość sznurze i leniwie kołysała się tam i z powrotem jak jakiś powieszony, martwy przedmiot. Wsparta o tylną ściankę tej niesamowitej trumny, dziewczyna o pobladłej twarzy wpatrywała się, z niedowierzaniem i przerażeniem, w bledszą jeszcze twarz przyciśniętą do szkła. Wąskie, bezbarwne wargi, blada lisia maska połyskująca groźbą i uciechą.

– Gdzie u diabła jesteś?! – wrzeszczał Crook, ale słuchawka, dyndająca bezwładnie, nie mogła mu dostarczyć odpowiedzi.

– Dobry wieczór, panno Ross – powiedział Peters.

**N**ikt nie odpowiada – stwierdził ostro Crook i rzucając słuchawkę, krzyknął do Billa. – Co ci powiedziała?

– Że znalazła otomanę i Petersa.

– Cholerni amatorzy! – wybuchnął Crook, nie okazując śladu zadowolenia. – Jestem głęboko przekonany, że uważają się za Wybrańców Bożych. Zawodowiec zna swoje możliwości, ale amator nie popuści. Chciałby być równocześnie sędzią i ławą przysięgłych. A teraz wpakowała się w tarapaty i będzie od nas oczekiwać wydostania z nich – a jeden Bóg wie, czy zdążymy na czas.

Bill znał swego szefa na tyle dobrze, by zorientować się, że ta burza gniewu oznaczała autentyczny niepokój o Julię. Jeśli, co wydawało się bardzo prawdopodobne, rozmowę telefoniczną przerwał Peters lub jego wspólnik, jej życie znalazło się w ogromnym niebezpieczeństwie. Informacje, które posiadała, uczyniły ją zagrożeniem dla szpiegów, a człowiek, któremu już udało się ukryć jedno ciało, mógł okazać się równie sprytny, gdy chodziło o drugie. W tym momencie Crook mógł tylko spróbować wyśledzić, skąd telefonowano, ale wiedział, że szanse ma niewielkie. Po wprowadzeniu automatycznych central stało się to jeszcze trudniejsze niż wcześniej, a zlokalizowanie

miejscowych rozmów na terenie Londynu nigdy nie należało do łatwych. To Bill zasugerował, by wezwali Colina, a fakt, że ten okazał się osiągalny natychmiast, był ich pierwszym szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Przyjechał od razu taksówką i wpadł ze słowami: – W co u diabła ta dziewczyna się wpakowała? I dlaczego do cholery nie było cię tam, by ją powstrzymać?

Crook trochę go uspokoił i jął powtarzać mu swoje uwagi o amatorach. Colin posłał go do diabła.

– Zrobiła tylko to, o co ją prosiłeś, czyż nie? Chciałeś znaleźć tego gościa, więc go znalazła. No cóż, jeśli jej się udało to samej, to chyba wszyscy trzej razem też możemy.

Kierując się sugestią Crooka, udali się do hotelu, w którym Julia się zatrzymała. Odbyli rozmowę z panną Tweedale we własnej osobie i dowiedzieli się, że dziewczyna wyszła bardzo dawno temu i jeszcze nie wróciła.

- Czy zostawiła jakąś wiadomość?
- Nie, nie sądzę.
- Spodziewa się jej pani na kolacji?
- Nic nie powiedziała.

Dama w ciemnoniebieskich welurach, skręcająca ku schodom, odezwała się wytwornym tonem: – Przepraszam, czy panom chodzi o pannę Ross? Wiem, że zamierza wrócić na kolację, bo później jesteśmy umówione na partyjkę bezika. Powinna już być, zbliża się godzina siódma.

– Jest pani jej przyjaciółką? – zapytał Crook, starając się przybrać jak najbardziej uprzejmy ton.

– Lubię myśleć, że mnie za taką uważa – odrzekła panna Pettifer. – Wydaje się miłą dziewczyną, choć trochę ryzykantką.

– W czym... w beziku?

– Miałam na myśli jej życie osobiste. Wspominała o założeniu własnego domu, właściwie bez żadnych solidnych podstaw.

- Co ma pani na myśli, mówiąc o własnym domu?
- Mówiła o zakupie otomany.

Crook wybuchnął śmiechem. – Jeśli zamierzała, według pani, osiąść na swoim, chyba nie chodziło jej o otomanę. – Po chwili spoważniał i zapytał: – I co, zdobyła ją?



– Podałam jej nazwy dwóch czy trzech solidnych sklepów z używanymi rzeczami, ale widziałam, że zamieściła ogłoszenie w *Bazaar* i *Mart*. Nie wiem, z jakim rezultatem...

– Trzeba było ją ostrzec – rzucił potem ponuro Crook do towarzyszy. – Oczywiście, ta dziewczyna jest stuknięta. Zawsze twierdziłem, że praca z taką pannicą to szaleństwo. Cholerne indywidualistki, wszystko chcą robić po swojemu, zgarnąć cały sukces. A Peters wyczuł pismo nosem i teraz jest już za późno.

Głos zabrał Bill, jak zawsze ospale przeciągając słowa: – Jednak w tym konkretnym przypadku akurat poskutkowało. Chodzi mi o to, że znalazła tę otomanę.

– Rzeczywiście. Ciekawe, czy zostawiła jakieś wskazówki. – Uchyliwszy rąbka tajemnicy pannie Tweedale, uzyskał pozwolenie na przeszukanie pokoju Julii. W szufladzie biurka znalazł egzemplarz *Bazaar* i *Mart* z ogłoszeniem zakreślonym na niebiesko, a także plik listów, które nadeszły w odpowiedzi. Najwyraźniej Julia działała metodycznie. Sporządziła listę adresów i przypięła do listów. Kolejne pozycje zaznaczały niebieskie krzyżyki. – Te pewnie skreśliła, jako nieprzydatne – wywnioskował Crook. – Z czego wynika, że gość, którego szukamy, znajduje się wśród pozostałych. No to już mamy wyznaczony kierunek poszukiwań. Trzeba tylko sprawdzać miejsce po miejscu, aż trafiemy na właściwe. Wiemy, że w którymś na pewno jest otomana. A ona raczej nie próbowała jej zabrać ze sobą, więc mebel musi stać nadal tam, gdzie był. Teraz wszystko zależy od czasu, jaki nam pozostał. Nie wiemy, ile go jeszcze mamy, ale musimy się postarać, by nam wystarczył.

Z czołem pokrytym zmarszczkami wyrażającymi niezadowolenie wsiadł do małego, hałaśliwego, czerwonego kabrioletu i ujął kierownicę. O tej porze sklepy na ogół zamykano, ale na szczęście większość właścicieli mieszkała nad nimi. Jednak niektóre znajdowały się poza miastem, inne też bardzo daleko, więc otomanę udało im się znaleźć dopiero po ósmej.

Crook przez dobrą chwilę pukał do zamkniętych na klucz frontowych drzwi, zanim ktoś ostrożnie je uchylił i pokazała się rozgniewana twarz.

– Czego?

– Inspektorzy śledczy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – oświadczył Crook, ruchem głowy wskazując na Colina i Billa, których wygląd w pełni uwiarygodniał jego słowa.

Mężczyzna niemal doznał szoku. – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych? Nic na mnie nie macie...

– Może lepiej omówimy sprawę w środku – zasugerował Colin ostro i wszyscy czterej zaraz znaleźli się w odrapanym, niewielkim korytarzyku.

Właściciel sklepu nie krył zdenerwowania. – Cóż to za sprawa, że o tej porze zakłóacie człowiekowi spokój? – zapytał. – Nie mam nic wspólnego z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych...

– Zaraz się pan dowiesz – rzucił obcesowo Crook.

Colin pokazał sklepikarzowi egzemplarz *Bazaar i Mart*. – Kilka dni temu odpowiedział pan na ogłoszenie o otomanie, prawda?

– A jeśli nawet, to co? Nic w tym złego. Chyba nie twierdzicie, że to był jakiś szyfr? Dajcież spokój, wszystko było w porządku. Tak powiedziała ta młoda dama.

– Jaka młoda dama?

– Ta, która tu przyszała dzisiaj po południu. A może to jeszcze jedna z nich? Zdawała się rozpoznać otomanę, twierdziła, że mebel należał do jej ciotki – choć muszę przyznać, że chyba nie znała nazwiska tamtego dżentelmena.

– Jakiego znów dżentelmena?

– Tego, który sprzedał mi tę kanapę.

– I pan jej powiedziałeś?

– No cóż – owszem. Postąpiłem właściwie, no nie? Ten dżentelmen sam mi mówił, żebym odpowiadał na jej pytania.

– A czy przypadkiem po jej odejściu nie skontaktowałeś się z tym dżentelmenem?

– Nie. Przecież w tej sprawie nic mi nie zlecił. Skąd miałbym wiedzieć? I cóż może być złego w kupnie otomany lub sprzedaniu jej, gdy trafiła mi się okazja?

– Czy dama podała swoje nazwisko?

– Tak. Powiedziała, że przyjdzie jutro i dopłaci resztę. Nie miała przy sobie większej kwoty, więc dała mi zaliczkę i zarezerwowałem dla niej tę kanapę.

– Chcielibyśmy ją obejrzeć.

Mężczyzna próbował słabo protestować. – Słuchajcie no, wszystko to jakaś dziwna sprawa. Nie wiem, kim naprawdę jesteście i czego chcecie, i w ogóle o co chodzi...

– Gdybyś wymienił pan „morderstwo”, nie bardzo byś się pomylił – sucho zapewnił Crook.

– Morderstwo! – Mężczyźni oczy niemal wyszły z orbit. – Jejku, nigdy nie myślałem...

– Nikt pana nie prosi teraz o myślenie. Gdzie kanapa?

Wciąż mrużąc pod nosem, sklepikarz poprowadził ich na tyły pomieszczenia, do salonu wystawowego.

– Nie śmiej włączyć światła – tłumaczył się. – Strażnicy byli tu dzień czy dwa temu, strasznie cięci w kwestii zaciemnienia. Ci to nawet nie pomyślą, co oznacza zasłonięcie takich olbrzymich okien. Ale mam latarkę. – Poprowadził ich między dwoma potężnymi blokami cienia, które okazały się szafami i krzesłami, za nim szedł Bill Parsons, poruszając w ciemnościach jak kot. Colin wykazał się mniejszą zręcznością i zawadził nogą o wysoką komodę, natomiast Crook ostrożnie, powoli obchodził przeszkody. W świetle latarki kanapa sprawiała niesamowite wrażenie. Z czterech zgromadzonych wokół niej mężczyzn, trzech myślało głównie o dziewczynie, która tak niedawno jeszcze w niej spoczywała, ale Colin przede wszystkim zamartwiał się o Julię. Blask latarki oświetlał otoczenie, rzucając na nie niewielkie kręgi i łuki światła; przez otwarte drzwi wpadł powiew wiatru i zasłony lekko zafalowały; pomieszczenie zdawało się pełne duchów. Cała czwórka, też przypominająca duchy, stanęła wokół kanapy.

– Cztery anioły wokół mego łoża – wybuchnął nagle Crook i Purvis spojrzeli na niego zaskoczony.

– Wcześniej nie widziałem gościa, który mi ją sprzedał – poinformował nieproszonego.

– No to przy jakiej okazji go pan ujrzalesz?

– Przyniósł mi egzemplarza *Bazaar* i powiedział: „Jeśli pewna młoda dama pojawi się, wypytujac o otomanę, mam powód, by sądzić, że chodzi jej o tę właśnie. Powiedz jej pan wszystko, co będzie chciała wiedzieć. Wszystko będzie w porządku”. Wtedy odparłem, że może dla niego, ale mnie się to nic a nic nie podoba. Pomyślałem, rozumiecie, że może chodzi o skradzione przedmioty. Ale zarzekął się, że wszystko jest jak należy. „Gdybym miał coś do ukrycia,

chybabym nie przychodził i nie prosił, byś odpowiadał pan na pytania, co?”

– I o której pojawiła się ta dama?

– Tuż przed szóstą. Od razu rozpoznała otomanę, a potem zapytała, kto mi ją sprzedał i czy znam jego adres, gdyż to służący jej ciotki, tak chyba powiedziała, i chciała mu złożyć wizytę.

Bill odezwał się, jak zwykle przeciągając sylaby. – A pan tak po prostu uwierzyłeś? Nawet struś by panu nie dorównał.

Purvis zasepił się. – Mam nadzieję, że nie zrobiłem niczego, czego nie powinienem – wydukał niewyraźnie.

– Masz pan szczęście, że znaleźliśmy pana dzisiaj wieczorem – wypalił

Bill wprost. – Jaki to adres podał pan dziewczynie?

– Radnor Road 151, Earl's Court Avenue.

– Na początek wystarczy – stwierdził Bill. – Jak ten gość wyglądał?

W Purvisie znowu wzięła górę podejrzliwość. – Chce pan powiedzieć, że go nie znacie osobiście?

– Czy wyglądamy na takich, którzy znają morderców?

– Skąd ja miałbym wiedzieć – wybuchnął Purvis. – On na takiego nie wyglądał. Jak mogłem się domyślić.

– I tu właśnie zawsze dajecie się nabrać, ludzie – wtrącił się Crook. – Spodziewacie się, że morderca nosi piętno Kaina, co by to nie było. Wierz mi pan, jestem bliżej zaznajomiony z mordercami od pana – porozumiewawczo kiwnął głową do zaskoczonego handlarza mebli – i śmiem twierdzić, że jeśli chodzi o powierzchowność, każdy z nas kwalifikowałby się do sznurkowego krawata.

– Wyglądał całkiem zwyczajnie – powiedział niechętnie Purvis. – Raczej chudy, ubrany na czarno...

– Trochę jak biały lis? – zasugerował Colin.

– No tak, proszę pana, to jakby on. Chce pan powiedzieć, że zajmie się tym policja?

– Cóż, jeśli nawet, to nie z mojej winy. Dlaczego mielibyśmy odwalać za nich robotę? Choć w istocie – dodał obojętnym tonem – możemy im zostawić resztki, jak już zbierzemy całą śmietankę. A przy okazji, tak na wszelki wypadek, czy nasz pan... jak się przedstawił?

– Robinson.

– Jeśli pojawi się ponownie, proszę pamiętać o naszej wizycie. Rozumie pan?

– Nie podoba mi się to – wybuchnął handlarz – coś takiego nigdy wcześniej mi się nie przytrafiło. Dotąd nie miałem do czynienia z policją. Jestem tu od dwudziestu lat.

– Nie ma powodów, byś pan nie pozostał tu przez następne dwadzieścia – dobrodusznie pocieszył go Crook. – Oczywiście, jeśli nas pan posłucha. Zresztą nie ma sensu ukrywać, że nasz pan Robinson nie będzie zbyt przyjacielsko nastawiony, jeśli dowie się, że depczemy mu po ogonie, a więc posłuchaj pan mojej rady i siedź cicho.

Purvis zdawał się bezgranicznie przerażony. – I jak długo to będzie trwało? – zapytał wyschniętymi ustami.

– My działamy szybko – pogodnie zapewnił go Crook. – Cała ta sprawa musi zostać załatwiona, tak czy owak, w ciągu kilku następnych dni. Jeśli pojawi się coś nowego, oto mój numer telefonu. A teraz wracaj pan do łóżka i odeśpij swoje.

Trzej mężczyźni opuścili pomieszczenia na Fulham Road i ponownie wciśnęli się w poobijany, mały, czerwony samochód.

– Miejmy nadzieję, że nasz przyjaciel Purvis nie obserwuje nas z okna na górze – odezwał się Colin – w przeciwnym razie dziwnie sobie pomyśli o środkach technicznych wywiadu. Spodziewałby się co najmniej rolls-bentleya.

– Wy amatorzy lubicie szpanować – zauważył nieelegancko Crook. – A taki rolls-bentley szybciej zwróciłby na siebie uwagę w tej części Londynu, podczas gdy nas można po prostu wziąć za trzech jeżdżących tam i sam hultai, i nikt nie będzie przejmował się, dokąd zmierzamy i o co nam chodzi.

Colin zamilkł na minutę czy dwie, potem zapytał: – Nie spodziewasz się zastać Petersa w tym domu, prawda? Byłoby to zbyt proste.

– Jak wy uwielbiacie komplikacje – jęknął Crook. – Powtarzam – wreszcie język mi od tego odpadnie – że zbrodnia doskonała to ta nieskomplikowana. Dlatego w końcu dopadnę Petersa. Bo rozumiem, jak funkcjonuje prosty umysł. Oczywiście nie spodziewam się go przy Radnor Road. Ale założyłbym się o wszystko, co zechcesz, że znajdę tam Sheilę Campbell.

## 16.

**R**adnor Road okazała się uliczką szeregowych, ubogich, małych, piętrowych domków, z niskimi suterrenami, z przodu od ulicy dzieliły je niewielkie, wybrukowane podwórka, na które wchodziło się przez sfatygowane, pomalowane zieloną farbą furtki. Budynek numer 151 stał przy samym końcu. Wyglądem różnił się trochę od sąsiednich; jego okna prawie całkiem zasłaniały koronkowe firanki o skomplikowanym wzorze kupidynów, urn i rozłożystych lilii. Na parterze można było dopatrzeć się roślin w doniczkach; w suterrenie czerwone, pluszowe zasłony, dokładnie zaciągnięte, chroniły wnętrze przed ciekawskim okiem przechodnia. Jasna poświata księżycy odsłaniała te szczegóły uważnemu obserwatorowi. O tej porze ulica była niemal całkowicie pusta. Tylko pod latarnią, zapomniawszy o reszcie świata, tuliła się do siebie jakaś para, a wielki, rudy kot pospiesznie przeskoczył ze ścieku na chodnik, gdy obok przejeżdżał mały, czerwony samochód. Z okien kilku domów rozbrzmiewały dźwięki muzyki z radia, czyjś wyraźny głos, dochodzący z parteru, zakłócił ciszę ulicy. W domu pod numerem 151 panowała głucha cisza.

– Pewnie teraz nikt tu nie mieszka – zauważył zamyślony Crook. – Okna nie zaciemnione, nigdzie się nie świeci. No i jak, Bill? Sądzisz, że dasz radę?

– W takich domach jak te nie zawracają sobie głowy solidnymi zamkami – stwierdził oschle Bill. – Nie ma tam nic wartego zabrania. Znałem w życiu wielu pazernych złodziei, ale żaden nie upadł aż tak nisko.

Gdy Bill zaangażował swój kunszt w otwieranie sezamu, Colin stał w pewnej odległości od towarzyszy, zwrócony w kierunku drugiego końca ulicy. Srebrzyste światło iluminowało olbrzymią, gęstą chmurę, która spokojnie unosiła się nad domami; wietrzyk lekko poruszał liście. Cała okolica zdawała się jakby otulona spokojem. Jednak ta sama cisza działała onieśmialająco. Zupełnie jakby domy baczenie obserwowały i nasłuchiwały; w przypiływie fantazji

niemal widział, jak nachylają się ku trójce postaci zastygłych wraz z całym światem na tym nie różniącym się od innych progu. Nagle uświadomił sobie ogrom miasta; tysiące tysięcy małych pudełek, w każdym mieszkańcy, czytający coś lub pogrążeni w drzemce, słuchający radia; w jednym takim pudełeczku będzie Julia, może także Peters, oboje znieruchomieli w oczekiwaniu. Trudno było mu znieść tę myśl. Niebezpieczeństwo grożące Julii z każdą chwilą zwiększało się; a wszystko, co w tej sprawie robili, jeszcze bardziej uwidaczniało to zagrożenie. Jeśli okaże się, że Crook ma rację, jeśli ciało Sheili Campbell znajdowało się za tymi zamkniętymi drzwiami, to Peters nie miał wyboru, jak tylko pozbyć się drugiej dziewczyny, która zagrażała jego bezpieczeństwu, po kryjomu i szybko jak pierwszej. Colin pospiesznie odpędził od siebie tę myśl.

– Co jest z tymi drzwiami?

Bill otrzepywał dłonie; długie, delikatne ręce artysty, zauważył Colin.

– Zaryglowane od środka – rzucił oschle. – Musimy spróbować od tyłu.

Drugim wejściem na teren domu okazały się zielone, drewniane drzwi osadzone w bocznym murze. Były zamknięte na klucz, ale zamek nie sprawił trudności przedsiębiorczemu Billowi. W ciągu trzech minut intruzi znaleźli się w małym londyńskim ogródku, czyli wysypanym żwirem prostokącie ziemi porośniętym, jak zazwyczaj, wawrzynami i krzakami ligustra.

– Sprawdźcie okna – polecił chłodno Bill. – Jeśli ten człowiek ma choć trochę oleju w głowie, to zaryglował tylne drzwi i wydostał się przez okno. Jeżeli mam rację, to sprawa będzie dla nas o wiele mniej kłopotliwa; nawet nie trzeba będzie zbić szyby.

Miał rację; jeszcze tylko niewielki ruch czymś, co Bill wyjął z kieszeni, i okno od tylnego saloniku stanęło otworem, a trzech mężczyzn weszli do środka. Wnętrze domu sprawiało dziwne wrażenie. W każdym pokoju wisały firanki, ale poza doniczkami na stole w pomieszczeniu od frontu nie było tu żadnych mebli.

– To proste, drogi Watsonie – powiedział Crook. – On nigdy nie zamierzał się wprowadzić; nikt nie miał tu zamieszkać, ale należało sprawić wrażenie, że dom ma lokatora. Jak sądzę, powiedział człowiekowi, który przywiózł

rzeczy z Henriques Square, że pozostałe meble jeszcze nie nadeszły, a goście, który je zabierał, że cała reszta pojechała na nowy adres. Nie spodziewał się, by Purvis pojawił się i węszył, gdyż ten oczywiście założyłby, że dom jest pusty. Gdyby sklepikarz był sprytniejszy, wyczułby coś podejrzanego, usłyszawszy od Petersa, że nie ma potrzeby zachować tego adresu w tajemnicy. Ten oczywiście od samego początku nie zamierzał pozwolić, by dziewczyna tu dotarła. Ale jak już jesteśmy przy tym, nas też się nie spodziewał.

W holu nie było niczego, nawet dywanika. We frontowym saloniku stał stół, a na nim paprotki i rośliny obsypane smętnie opadającym już kwieciami. Na komodzie leżało kilka ogłoszeń – skierowana do burmistrza prośba o fundusze dla uciekinierów, poświadczenie zakupu tony węgla, broszurka o zagrożeniach związanych z nalotami i inna, dotycząca miejscowej misji, pod tytułem: „Źli ludzie pójdą do piekła”.

Cook przejrzał je pobieżnie i zawrócił w stronę schodów. Jak przewidywał, pokoje na górze także nie były umeblowane. Otwierał szafki, badał zawartość miniaturowych stryszków, potem zszedł do suterenu. Tu znajdowała się kuchnia i pokój śniadaniowy oraz okno, które widzieli z ulicy, szczelnie zasłonięte kotarami.

– Właśnie tutaj spodziewałbym się ciała – zauważył. – Bo inaczej, po co zaciągać zasłony?

– By świat zewnętrzny nie zorientował się, że pomieszczenie stoi całkiem puste – odpowiedział Colin.

Crook rozważył tę możliwość i uznał ją za prawdopodobną.

– Może i tak – przyznał. – Mogło tak być. Tylko w takim razie, gdzie jest dziewczyna? Na pewno tutaj; inaczej jaki sens miałoby utrzymywanie tego domu? Przecież nie zawiesił zasłon tylko z powodu ciekawości tragarzy Purvisa.

Zaczęli szukać na nowo, tym razem o wiele dokładniej. Na pierwszy ogień poszedł piec kuchenny, ale był chłodny i pordzewiały, najwyraźniej nie używano go od dłuższego czasu. Ostatni lokator gotował na staromodnej kuchence gazowej; pokrywała ją gruba warstwa tłuszczu i brudu. Gdy Crook sprawdził palniki zapalką, okazało się, że te po jednej stronie nie działały.



– Ta buda od jakiegoś czasu stoi pusta – zauważył. – Agent od nieruchomości mógłby powiedzieć nam coś o niej więcej jutro rano.

Coraz bardziej wydaje się prawdopodobne, że Peters przeznaczył ją na grobowiec Sheili Campbell. Tylko gdzie ona u diabła jest?

Wydawało się, że mogła zostać ukryta jedynie w kilku miejscach. Dopiero gdy trzej mężczyźni stanęli razem w sypialni, do Crooka dotarła straszliwa prawda.

– Ależ z nas dudki – przyznał, jak to on, otwarcie. – Uroczycie oświadczam, że nie zasługujemy, by złapać tego ptaszka. Właśnie coś mi się przypomniało.

– To znaczy?

– Poświadczenie dostawy węgla w pokoju na dole. Jeśli od jakiegoś czasu nikt tu nie mieszkał, a gotowanie odbywało się na kuchence gazowej, to po co komuś tona węgla?

Minęła chwila, nim Colin pojął znaczenie jego słów, a nawet wtedy próbował się jeszcze bronić przed oczywistym wnioskiem. Bill pozostał nieporuszony. Tylko potakująco skinął głową.

– Chyba się nie mylisz, Crook. Lepiej chodźmy sprawdzić.

Pozostał najbardziej opanowany z całej trójki, prowadząc tę małą procesję do piwnicy. Ale nawet Crook, który znał go od lat, nigdy nie widział Billa wyprowadzonego z równowagi. Jako kryminalista zatrudniał Crooka do przechytrzenia policji; jako uczciwy obywatel lojalnie przestrzegał zasad Crooka, jednak w przeważającej swej części pozostał kimś nieznanym. Crook powiedział kiedyś, że nieraz był skłonny uwierzyć, że Bill jest rezultatem eksperymentu Opatrzności w dziedzinie produkcji robotów. Samo to, że był jedynym w swoim rodzaju, dowodziło, że przerósł nawet Jej możliwości.

Piwnica była mała, wąska i całkowicie pogrążona w ciemnościach. Na środku wznosiła się piramida węgla.

– Masz rację, Crook – przyznał Bill. – Węgiel nigdy nie układa się w ten sposób po wrzuceniu go przez okienko. Temu tutaj sztucznie nadano geometryczny kształt.

Bill pierwszy wziął opartą o ścianę łopatę i ją rozkopywał stertę, uważnie i równocześnie energicznie. Po bardzo krótkim czasie przypuszczenie Crooka się

potwierdziło, gdy ukazała się ludzka dłoń. Colin, zielony na twarzy, oparł się o mur, niszcząc swój porządny garnitur, tymczasem pozostała dwójka pospiesznie odkrywała straszną tajemnicę zaginionej dziewczyny.

– Trzeba Petersowi przyznać, że zna się na swojej robocie – skomentował po chwili Crook, przecierając dłonią spocone czoło. – Kto teraz rozpozna, jak zmarła ta dziewczyna?

– Kto u licha zdoła zidentyfikować *to* tutaj jako Sheilę Campbell? – dodał Colin.

– To nie nasza sprawa. Twoi chłopcy zatrudnili tę dziewczynę – będziecie musieli doprowadzić rzecz do końca. No cóż, dzisiejszego wieczoru zdaje się działałem nierutynowo. Należy natychmiast powiadomić policję, żebyśmy się nie okazali współwinnymi po fakcie.

– I tak będziemy musieli nieco okroić naszą relację – przypomniał mu Bill. – Policjanci to zawistna banda. Lubią zajmować się przypadkiem od samego początku, a nie dostawać go, że tak powiem, w stadium numer pięć.

– Nie jestem tutaj, by dogadzać policji – z ożywieniem odparował Crook. – Powinni być cholernie wdzięczni, że odwaliliśmy za nich czarną robotę.

Trafność tej uwagi wstrząsnęła Colinem. Nie mógł zapomnieć – co pozostałym widać się udało – że w tej samej chwili Julia Ross znajduje się na łasce człowieka odpowiedzialnego za koszarne znalezisko w tej piwnicy.

**J**ak to dobrze, że żaden z nas nie jest żonaty – zauważył Crook, pozornie jak zawsze bez sensu, gdy opuszczali dom pod numerem 151 przy Radnor Road.

– Ładnie powiedziałeś – zgodził się lakonicznie Bill.

Colin najwyraźniej nie rozumiał. – Sądzicie, że tak jest lepiej? – zdziwił się.

Bill skrzywił się szyderczo. – On myśli, że chodzi ci o zwykły rodzinny obrazek – rzucił do Crooka.

– Nie zna nas najlepiej, jak myślisz, Bill? – odparował ten obojętnie. Nawet okropne odkrycie w piwnicy i świadomość, że wnet mogą trafić na podobne, nie zdołały go poruszyć. – Chciałem tylko powiedzieć, że nigdy nie znałem mężczyzny, który umiałby się wytłumaczyć z nocnej nieobecności w domu na tyle wiarygodnie, by przekonać żonę. A tutaj, jeśli policja cokolwiek się dowie, zanoszą się na całonocne wyjaśnianie. No pomyśl, człowieku – dodał niecierpliwie. –

Postaw się na ich miejscu. Wpadamy na posterunek z oświadczeniem, że właliśmy się do cudzego domu bez pozwolenia od właściciela czy policji i znaleźliśmy tam trupa. Gdy nas zapytają, jak według nas zwłoki dostały się do piwnicy, powiemy, że gość o nazwisku Peters wynajął ten dom specjalnie po to, by je tam umieścić. Czy znamy owego Petersa? Cóż, nie do końca. Czy możemy wskazać jego aktualne miejsce pobytu? Ta sama odpowiedź. A co z tą damą – *może* to nasza przyjaciółka. Tego nie moglibyśmy na sto procent potwierdzić. Czy mamy jakiś dowód, że to Peters ją tam umieścił? Właściwie nie. A, u diabła, jakichś świadków? Jednego, ale wygląda na to, że zanim uda mu się zająć miejsce dla świadków, znajdzie się w tym samym stanie co zmarła. Nie najlepiej to wygląda, prawda?

– Istnieje agencja, przez którą dokonano wynajmu tego domu – zasugerował Colin bez większego entuzjazmu. – Choć jestem gotów założyć się o beczkę piwa, że nigdy nie słyszeli o żadnym panu Petersie. A jeśli nawet, nadal my będziemy musieli się z nim skontaktować, i to szybko. W tym nasza jedyna nadzieja.

– I jeszcze w Julii – poprawił go Colin. – Przecież on raczej nie spodziewa się, byśmy go wytropili wcześniej niż dopiero z rana. Może chce wyciągnąć od Julii jakieś informacje, a o ile znam tę dziewczynę, nie piśnie ani słowa. Jest naprawdę dzielna.

– Oby tylko wytrzymała jak najdłużej – wykrzyknął nabożnie Crook. – Posłuchaj mojej rady, chłopie, nie zbaczaj z prostych i nieskomplikowanych ścieżek cnoty. Peters nie jest głupcem. Raczej nie zatrzyma sobie tej dziewczyny jako maskotki. A zresztą, co mogłaby mu powiedzieć? Że Crook jest na jego tropie. To wszystko, a wtedy jeszcze bardziej zależałoby mu na jak najszyszym wykończeniu jej.

– W kwaterze głównej jest taki gość o nazwisku Ronsonby. Trochę go znam. Zadziała szybciej niż zwykła policja. Mógłbym do niego zadzwonić...

Crook powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Pamiętasz, co mówiłem ci od samego początku? Crook prowadzi tę sprawę i nie lubi, by mu mieszał szyki jakiś amator. Zostaw to swojemu wielkodusznemu Wujkowi Arturowi. Ten Ronsonby może sobie smacznie pospać. Sam znam niejakiego Fiel-da. Pomoże, jeśli mu się odpowiednio naświetli sprawę. Szybko wszystko się

rozstrzygnie. Chyba o tym wiesz. Jeśli nie dopadniemy naszego ptaszka jeszcze dziś wieczorem, nie minie tydzień, gdy będziemy śpiewać żałobne pieśni dla małej Julii Ross... Aha, tego szukałem. – Wypatrzył czerwoną budkę telefoniczną i pospieszył do niej.

– Żeby tak mieć choć jakie takie pojęcie, gdzie Peters się podziewa, moglibyśmy coś zrobić – mruknął zdesperowany Colin do Billa, który wyciągnął paczkę papierosów i zapalał kolejnego. – Ale my nie wiemy absolutnie nic.

Bill z trzaskiem opuścił wieczko zapalniczki – była ze złota i gdy przed dziewięcioma laty trafiła w jego ręce, wygrawerowane na niej inicjały należały do kogoś innego – i zapytał jak zwykle obojętnym tonem: – Czy kiedykolwiek słyszałeś o perłach Merseyside'a?

– Chyba nie. Co one mają z tym wspólnego?

– Już mówię. Merseyside był jednym z tych gości, co to uważają, że świat ma obowiązek ich utrzymywać, a co więcej, potrafią dopilnować, by tak było. Gdy już znacznie przekroczył czterdziestkę, zachciało mu się jakiejś zmiany i pomyślał sobie, że sprawdzi, jak to jest, gdy się żyje ucziwie. A wierz mi, większość chicagowskich gangsterów to dzieciaki z loczkami w porównaniu z tym typem. Zaręczył się z prawdziwą pięknotką i przed ślubem urządził kawalerski wieczór. W prezencie miał dla narzeczonej sławne perły Merseyside'a. Zabrał je na przyjęcie w kieszeni smokinga, naprawdę, jakby były sznurkiem paciorków, i pokazywał zebrany, przekazując z rąk do rąk. Przyjęcie zakończyło się zaraz po północy, a około czwartej rano posterunkowy znalazł Merseyside'a sztywnego na amen, na jego własnym progu – bez pereł. Zamieszaniu nie było końca, pereł szukano wszędzie – ponoć w rankingu plasowały się zaraz po klejnotach koronnych – i dopiero po pogrzebie, gdy trawa już weszła na grobie, jakiś poczciwiec wpadł na pomysł, by przeszukać smoking nieboszczyka. I były tam, jak w gniazdku. Okazało się, że gościa wykończył jego własny kamerdyner – miał żal do jego lordowskiej mości za sposób, w jaki ten wykorzystał prawo pierwszej nocy wobec jego córki – i gdy policja już przeszukała dokładnie wszystko, Burton po prostu wsunął perły z powrotem – rozumiesz? Przypadek psa wracającego do własnych wymiocin. Wiesz, dokąd teraz idziemy?

Zanim Colin zdążył odpowiedzieć, pojawiła się krzepka, przysadzista postać Crooka.

– Biurokraci, nawet ci najlepsi, wymagają mnóstwo przekonywania – stwierdził. – Mam wszakże wrażenie, że teraz nam się uda. – Wsunął się za kierownicę małego samochodu, ruchem podobnym do tego, jaki wykonuje nóż wyciskający ostrygę. – Czuję się trochę nie w porządku, nie dopuszczając Cummingsa do tej sprawy – ciągnął. Cummings był wydawcą *Record*, specjalizującego się w aferach londyńskiego dziennika i stąd cieszącego się wielką popularnością; był także bliskim przyjacielem Crooka, nigdy w razie potrzeby nie szczędząc mu przesadnych pochwał. – Ale to nie byłoby bezpieczne. Nikt nie musi mi mówić o wadze rozgłosu, ale potrafię dostrzec także drugą stronę medalu. Z chwilą włączenia się prasy, nie dałbym wyciśniętej pomarańczy za szanse Julii. Nie możemy nic zrobić dla tej biedaczki w piwnicy – odeszła już do aniołków, ale pozostajemy jedyną nadzieją Julii.

– Dokąd więc jedziemy? – zapytał Colin, gdy samochód wziął ostry zakręt.

– Polując na szczura, najlepiej poszukać go w jego własnej norze.

– O tym mu właśnie mówiłem – wtrącił Bill.

– A więc pędzimy na złamanie karku pod numer 30 przy Henriques Square.

## 17.

Choć ledwie mijała ósma, na dworze zapadły już głębokie ciemności. Od rzeki nadpłynęła lekka mgła, kładąc się po ziemi tak nisko, że nad nią widać było niebo, przypominające sobolowy błam upstrzony srebrzystymi punkcikami, w najmniejszym nawet stopniu nie rozjaśniającymi mroku opustoszałych ulic. Diabelska noc, za rogiem ulicy orzekł jeden mężczyzna do drugiego. Z pubów wydobywały się cieniutkie wiązki światła, słychać było głośne rozmowy, ale na zewnątrz zapadła niezwykła cisza. Przecinało ją miarowe posapywanie niesamowitego samochodziku Crooka, jakby rzucony kamień rozbijający szkło, ale on sam zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Krokodyl kapitana Hooka – wykrzyknął nagle Colin, przerywając długie milczenie. – To jego właśnie przypomina mi twój wóz. Najpierw się go słyszy, dopiero potem widzi.

– Ale nie o wiele wcześniej – odpalił Crook wyjątkowo jak na niego ponurym tonem. Skręcił za następny róg ulicy.

– Jak sądzisz, jak Peters to załatwił? – zastanawiał się na głos Bill. – Nie można przecież tak po prostu wejść do publicznej budki telefonicznej i porwać kobietę w biały dzień. A może udawał lekarza i utrzymywał, że zemdląca?

– Samochód lekarza raczej wpada w oko – zwrócił mu uwagę Crook. – Zwłaszcza obecnie, gdy wszyscy stosujemy oznakowanie.

– To może porwał ją taksówką?

– Do opuszczonego domu? Pomyśl dwa razy, zanim coś powiesz, Bill.

– Szofer mógł należeć do spisku.

– I dałbym głowę, że w tkwił w nim po uszy.

– A więc mamy ich dwóch – dorzucił w zamyśleniu Colin. – Może obaj mieli broń.

– Niekoniecznie – to znaczy myślę, że nie obaj.

Bill wreszcie zrozumiał. – A więc o to chodzi. Jeśli ten gość przebrał się za taksówkarza, dama mogła nie połapać się, aż było za późno...

– Ale nawet w takim przypadku nie mógłby zostawić wolnej taksówki na dwie godziny przed niezamieszkałym domem – zaprotestował Colin. – Nawet gdyby stała zaparkowana naprzeciwko, pod numerem 28, i tak zwróciłaby uwagę.

– Nie sądzę, by musiał zostawiać pojazd na tak długo – ponuro zawyro-kował Crook. – Nie masz zbyt wiele doświadczenia w kwestii morderstwa, prawda, Colin? W każdym razie nie tyle co Peters. Ekspertom nie potrzeba dużo czasu. Dla nich cała trudność tkwi w pozbyciu się ciała. W obecnych czasach lepiej nie zostawiać trupów rozkładających się w pustym domu. A gdyby władze zainteresowały się taką posiadłością choćby dla nieszczęsnych Belgów i znaleziono by ciało – no cóż, zadawano by pytania, prawda? I nie byłyby one zbyt miłe dla naszego pana Petersa.

– Tak długo, jak nie domyśla się naszej wizyty na Radnor Road, wciąż mamy szansę – upierał się Colin. – Stawiam na to.

Pokonawszy jeszcze jeden skręt, dojechali na Square i ostrożnie podtoczyli się pod numer 30. Czekająca ich tutaj niespodzianka wytrąciła z równowagi nawet flegmatycznego Crooka. Przy krawężniku stało już inne auto, a nie była to taksówka, tylko wóz policyjny.

– Dobra robota – mruknął Crook, podjeżdżając pod radiowóz. – Dzisiejszej nocy zapewnimy sąsiadom niezłą rozrywkę. No cóż, chyba po raz pierwszy policja ubiegła Arthura Crooka. Powinni zanotować ten fakt w swoich rejestrach.

Wysiadł i zaczął z niezwykłą starannością zamykać drzwiczki na klucz. Zachowuje się, pomyślał Colin, jakby każdy złodziej w Londynie miał zakusy na to małe szkaradziejstwo. Bill odszedł kilka kroków i przyjrzał się samochodowi stojącemu przed nimi.

– Nikt nie został na straży – powiedział po chwili. – Zapewne wszyscy są w środku.

– Czekają na nas – stwierdził Crook z ważną miną. – Co jest, Colin? Nikt nie reaguje?

Stojący na stopniach pod drzwiami Colin rzucił opryskliwe: – Pewnie biorą nas za dziennikarzy. Spróbuję jeszcze raz.

Ponownie uniósł ogromną kołatkę. Tym razem z lepszym skutkiem. Przy najmniej ustalili, że w domu ktoś jest.

– Obserwują nas z góry – po chwili powiedział Crook. – Jeden Bóg wie, co spodziewają się zobaczyć w taką noc.

– Może uznali nas za członków tej szajki – poważnie zasugerował Colin.

Crook skrzywił się. – Chyba nawet z góry widzą, że tak nie jest? Nie przesadzaj. Uważaj, Colin, schodzą.

Usłyszeli wyraźny odgłos kroków na nie nakrytych chodnikiem schodach i po chwili frontowe drzwi otworzył wysoki sierżant policji. W ciemnym korytarzu za jego plecami kłębiły się cienie. Sierżant trzymał w ręce latarkę z matowym szkiełkiem, którą przezornie skierował w górę.

– Moje gratulacje – szczerze oświadczył Crook. – To ja dzwoniłem. Przedstawię nas. Pańska latarka nie należy do najlepszych. Oto pan Bruce, pan Parsons – pewnie jesteś zbyt młody, by go pamiętać, to znaczy na polu zawodowym – a ja nazywam się Crook. Przybyliśmy zasięgnąć informacji o panie Ross.

Sierżant zdawał się w najmniejszym stopniu nie poruszony tą wytworną przemową.

– Dlaczego sądzicie, że ona tu jest? – zapytał.

– A gdzie miałyby przebywać? – zapytał wprost Crook. – To pan odebrał mój telefon?

Sierżant cofnął się kilka kroków, wpuszczając wszystkich do środka. – Szef chce was zobaczyć – poinformował. – Poczekajcie tu, dobrze? – Otworzył drzwi do pokoju na prawo. – Niestety, strasznie tu ciemno – tłumaczył się. – Okiennice są nadal zamknięte, a prąd wyłączono.

Crook włożył rękę do kieszeni i wyjął przedmiot kształtem przypominający olbrzymi, automatyczny ołówek. Wcisnął guzik i z ołówka wydobyła się wiązka bladego, błękitnego światła.

– Arthur Crook, robaczek świętojański w ludzkiej postaci – oświadczył. – Chyba poczekamy w korytarzu. Pewnie to nie potrwa zbyt długo.



Sierżant, na którym wyraźnie nie robił wrażenia energiczny sposób bycia Crooka, oświadczył: – W porządku – i podszedł do schodów wiodących do sutereny. Usłyszeli, że kogoś woła, po czym pospiesznie zbiega na dół.

– Zbrodnia piwniczna numer 2? – rozważał na głos Crook.

– Nie zdołałby jej popełnić od piątej trzydzieści – zaprotestował Colin. – Boże, Crook, chyba nie myślisz, że...

– Myślę, że czeka nas diabelnie długa noc – przerwał mu tamten. – Że też nie zabraliśmy kilku butelek piwa. Zawsze najlepiej działa mi się po tym napoju. Niektórzy – plótl dalej – najlepiej operują po dzinie, znałem nawet takiego, który wołał sok z limonek. Ale i tak na bazie rumu.

– Tamten ani słowem nie wspomniał o Julii – przerwał mu roztrzęsiony Colin. – Chciałbym wiedzieć, czy ją mają. Powinienem być zapytać...

– Odesłałby cię do szefa. Taka dyscyplina...

Colin podszedł do schodów i stał, nasłuchując, na górnym podeście. Po chwili wrócił do Crooka.

– Nic nie słychać – rzucił chrapliwie. – Żadnej rozmowy – nie sędzę, by ktokolwiek był na dole. Wystawili nas do wiatru, Crook. *Ten* gość to nie żaden sierżant, ale Peters we własnej osobie.

– Co ty nie powiesz – odrzekł uprzejmie Crook. – Zejdźmy więc i dowiedzmy się czegoś więcej, dobra?

Zaczekali jeszcze chwilę. Na ulicy panowała głucha cisza. Na chodniku zadźwięczały kroki samotnego przechodnia. Zatrąbiła przejeżdżająca taksówka, z radia w domu naprzeciwko płynęła łagodna muzyka. Wreszcie Crook podjął decyzję.

– Dobrze – oświadczył. – Idziemy.

Bill zaświecił mocną latarkę i cała trójka zeszła schodami do sutereny. Drzwi prowadzące do olbrzymiej kuchni stały otworem i ekipie wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że pomieszczenie jest puste. Drzwi pomywalni były zamknięte; Bill sforsował je i zaraz wionęło im w twarz lekko stęchłe powietrze. Zalutujące cementarzem. Nie było tam wiele możliwości ukrycia czegokolwiek. Gdy otwarli na oścież drzwi do spiżarki i ujrzeni wielki, zakurzony, miedziany kocioł, cofnęli się do korytarza. Piwnica na węgiel znajdowała się na drugim jego końcu, a drzwi do niej, jak się okazało, też były zamknięte na klucz.

– Parsons, do roboty – zakomenderował Crook, stając obok swych towarzyszy i Bill, lekko utykając, wszedł między nich i, pochylając się, poświecił latarką zamek. Klucz leżał na podłodze u ich stóp. Bill rzucił na niego okiem. Spróbował umieścić go w zamku, ale powykrzywiany, zniekształcony klucz okazał się do niczego.

– Rozbił zamek, gdy się stąd wydostawał – stwierdził Bill. – To może mieć jakieś znaczenie albo po prostu zwykła sztuczka, żeby nas zatrzymać. – Poświecił latarką ponownie i tym razem to Colin pochylił się, tłumiąc okrzyk.

– Spójrzcie na to – zawołał. Wyciągnął dłoń i zaraz wszyscy trzej patrzyli na małą błyskotkę w postaci różowego kwiatka.

– Kolczyk Julii – wyjaśnił Colin. – Pamiętam, jak pokazywała mi je jednego wieczoru u Lyonsa. To dowód, że tu dzisiaj była. Miała je w uszach tamtego wieczoru, gdy przyjechała z Moreton, a od tamtego dnia raczej nie byłaby skłonna składać tu wizyt. Oznacza to, że jest w tej piwnicy.

Crook spojrział pytająco na Billa. – Co o tym sądzisz?

– Być może – odrzekł tamten obojętnie. – Jednak coś mi tu nie pasuje. Zamierzałem otworzyć drzwi na siłę, ale być może on to sobie wykalkulował i zawiózł damę w jakieś miejsce, gdzie nakarmi ją łożem. – Z kieszeni wyjął pistolet i popatrzył na niego zamyślony. – Może lepiej nie – stwierdził i padając na kolana, zabrał się do roboty.

Crook otworzył tylne drzwi domu i wyszedł schodami dla dostawców. – Samochód policyjny ulotnił się – oświadczył po powrocie. – Ale nie przeciął nam opon, jak się spodziewałem. Pewnie nie chciał marnować czasu...

Zwrócił się do Billa: – Jak ci idzie?

– Ten typ zna się na robocie.

Bill wyprostował swą długą postać i przysadzisty Crook pochylił się nad zamkiem, by mu się przyjrzeć, przypominając małego słonia w brązowym garniturze.

– Tak jak mówiłeś – przypomniał mu Bill. Wyciągnął z kieszeni jeszcze jakieś inne narzędzie, paseczek cieniutkiego metalu, i wsunął do zamka. Pozostała dwójka obserwowała go, Colin pocąc się ze strachu na myśl, co może kryć się za drzwiami do piwnicy, a Crook z zawodowym zainteresowaniem. Bill manipulował metalowym paskiem ze zręcznością chirurga przy operacyjnym stole.

– No! – krzyknął nagle. – Mógłbyś poświecić w tę stronę?

Coś kliknęło, zadrżało i Bill gwałtownie napał na drzwi. Crook pomógł mu z całą mocą swego przysadzistego, krzepkiego ciała i drzwi zaczęły ustępować pod naporem.

– Uważajcie! – ostrzegawczo zawołał Crook. – Za nimi pewnie są schody, a połamani nie na wiele przydamy się drogiej Julii ani nikomu innemu.

Wszyscy razem pchnęli drzwi na oścież; za nimi, jak Crook przewidział, cztery kamienne stopnie prowadziły do przestronnej, ciemnej piwnicy, z podłogą pokrytą pyłem węglowym i niewielką kopką węgla w jednym kącie. Było go akurat w sam raz, stwierdził Crook, by ukryć średniej wielkości królika. I tyle.

– Nikogo tu nie ma, żadnej bomby zegarowej, niczego – stwierdził. – No cóż, zrobił z nas głupków, co zapewne było jego zamiarem. Co teraz?

Nikt mu nie odpowiedział, gdyż w zastygłej nad ich głowami ciszy rozdzwonił się telefon.

Wydawał owe przerażająco czyste dźwięki, właściwe dla telefonów w niezamieszkałych domach. Dzwonki spływały na dół schodami, niczym uparty petent, nie przyjmujący odmowy. Dźwięki dochodziły z taką mocą, że Colinowi wydawało się, jakby to martwy człowiek nagle otworzył usta i wyrzucał z nich słowa z błyskawiczną prędkością. Crook minął go biegiem, szybko sunął do góry, przeskakując po dwa schodki. Colin dogonił go kilkoma skokami.

– To z pewnością pani Ponsonby – wydyszał. – Nikt inny nie pomyślałby o szukaniu tu Petersa. Nikt inny by nie wiedział.

– Ona albo pomyłka – zgodził się Crook ze złośliwą miną i odwróciwszy się w drugą stronę, ruszył do pokoju, w którym Julia po raz pierwszy próbowała przeciwstawić się tyranii swej pracodawczyni. Na zakurzonej podłodze stał staromodny aparat. Crook pochylił się i podniósł słuchawkę do ucha.

– Halo! Tak. Tak, wiem. Rozumiem... Właśnie tak powiedziałem. Nie zawalcie tej roboty. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę na miejsce i odwrócił się do zdumionego Colina.

– Teraz to naprawdę musimy przyspieszyć – stwierdził. Wyjął z kieszeni swą wielką cebulę. – Zmarnowaliśmy czterdzieści minut na sforsowanie tych

drzwi. Dotarliśmy tu o ósmej dziesiąt. Jest ósma pięćdziesiąt. Potrzebujemy czterdziestu, powiedzmy czterdziestu pięciu minut, co daje dziewięć trzydziści pięć. Wyśmienicie. Mamy fory. – Radośnie skinął głową do bynajmniej nie skłonnego do śmiechu Colina i zbiegł po schodach do holu. Frontowe drzwi stały otworem.

Bill już siadał za kierownicą. Crook jednym skokiem usadowił się obok niego, ledwie dając Colinowi czas na zajęcie miejsca z drugiej strony; Bill ruszył. W ciągu minionej półgodziny mgła zgęstniała. Bill był doskonałym kierowcą, ale i tak nie udało im się dotrzeć na miejsce przeznaczenia w ciągu czterdziestu pięciu minut, jak założył Crook. Była za kwadrans dziesiąta, gdy samochód podjechał pod pub o nazwie Kolejowa Gospoda, nieco oddzielony od nie uczęszczanej drogi niewielkim, wyłożonym płytami chodnikowymi podwórkiem.

Przez połowę drogi Colin jechał w milczeniu; żaden z towarzyszących mu mężczyzn, których darzył podziwem, nie zdawał się pamiętać o jego obecności. Wydawało się ironią losu, że to właśnie on miał w tej sprawie najwięcej do stracenia – no bo cóż, pomyślał, znaczy reputacja Crooka w porównaniu do jego miłości do Julii? – a stosunkowo tak niewiele do powiedzenia w kwestii szansy na jej uratowanie, że właściwie nie sprawiłoby różnicy, gdyby w ogóle go tu nie było. Po upływie dwudziestu minut wybuchnął z desperacją.

- Powiedz mi coś, Crook. Czekaleś na ten telefon?
- Oczywiście.
- A więc wiedziałeś, że linia nie została wyłączona?
- No pewnie. No bo jak mógłbym skontaktować się Petersem, gdyby telefon nie działał?

Choć twarz Colina pozostawała niewidzialna w ciemnościach, niemniej jego zaskoczenie było oczywiste dla pozostałej dwójki.

- Chcesz powiedzieć, że już wcześniej do niego telefonowałeś?
- Słyszałeś przecież, co mówiłem, gdy nas wpuszczał: To ja dzwoniłem. Na Boga! Sądzisz, że w moim wieku i przy mojej reputacji miałbym czas ugańnić się za widmami, których mogłoby tam w ogóle nie być? Oczywiście, że orientowałem się, że Peters będzie przy Henriques Square. Dlatego tam pojechaliśmy. Wiedziałem, że jeśli usłyszysz ten sygnał, nie zdoła się oprzeć chęci

zareagowania. Widzisz, zawsze istniało prawdopodobieństwo, że to może być pani Ponsonby. W przeciwnym przypadku mógł oświadczyć, że to pomyłka, co też uczynił. Miał kłopot, gdy pojawiliśmy się u drzwi. Nie był pewien, czy rzeczywiście do niego dzwoniłem, czy dałem się nabrać i wziąłem go za tego, kogo udawał. Musiał podjąć ryzyko i dokonał złego wyboru. To tyle.

– I wiesz, gdzie teraz jest?

– Pamiętasz, jak czekając w holu, usłyszeliśmy trąbienie taksówki? To nasz człowiek dawał znak, że droga wolna. Pojechał za Petersem, podczas gdy my rozbieraliśmy numer 30 przy Henriques Square na czynniki pierwsze. Co więcej, sygnalizował, że nie spuści go z oczu do naszego przybycia.

– A Julia? – Colin z trudem wypowiedział jej imię.

Crook nachylił się i przyjacielskim gestem położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

– Nie prosz o więcej niż jeden cud na raz – przestrzegł. – Niedługo będziemy mogli odpowiedzieć na to pytanie.

Colin zamilkł, a samochód zanurzył się w ciemnościach. Zatrzymali się pod gospodą i gdy Bill zatrąbił, prywatne wejście do baru otwarło się gwałtownie i wyszedł z nich jakiś mężczyzna. Zbliżył się do samochodu i konfidencjonalnie zwrócił się do kierowcy.

– Macie czas do godziny zamknięcia – oświadczył. – Do tej pory gość nie ruszy się. Ferreman jest w środku i zajmuje go czymś, pouczony, by go nie odstępować, wczepić się w niego jak kleszcz. Lepiej zaparkujcie samochód tak, by nie było go widać – dodał. – To znaczy na wypadek, gdyby go rozpoznał...

– Zmora Dróg – czulę skomentował Crook, gdy Bill wycofywał samochodzik na wąską dróżkę. Wszyscy trzej wysiedli i teraz, w czwórce, stali schowani w plamie cienia i rozmawiali szeptem.

– Powiedział coś? – upewniał się Crook.

– Wygadał nam wszystko, prawie nie otwierając ust – zapewnił oficer policji. – Widzicie nazwę tego pubu? Tory kolejowe biegną za budynkiem, w dole, w odległości około ćwierć mili. Nie ma tu stacji, tylko rzadko używany przystanek. Kolej korzysta z tej linii po zmroku, do przewozu ciężkich towarów. Jakies dwanaście mil dalej tory łączą się z linią biegnącą do Charminster. O dziesiątej dwadzieścia nadjedzie pociąg, w którym nie będzie żywego ducha

poza palaczem i motorniczym. Ci o tej porze nocy niczego nie zauważą, zwłaszcza przy tak gęstej mgle. Nie twierdzę, że gdyby poczuli, jak koła na czymś podskakują, nie zatrzymaliby się, ale gdyby nawet zainteresowano się sprawą, nikt nie pytałby o naszego pana Petersa, bo go tu nie będzie. Ani śladu po znikającym króliku.

– To nic nowego – stwierdził Crook – ale za każdym razem przybliża nas do celu. Właśnie prostota całej sprawy jest taka wspaniała. A dla nas – zdawał się zwracać głównie do przerażonego Colina – przeznaczono niewielki, zgrabny ustęp w popołudniowej edycji jutrzejszego dziennika: *Na torach znaleziono ciało dziewczyny*. Noc jest czarna i z każdą chwilą staje się czarniejsza, nawet gdy tu sobie stoimy. Nie można by mieć pretensji do motorniczego, gdyby nie dostrzegł na torach czegoś, co nie powinno się na nich znajdować. A gdyby znalazł dziewczynę, to nie mam wątpliwości, że jej torebka leżałaby obok niej, z dowodami wskazującymi na nią jako pannę Sheilę Campbell z Londynu. Po opublikowaniu tej informacji nasza pani Ponsonby natychmiast pojawiłaby się z wielce interesującą opowieścią o dziewczynie, która nie wiedziała, jak się nazywa, i już trzykrotnie usiłowała odebrać sobie życie. I co więcej, miałaby licznych świadków na uwiarygodnienie swej historyjki...

– Byłaby jeszcze nasza wersja – przypomniał mu Colin.

– Nie rozśmieszaj mnie – błagalnie powiedział Crook. – Kto poza wariatem z wariatkowa zechciałby nas słuchać? Idziesz do sądu i mówisz chłopakom, że ta dziewczyna to nie Sheila Campbell. To Julia Ross. No cóż, to kwestia raczej sporna, bo jakie masz dowody? Jak długo ją znałeś? Cztery miesiące. Gdzie ją spotkałeś? W herbaciarni u Lyonsa. Masz coś, co by potwierdziło jej tożsamość?

– Pani Mackie – przypomniał mu bez wahania Colin.

– A jakim to solidniejszym od twojego dowodem dysponuje pani Mackie? Jakaś dziewczyna przybywa do jej pensjonatu i podaje się za Julię Ross. Nigdy nie otrzymuje listów ani telefonów. Dokument tożsamości w jej torebce opiewa na Sheilę Campbell; wszystkie jej rzeczy, szczotki do włosów, bielizna, cokolwiek, nosi inicjały S.C. Dostarczony materiał dowodowy wskazuje na jej niezrównowagę, na skłonność do halucynacji i konieczność pilnowania jej w dzień i w noc. Pani Ponsonby miałaby wszystko udokumentowane, świadka na każdy przypadek. Byłbyś bez cienia szansy.

– A co z pracodawcami Julii w Edynburgu? W jednym miejscu była przez cztery lata.

Crook wyciągnął dłoń i uszczyptał młodego mężczyznę w ramię. – Uspokój się! – napomniął go. – Zapominasz, że nasza przyjaciółka idzie na całość w kwestii ukrycia tożsamości tej dziewczyny. Sam mówiłeś, że trudno byłoby zidentyfikować Sheilę Campbell. Sądzisz, że mając pętlę zwisającą tuż nad głową, Peters stanie się mniej ostrożny przy następnej dziewczynie?

Colin zawahał się, nim zadał kolejne pytanie. – Myślisz, że ona już nie żyje?

– Jestem pewien, że jest wręcz przeciwnie. Lekarze sądowi to bardzo przemyślni osobnicy. Ostatnio umieją już całkiem dokładnie ustalić przyczynę śmierci. Gdyby dziewczynę uduszono, to cokolwiek spowodowałaby później lokomotywa, kompetentny lekarz policyjny, a zatrudnieni przez policję są właśnie tacy, znajdzie prawdziwy powód, założylibym się o ostatnią koszulę. O nie, ukryli ją w odpowiednim miejscu, nieprzytomną na tyle, ile trzeba.

– To dlaczego u diabła czegoś nie zrobimy? – gniewnie zapytał Colin.

– Bo musimy czekać na tego typa, by nas poprowadził.

– Przypadkowo wybrał najlepsze miejsce – wtrącił się policjant przebrany za taksówkarza.

– Przypadkowo, też coś – odparował pogardliwie Crook. – Nic podobnego, nasz przyjaciel wszystko zaplanował co do jednego szczegółu. Nie może sobie pozwolić na przypadek i wie o tym. Czeką do zamknięcia pubu. Takiej nocy jak ta nie będzie wielu ociągających się z wyjściem, a gdy już każdy odejdzie w swoją stronę, nikt się nie pojawi – w pobliżu torów nie ma żadnego domu. Będzie mógł wyjść z ukrycia, podobny do cienia w krainie cieni i nie bardziej widoczny od liścia w lesie. Pociąg przejeżdża o dziesiątej dwadzieścia, tak mówiłeś? – Zapytany przytaknął ruchem głowy. – Z jego punktu widzenia nie mogłoby być lepiej. Zaraz niedaleko jest odpowiedni zakręt i motorniczy odwali robotę za Petersa, nim zdąży się zorientować, co się dzieje. Wynika z tego, że dziewczynę ukryli gdzieś w pobliżu. Cały ten teren porastają kępy krzaków, nie brak także rozmaitych rozpadlin. Może być w jednym z takich miejsc.

– Jeśli ruszymy wszyscy razem, zdołamy zlokalizować ją, nim ten szatan się pojawi – wykrzyknął Colin. – Zresztą jak zobaczy światła, będzie się trzymał z daleka.

– I właśnie dlatego musimy poczekać. Ten człowiek jest wrogiem naszego kraju, tak samo jak twoim, Colinie. Nie przepadam za tego rodzaju mowami, ale w takich czasach trzeba jednak spojrzeć na sprawy szerszej – większe dobro, i tak dalej – no wiesz. Koniecznie należy go złapać na gorącym uczynku. Inaczej nie mamy przeciwko niemu wystarczających dowodów. Są tu policjanci, a oni uchodzą za wiarygodnych świadków. Co wskóramy my, znajomi, jeśli dojdzie do rozprawy w sądzie? Będziemy tylko zainteresowanymi stronami, to wszystko. Policja to już całkiem coś innego; jak żona Cezara są ponad podejrzeniami. Tak to już jest, czyż nie?

– Wiem, o co ci chodzi, Crook – odrzekł ostrożnie policjant w przebraniu taksówkarza. Było oczywiste, że już wcześniej miał do czynienia z tym dynamicznym, małym prawnikiem.

– Dlaczego u licha Peters marnuje tyle czasu? – zapytał Colin, który na podobieństwo wyskakującego z pudełka, zamocowanego na sprężynie pajacyka, nie mógł usiedzieć na miejscu. – Dopadł dziewczynę przed szóstą. Jeśli przywiózł ją prosto tutaj, to czemu od razu nie dokończył dzieła?

Crook popatrzył na niego z politowaniem. – I ty jesteś jednym z tych gości opłacanych przez rząd, by pomogli wygrać wojnę. Peters zrobiłby z siebie niezłego głupka, gdyby rzucił dziewczynę na tory w świetle dnia. Poza tym pociągi towarowe kursują dopiero późną porą, gdy cały ruch pasażerski na tej linii zamiera. Nie sądzę, by zamierzał pojawić się tu przed zamknięciem pubu, ale wykurzyliśmy go z Henriques Square, a nie wiedział, że za nim pojedziemy. Do tego nie zauważyłeś, że popularnego bywalca pubów nigdy nie podejrzewa się o morderstwo? Dałbym sobie rękę uciąć, że w pubie potrafi prezentować się jako bardzo dowcipna persona. Pewnie jest mistrzem w rzutkach. A mistrzowi gry w rzutki ludzie wybaczą niemal wszystko...

Nastąpiła kolejna krótka przerwa. Potem Crook rzucił ostrym tonem: – Uwaga. Właśnie nadchodzi godzina zero – i czterech mężczyzn wtopiło się w cień za Gospodą Kolejową.



Noc była tak cicha, że słyszeli, jak zegar w pubie wybija dziesiątą; potem głos barmana: – Już czas, džentelmeni, już czas. Zamykamy, bardzo proszę. – Wreszcie drzwi gospody otwarły się na całą szerokość i zaczęli wychodzić mężczyźni. Niezbyt liczni; w taką noc wielu wolało pozostać w domu, a wychodzący nie zatrzymywali się. Słysząc było kroki ludzi oddalających się drogą. Mijały sekundy, każda pełna napięcia. Nawet Crookowi przyspieszył puls. Czas był jak pułapka, nieubłagane zaciskająca się wokół ludzi winnych tej ponurej sprawy. Minęła minuta, a ten człowiek wciąż nie dawał znaku życia. Colin przyłożył do ucha zegarek. Wydawał się tykać jak bomba. Jakby w każdej sekundzie mógł nastąpić wybuch; i dalej nic się nie działo. Wtedy też Colin poczuł na ramieniu dłoń Crooka.

– Na samej górze – rzucił ostrzegawczo Crook. – Myśliwi, uwaga.

Z ciemności przed nimi wyłoniła się smuga, czarna jak noc i zdająca się jej częścią. Peters, nie włączywszy trzymanej w ręce latarki, schodził po najeżonymi trudnościami zboczem. Stopami ostrożnie wybierał drogę. Teraz pewnie przydałoby mu się światło, ale wciąż znajdował się zbyt blisko drogi. Za plecami pozostawił zabarykadowane drzwi i zaciemnione okna praworządnego świata. Przed sobą miał najgorszy odcinek swej gehenny. Niczym Jeździec Apokalipsy przedzierał się do niewidocznych torów.

– Teraz? – szepnął Colin, nie mogąc wytrzymać napięcia.

– Wszystko zależy ode mnie – przypomniał mu Crook. – Jeden błąd, jedno potknięcie, a stracimy nie tylko zwierzynę, ale także gema i cały mecz. Nie, jeszcze przez chwilę niczego nie rób. To zbyt niebezpieczne.

Colin czuł ból i rwanie w całym ciele. Wytężał wzrok, ale w panujących ciemnościach nie był w stanie niczego wypatrzeć. Dręczyło go przekonanie, że przestępca uciekł im i że być może, zanim go powstrzymają, uda mu się zrealizować swój okropny zamiar. Recytowane szeptem przez Crooka wezwania do patriotycznej postawy nie bardzo go poruszały. Był rozpaczliwie zakochanym mężczyzną, a o wszystkim decydowały sekundy. Zadrzał, gdy wydało mu się, że słyszy niesiony wiatrem jęk, dźwięk ten wszakże rozbrzmiewał tylko w jego własnym, doprowadzonym do rozpaczki umyśle. W tych nieprzeniknionych

ciemnościach nadzieja zdawała się na wpół martwa. Ucisk na jego ramieniu zelżał.

– Dobra! – zawołał Crook i wszyscy czterej ruszyli do przodu niczym horda duchów. Colin nigdy by sam nie odnalazł ścieżki, którą podążała ich zwierzyna, ale Bill, z nosem jak u gończego psa i kocim wzrokiem, ani razu nie zgubił tropu. Nagle na sekundę rozbłysnął świetlny punkcik i zaraz zgasł – sygnał, na który wszyscy czekali. Teraz rozdzieliła się i okrążyła mordercę. Kępy dzikich róż i innych rozmaitych krzaków, rosnących wzdłuż całej ścieżki, kleiły się do ich atramentowych, snujących się po ziemi cieni, ale Peters nie zatrzymał się ani razu. Minęła następna minuta i pojęli, dokąd zdąża. Za zakrętem torów, niewidoczny z gospody znajdował się nieużywany punkt rozładunkowy, teren zasłany rozmaitymi rupieciami i niepotrzebnymi sprzętami, były tam także sterty porzewiałej cynowej blachy, na którą jak dotąd władze nie znalazły zastosowania. Na drugim końcu tego nie uczęszczanego podwórka stała niewielka, rozpadająca się szopka, sprawiająca wrażenie tak opuszczonej, że w podobny wieczór człowiek mógł bezkarnie schować w niej swój największy skarb, mając pewność, że rano go tam znajdzie.

– Pewnie dzieciaki szperają tu w czasie dnia – stwierdził Crook. – Peters prawdopodobnie nie umieścił jej tu zbyt wcześnie, ale też nie odważył się trzymać jej w samochodzie, na wypadek, gdyby został zatrzymany. Co tłumaczy jego ociąganie się w pubie. Gdyby pechowym trafem odkryto ciało, dowiedziałyby się o tym od miejscowych i zdążyłyby uciec... Ale patrzcie – wszedł do środka

Błysk latarki znikł im z pola widzenia. Ale Crook wciąż nie pozwalał im ruszyć i z okrzykami ostrzegawczymi otoczył winowajcę. Nawet teraz jeszcze Peters mógłby, blefując, wydostać się z tarapatów. Gdyby oświadczył, że usłyszał jakiś dźwięk i poszedł zbadać sprawę – niewielka szansa, ale dla takich jak on niewielka szansa to chleb powszedni. I w takim przypadku – stwierdził oschle Crook – oni sami mogliby mieć trudności z wyjaśnieniem swojej obecności w tym opuszczonym miejscu o tej porze. Crook, jak sam często powtarzał, nie mógł ryzykować swej reputacji. Nie był może ulubieńcem policjantów, jednak szanowali go o wiele bardziej od byle przeciętnego prawnika.

Gdyby cokolwiek poszło źle, znalazłby się w nader nieprzyjemnej sytuacji i to nie tylko w tej sprawie, ale i w przyszłości. Gdy klientela składa się głównie z osobników, którzy w praworządnym społeczeństwie nie mogliby liczyć na uniknięcie kary, jeden błąd i misternie wznoszona konstrukcja zawaliłaby się. Wszystko zależało od idealnego wyczucia w czasie. To samo oczywiście dotyczyło Petersa.

Gdy o tym rozmyślał, jego cel wyszedł z szopy, troskliwie niosąc coś w ramionach. Pakunek nie poruszał się ani nie wydawał głosu. Stąpając jak pantera, Crook skręcił w stronę torów.

Peters przez chwilę stał nieruchomo, a potem zrobił krok do przodu w ciszę bardziej donośną niż bicie bębnow.

## 18.

Nigdzie nie widać było nawet błysku światła. Zalegały podobne do koca ciemności. Skazany na zagładę człowiek wyszukiwał ścieżkę wiodącą do miejsca przeznaczenia tak, jakby każdy krok prowadził go przez dżunglę kryjącą rozmaite, gotowe pochwycić go pułapki. Był świadom dźwięków niesłyszalnych dla zwykłych uszu, dostrzegał ciemne kształty, zmieniające się i znikające, nim zdążył je zidentyfikować. Wszystko to oznaczało, że właśnie dotarł w samo serce niebezpieczeństwa. Przez chwilę powrócił myślą do trzech mężczyzn, którzy przyjechali za nim na Henriques Square. Czy sforsowali drzwi piwnicy, a jeśli tak, to do jakich doszli wniosków po tym, co tam znaleźli? Czy rozgrzebali węgiel i pokłady kurzu, szukając jakiejś nieistniejącej pułapki, na przykład ładunku zegarowego czy dodatkowej wskazówki, świadczącej o obecności dziewczyny w tym domu? Z zadowoleniem przypominał sobie małą błyskotkę, którą odkrył przyczepioną do mankietu swego płaszcza i dla której natychmiast znalazł zastosowanie. Czy obecność tego drobiazgu na podłodze – zakładając, że go znaleźli – zasugeruje im, że dziewczyna była w tym pomieszczeniu? Nawet jeśli Crook, ten sęp w ludzkiej skórze, podejmie później trop, i tak nic mu to nie da. Dziewczyna już nie będzie żyła i sprawa zostanie doprowadzona do końca, tak jak w przypadku tej drugiej, która umarła, nim zdążyła przekazać, czego się dowiedziała. Odetchnie z ulgą, gdy już będzie miał za sobą tę część zadania i zapewni panią Ponsonby, że są bezpieczni, przynajmniej tym razem. Lekko zadrzał na wspomnienie tej bezlitosnej kobiety. Niewiasty w tej profesji są zawsze bardziej bezwzględne, pomyślał; jeden gangster z Chicago, którego kiedyś poznał, powiedział mu, że gangi, którym przewodzą kobiety, a w Stanach było takich kilka, należały do najbardziej okrutnych, najtrudniejszych do zlikwidowania. Pani Ponsonby zbiłaby fortunę za oceanem, pomyślał.

Litość to słowo, którego nawet nie umiałyby przeliterować; tamta dziewczyna miała szczęście, że odeszła w taki sposób. W końcu tak bardzo nie cierpiała. Środek, który jej zaaplikował, wprawił ją w podobny do śmierci sen, a ta nadeszła, zanim zdążyła o niej pomyśleć. Przecież mnóstwo cywilów umierało w okropnych okolicznościach, w o wiele większych mękach z „powodów naturalnych” każdego tygodnia w roku. Przez chwilę zadrzał z przerażenia. Straszliwie bał się pani Ponsonby, od której aż do dnia swej śmierci nie zdoła się uwolnić. To nie dłonie Petersa posłały Sheilę Campbell w ciemności.

Lekko przesunął niesiony ciężar, aby rzucić okiem na świecąca tarczę zegarka na ręce. Z powrotem zsunął mankiet. Choć przecież nikogo nie było na odległość mili, jednak połyskujące wskazówki świeciły jak neon w ciemnościach, przynajmniej tak mu się wydawało. Nie wiedział, ile ten jego instynktowny gest znaczył dla idących za nim ludzi.

Nagle zeszywniał. Czoło lepilo mu się od potu. Dziewczyna ciążyła mu teraz bardziej niż wcześniej. Gdzieś – był tego pewien – ktoś oddychał! Otrząsnął się z lęku, ale uczucie to powróciło niczym stary człowiek nad brzeg morza, ściskając mu serce. Dobrze poznał te momenty napięcia. Za każdym razem, gdy powracały, myślał: „To koniec! Popełniłem fatalny błąd, jaki wcześniej czy później zdarza się każdemu przestępcy”. Stał nieruchomo. Ciemności zdawały się pełne oczu. Wszędzie wokół wyczuwał ukradkowe ruchy...

Z oddali usłyszał łoskot nadjeżdżającego pociągu. Nadeszła pora działania. Zmusił zeszywniałe członki do akcji.

Działo się coś strasznego! Ktoś obok niego poruszał się pod kocem ciemności. Zaszleścił zeszcły liść, potoczył się kamyk; łoskot przechodził w ryk. Jeszcze pół minuty, zarejestrował w duchu, pół minuty i ruszy. Wykonał desperacki krok do przodu. Widział już światła pociągu. Tory prowadziły krętym szlakiem. Żółte oko jakby ponownie się zamknęło; na długiej gąsienicy wagonów oczywiście nie było żadnych świateł.

Żadnych świateł! Poczuł, jak ścina mu się krew, jakby coś w jego mózgu toczyło się jak koło. Cóż to, światła pojawiły się wszędzie wokół niego, zbliżały się, odcinając mu drogę do torów, świeciły między nim a pociemniałą drogą,

którą tak niedawno opuścił. A więc stało się, poczuł absolutną pewność, to co zawsze wiedział, że stanie się jednego dnia. Jeszcze nie potrafił zlokalizować owego fatalnego błędu, który go pogrążył – to przyjdzie później. Ale już umiał odczytać przyszłość. Nawet nie zdołał szybko odejść, jak to sobie zawsze obiecywał – tabletka pospiesznie podana do ust, policja pokonana w godzinie triumfu. I ironią losu to właśnie dziewczyna, którą zamierzał zniszczyć, teraz niszczyła jego.

Pociąg z rykiem pokonywał zakręt. Maszynista nie poczuł żadnego wstrząsu, nie musiał zwalniać. Palacz zauważył z oburzeniem: – Co też policja ma do roboty w takich miejscach. Widzisz te światła? Jaki świetny cel dla każdego bombowca z Berlina!

Ciemności połknęły pociąg wraz całym pióropuszem iskier, a światła, które tak oburzyły palacza, przybliżyły się. Peters miał w kieszeni rewolwer, jednak na nic mu by się nie przydał. W momencie gdy położy dziewczynę na ziemi i sięgnie po broń, przemówi należąca do kogoś innego. Jedyną nadzieję dostrzegął w niewypuszczeniu dziewczyny; nie będą strzelać, dopóki trzyma ją w ramionach.

Światła skierowały się w górę, oślepiły go. Ktoś przyskoczył; wyrwano mu jego ciężar. Potem złapano za ramiona i wykręcono je na plecy. Nieznany głos tuż obok niego powtarzał bez końca: – Ona jeszcze oddycha. Dzięki Bogu, dzięki Bogu!

**T**eraz wszyscy maszerowali z powrotem do drogi. Czekał, by ktoś się odezwał, ale nikt nie powiedział słowa. Cisza była formą tortur. Dopiero gdy minęli hałdy składu i z wysiłkiem wspinali się nierównym zboczem do drogi, ktoś zauważył rozwlekłym głosem, mówiąc z nieznanym akcentem: – Świecimy się jak cholerna choinka. Co też policja o tym pomyśli...

– Masz okazję ich zapytać – odrzekł inny głos, energiczny, prostacki, wyrażający pewność siebie. – Raczej długo jeszcze nie zobaczysz tak wielu funkcjonariuszy razem, w grupie.

W końcu ktoś odezwał się do niego wprost: – Bardzo to sprytne z twojej strony przyjechać tu wozem policyjnym, Peters. Dobre zagranie, chłopcze, wyśmienite.

**W** prywatnym saloniku wynajętym w hotelu Rosedale pani Ponsonby kładła jeden ze swych niezliczonych pasjansów, podczas gdy Sparkes siedziała obok niej, robiąc na drutach pulower z niebieskiej wełny, z przeznaczeniem dla załogi okrętu marynarki handlowej. Gdy dłonie pani Ponsonby jak błyskawica przesuwwały się nad kartami, jej usta wypluwały strumień inwektyw, podejrzeń i uwag odnoszących się do trzeciego członka ich grupy.

– Nic nie rozumiem, Sparkes – powiedziała. – Co Peters knuje? Już dawno powinien był załatwić tę dziewczynę. Czy nie zdaje sobie sprawy, że każdy dodatkowy dzień jej wolności zwiększa nasze niebezpieczeństwo? Niech się wreszcie odezwie. Jeśli nic nie dotrze w przeciągu następných dwudziestu czterech godzin, musimy się zwijać.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa zadzwonił telefon. Głos recepcjonisty poinformował ją, że w holu czeka jakiś dżentelmen.

– Podał nazwisko?

– Pan Peters, madam.

Twarz pani Ponsonby pociemniała z gniewu. – Głupiec! – powiedziała. – Żeby tu przyjeżdżać tak otwarcie. Powiedz mu, by wszedł na górę – poleciła władczo recepcjoniście.

Ale gdy drzwi się otwarły, to nie Peters wszedł do środka, ale mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała. Wyglądał tak pospolicie, że trudno by było rozpoznać w nim jedną z najwybitniejszych osobowości Scotland Yardu. Nazywał się Field.

– Pani Ponsonby? Mam wiadomość od Petersa.

Nie była głupia; mogła nie znać jego nazwiska, ale nie miała wątpliwości, z czym przychodzi. Zresztą Field nie pozostawił jej długu w nieświadomości.

Przyprowadził swoich ludzi i już wyjaśnił sytuację przerażonemu właścicielowi hotelu. Niedługo potem obie kobiety opuściły budynek w towarzystwie pana Fielda i jednego z jego podwładnych. Inni pozostali, by przeszukać apartament.

## 19.

Wreszcie wszystko się skończyło, zgroza, niebezpieczeństwo, strach, przedłużające się opóźnienia, pytania, przesłuchania, okropne chwile w sądzie na miejscu dla świadków, złośliwości i niedowierzanie McFaddena, obrońcy, ten koszmar, to napięcie. Proces odłożono na pewien czas, przede wszystkim po to, by dać Julii możliwość dojścia do siebie na tyle, by mogła odegrać swoją rolę głównego świadka, a po drugie, bo McFadden, szczywany lis, świetnie wiedział, w jak niebezpiecznej sytuacji znaleźliby się jego klienci, gdyby proces odbył się w owym pamiętnym czerwcu 1940 roku. Prawdopodobnie żaden inny czerwiec nie odbił się tak boleśnie w ludzkiej pamięci. Każdego dnia Brytyjczycy z biciem serca otwierali gazetę lub włączali radio i codziennie dowiadywali się o kolejnych klęskach, rozczarowaniach, o odwrotach i ostatecznej kapitulacji. Władze, choć zapewniły oskarżonym wszelkie świadczenia dozwolone przez prawo, nie miały już wystarczającego powodu do dalszego odkładania rozprawy sądowej i Crook wykorzystał swe atuty. Całą trójkę oskarżono o zamordowanie Sheili Campbell i, jeśli policji udałoby się postawić na swoim, inne przestępstwa złoczyńców zostałyby pominięte. Ale Crook nie zamierzał na to pozwolić.

Niezwykłość tej sprawy polegała na braku bezpośrednich dowodów. Żadnej służby, sąsiadów czy choćby krewnych, by podeprzeć oskarżenie. Nawet identyfikacja zwłok znalezionych w piwnicy przy Radnor Road 151 okazała się wyjątkowo kłopotliwa. Policja miała ręce związane brakiem zgłoszenia zaginięcia tej dziewczyny, a trójka oskarżonych jak jeden mąż wypierała się jakiegokolwiek wiedzy na temat śmierci ofiary. Dom został wynajęty przez pośrednictwo trzeciej osoby, która, jak wykazało śledztwo, nic nie wiedziała, do czego miał służyć i trudno było dojść jakichkolwiek powiązań między tą osobą a oskarżonymi. Dlatego też Julia stała się głównym świadkiem w sprawie. Pani



Ponsonby obstawała, że w rzeczywistości Julia to dziewczyna, o której śmierć ją oskarżano. Opowiedziała swoją historyjkę niezwykle przekonująco, barwnie i z rozbrajającą prostotą. Przysięgała, że tylko jedna dziewczyna przebywała pod jej dachem i ta właśnie teraz świadczyła przeciwko niej. Przedstawiała kolejnych świadków. Crook, obecny na sali sądowej jako reprezentujący Julię – zresztą i tak by przyszedł – przez jakiś czas pozwalał pani Ponsonby zachować przewagę. Wiedział, że nadejdzie moment, gdy jej rzekoma prawdomówność i opanowanie nie do końca będą przemawiać na jej korzyść. Co do osoby Petersa, policja dysponowała druzgocącymi dowodami. McFadden oczywiście zdawał sobie z tego sprawę; reprezentował wyłącznie panią Ponsonby, dopilnował także, by Sparkes miała właściwą obronę. Ale od Petersa odciął się całkowicie. Tego i tak należało poświęcić. Jedyna szansa pani Ponsonby leżała w odżegnaniu się od jej jednorazowego partnera i przekonaniu przysięgłych, że prowadził on jakąś osobistą wendetę przeciwko Julii Ross. Może sąd zaakceptowałby tę wersję.

Tyle że nie sądzono próby zabójstwa Julii Ross. Sąd zajmował się wyłącznie zamordowaniem Sheili Campbell. Obrona upierała się, że po pierwsze dziewczyna świadcząca na rozprawie jest właśnie Sheilą Campbell, względnie że podała się za taką, gdy starała się o posadę sekretarki i panny do towarzystwa pani Ponsonby. Wezwano panią Hurst z agencji pośrednictwa pracy Victoria, ale jej zeznania okazały się wyłącznie negatywne. Przyznała, że podała Julii Ross adres pani Ponsonby, ale nie mogłaby zeznać pod przysięgą, że dziewczyna na miejscu dla świadków była tą, która przyszła do jej biura.

McFadden, posługujący się manierą gładkiego sarkazmu, wielu nerwowych świadków wykończył swoim zwyczajem pytaniem: – A jaki motyw według świadka, pani/pana X, kierował oskarżoną, by zachowała się tak, jak świadek to przedstawił?

To często przyprawiało zeznających o historię; tracili głowę, plątali się, dodawali lub ujmowali coś z pierwotnych zeznań, wreszcie opuszczali miejsce dla świadków całkowicie zdyskredytowani w oczach sądu. Jednak Julia wszystkie te dociekliwości kwitowała prostym: – Nie wiem, nie byłam powiernicą pani Ponsonby.

– Ależ panno... Ross, chyba wyrobiła sobie pani jakieś pojęcie co do przyczyn tak niezwykłego zachowania. Zechce pani powiedzieć sądowi...?

Ale Julia potrząsała głową. Została pouczona przez Crooka. – Cokolwiek by się nie działo, nie daj się wciągnąć w spór z tym jegomościem – ostrzegł ją. – Argumentowanie to jego zawód; a nawet, w jego przypadku, powołanie. Nie miałabyś najmniejszej szansy. Po prostu trzymaj się moich wskazówek. Nie wiem – to wszystko, co masz powiedzieć. Nie wiem. Teraz idź się przespać i do dnia procesu powtarzaj te słowa, a nie zapomnij ich, gdy znajdziesz się na miejscu dla świadków.

Tak więc Julia z uporem powtarzała: – Nie wiem. – McFadden zadawał to swoje pytanie w różnoraki sposób. Akurat tym razem klasyczna odpowiedź Crooka nie pasowała, ale Julia stawiała czoła sytuacji, odpowiadając: – Nie pamiętam. Mam w głowie całkowitą pustkę.

– Ależ panno Ross – powiedział McFadden z desperacją – nie może pani oczekiwać, że sąd przyjmie takie oświadczenie.

Nagle zainteresował sędziego. – A to dlaczego, panie McFadden? Świadek oświadczył panu, że nie wie, nie pamięta, że wszystko zapomniała. Tak było przed minutą i chyba od tego czasu świadek raczej nie doznała objawienia. Odpowiedziała na pańskie pytania najlepiej, jak umiała. Proszę kontynuować.

W sumie Julia okazała się świadkiem, z którego (powiedział jej to potem) Crook miał wszelkie powody być dumnym. – Gdyby wszyscy amatorzy byli do pani podobni, zawodowcy musieliby bacznie strzec swych laurów – oświadczył. – Ich słabość polega na tym, że na ogół nie potrafią się powstrzymać od pewnej autoreklamy, uznając, że to spodoba się sądowi. To ich jedyna szansa na sławę i chęć załsnąć.

Julii nic a nic na tym nie zależało. Pragnęła uciec od świateł reflektorów, od koszmaru, od poczucia zagrożenia, chciała odnaleźć spokój. Nie myślała wiele o patriotycznym aspekcie sprawy. Jednak oskarżyciel, pan Dickens Forrester, Królewski Prokurator, zamierzał jak najmocniej uwypuklić tę kwestię. Gdyby do sędziów dotarło, że więźniowie to nie tylko mordercy, co można by niemal uznać za wadę osobowości, ale także szpiedzy na niemieckim żołdzie, nie byłoby mowy o litości. I faktycznie, sprawa przyjęła taki właśnie obrót. Proces ciągnął się siedem dni. Końcowa mowa obrońcy trwała niemal cztery godziny.

Prokurator zadowolili się godziną i pół. Sędzia przez większą część dnia pouczał ławę przysięgłych i, co później potwierdzono, czynił to z podziwu godną bezstronnością. Sędziowie mieli gotowy werdykt już po dwunastu minutach, ale dla zachowania pozorów odczekali godzinę. Werdykt był jednogłośny, bez rekomendacji o łaskę, z wyjątkiem Sparkes, która najwyraźniej wzdragała się przed morderstwem i została w nie wciągnięta przez współników. Sędzia dopilnował, by rekomendację tę przekazano gdzie należy, ale ostatecznie została odrzucona. W tym czasie patriotyczny nastrój działał na niekorzyść skazanych. Znamienne było to, że w kraju o wyjątkowo silnej niechęci do kary śmierci nikt nie próbował zorganizować petycji o łaskę.

– A więc taka to jest brytyjska sprawiedliwość – skomentował Crook na swój impertynencki sposób w poranek potrójnej egzekucji. – Potrójne brawa dla brytyjskiego kompromisu. Ta trójka bez wątpienia zamordowała Sheilę Campbell, ale w rzeczywistości powieszono ich za szpiegostwo. Ale cóż, zaoszczędzono na amunicji, a z tego co widzę, w nadchodzących dniach nasz kraj będzie potrzebował każdego naboju. A ten sam sznur może nadać się dla następnego, pechowego mordercy...

# EPILOG

Jednego jeszcze nie rozumiem – powiedziała Julia, gdy wyrazistość jej prze-rażających doświadczeń zaczęła powoli blednąć. – Tego o tej dziewczynie w Irlandii.

Na wzmiankę owej mitycznej wieśniaczki towarzyszący jej Colin Bruce mocno poczerwieniał.

– No cóż, właściwie, kochanie, to taka osoba nie istnieje.

– Ależ Colinie, powiedziałaś mi...

– Wiem, kochanie. Ale... to tak, jakbym kupił szczeniaka z rodowodem i nie zamierzał zakładać hodowli. Chciałem poznać dziewczynę, która by nie widziała we mnie przysłego męża. Och, przyznaję, to brzmi zarozumiale, jednak, choć sobie tego nie uświadamiasz, stanowią raczej pożądaną partię. To nie moja zasługa, że ojciec zostawił mi taki drobiazg jak dwa tysiące rocznie, ale dla niektórych to z pewnością zaleta.

– A mnie pewnie nie poświęciłeś nawet jednej myśli. Nie przyszło ci do głowy, że mogłabym poważnie potraktować twoje słowa i zapragnąć wydrapać oczy tej znieawidzonej wieśniaczce.

– Och, Julio, powiedz to jeszcze raz. Naprawdę?

– Nie mogłam znieść myśli o niej. Uważam, że zachowałeś się okropnie...

– Musisz mi więc dać szansę, bym ci to wynagrodził. Przysięgam spędzić resztę mojego życia...

– A ja zawładnę każdą jego minutą. Ostrzegam cię, będę najbardziej za-borczą z żon. Jeśli kiedykolwiek odważysz się spojrzeć na inną...

Zamknął jej usta pocałunkami. Nawet jeszcze teraz ledwie mógł uwierzyć, że byli bezpieczni. Szczęściem dla Julii ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, była twarz Petersa gapiącego się na nią przez szybę budki telefonicznej; nie pamiętała niczego więcej, gdy odzyskała świadomość w szpitalu i polecono jej leżeć spokojnie i nie martwić się, zapewniając, że jest absolutnie bezpieczna i już

nigdy nie będzie musiała się bać. Na procesie nie zaszła potrzeba powtórzenia wydarzeń tej strasznej nocy przy torach, gdyż sądzono sprawę morderstwa Sheili Campbell; Colin uważał, że Julia nigdy nie powinna się dowiedzieć, jak bardzo niewiele dzieliło ją od okropnej śmierci. Dostał specjalne pozwolenie na ślub i pojechali do Kornwalii, by przez dziesięć dni kąpać się, spacerować i wylegiwać się na słońcu podczas najpiękniejszego lata, jakie od dawna nawiedziło Anglię. Całkiem możliwe, że nawet uda im się umknąć przed reporterami.

– Nie byłaś aż tak ważna, jak sądzisz, kochanie – powiedział jej Colin. – Ci na Fleet Street są spragnieni świeżej krwi, a ty uciekłaś. Daliby sto razy więcej za historię życia pani P. niż za twoją...

– Nikt nie mógłby nazwać mnie swatem – daleko od tych dwojga rozważał akurat na głos Crook – i gdyby mnie zapytano, przyznałbym, że jest wiele racji w słowach jednego dziennikarzyni, że żonaty młody człowiek to zrujnowany młody człowiek. Ale w tej parze jest coś, co napawa mnie wręcz nabożnością. Czy kiedykolwiek, gdy byłeś dzieckiem, Bill, uczyłeś się w niedzielę kolekt?

– Kolekt? Nawet nie wiem, co to takiego – odrzekł sucho zapytany.

Ale Crook był całkowicie pogrążony we własnych myślach. – Była taka jedna, pamiętam ją – no może nie kolekta, ale to bez znaczenia – o szczęśliwym wyniku wszystkich naszych cierpień... – Zamyślił się posepnie, przypominając wielkie, brązowe ptaszysko z na wpół przymkniętymi oczami. Nagle poczuł wzrok Billa, trochę kpiący, a trochę czuły, przenikający przez jego myśli. Zerwał się, nasunął brązowy melonik na krzaczaste, płomienne brwi. – A teraz przydałaby się nam – stwierdził – podwójna kolejka piwa, najlepiej Old Bitter, więc chodź ze mną i pomóż mi je znaleźć.

